**TRENER I FRYZJER**
Ciemna strona
III Rzeczypospolitej

**KUP PAN ORLEN**
Fala oszustw
„na polityka”

**CO CZEKA KOŚCIÓŁ**
Wywiad z człowiekiem
papieża Franciszka

**ODESSA**
Życie miasta
w cieniu wojny

**SKRAJ ŚWIATA**
Rejs wśród
orek i humbaków

Kraków 13 lutego 2022 nr 7 (3788) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

## DOROTA MASŁOWSKA
# Widoki na Polskę

**JUŻ W SPRZEDAŻY**




ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY
WYDANIE SPECIALNE
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl
Kraków 9 lutego 2022 nr 1 (21)
cena 24 zł (w tym 8% VAT)

# WIARA

**O Bogu i diable, duchowości i dotyku, nadziei i miłości**

**bliźniego; religijności i świętych, których świętości**

**nie potwierdziła dotąd żadna instytucjonalna pieczęć.**

**Nowe wydanie specjalne już od dziś**

**w najlepszych miejscach z prasą.**

# DLA DOROSŁYCH

ELŻBIETA ADAMIAK | NATALIA DE BARBARO | TINA BEATTIE | KS. ADAM BONIECKI
WOJCIECH BONOWICZ | S. BARBARA CHYROWICZ | SEBASTIAN DUDA
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI | PHILIP GRÖNING | NONTANDO HADEBE | KS. TOMÁŠ HALÍK
KS. MICHAŁ HELLER | O. WACŁAW HRYNIEWICZ | ALEKSANDRA KLICH | O. JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI
LESZEK KOŁAKOWSKI | RYSZARD KOZIOŁEK | KS. STANISŁAW MUSIAŁ | ZBIGNIEW NOSOWSKI
KS. TADEUSZ PABJAN | KS. HENRYK PIETRAS | ANITA PIOTROWSKA | JANUSZ PONIEWIERSKI
KS. JACEK PRUSAK | ZUZANNA RADZIK | ABP GRZEGORZ RYŚ | RABIN RAMI SHAPIRO
PIOTR SIKORA | BARBARA SKARGA | ARTUR SPORNIAK | JERZY SOSNOWSKI
ANDRZEJ STASIUK | TOMASZ STAWISZYŃSKI | KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
KAROL TARNOWSKI | KS. JÓZEF TISCHNER | OLGA TOKARCZUK | GENEVIÈVE ZUBRZYCKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

# Boniecki: *Przyzwoitym się nie opłaca*

Słynna dewiza Władysława Bartoszewskiego „Warto być przyzwoitym” bywała trawestowana w „Opłaca się być przyzwoitym”. Bartoszewski stanowczo protestował. „Warto – mówił – pochodzi od rzeczownika »wartość« istotnie różnego od rzeczownika »płaca«”. Opowieść Michała Okońskiego o ciemnych stronicach najnowszej historii naszego futbolu nieprzypadkiem została zatytułowana „Cała Polska widziała”, bo jest ona ściśle spleciona z naszą historią społeczną i gospodarczą. Wyjaśnia to zdanie, które można uznać za klucz do lektury artykułu: „Przełom ustrojowy w roku 1989 stał się okazją dla różnych obrotnych biznesmenów pierwszego pokolenia, z których wielu skończyło na ławie oskarżonych”. To zdanie autor zaczerpnął z książki Stefana Szczepłka „Moja historia futbolu”. Jest przecież zjawiskiem znanym, że „okresy przełomów” sprzyjają wypływaniu na powierzchnię osobowości, hmm... mętnych. Gdy ludzie przyzwoici ważą wartości, ci mniej przyzwoici kombinują, co im się w tym momencie opłaca poza dobrem i złem. Ci, którzy ulegną odwiecznym pokusom łatwego zdobycia dużych pieniędzy i władzy, zaczynają działać w sposób wprost przerażający. I tak było w czasach naszego historycznego przełomu, choć wzbranialiśmy się przed przyjęciem tego do wiadomości. Pamiętamy "afery" takie, jak Romana Kluski – przedsiębiorców niesprawiedliwie oskarżanych, więzionych, pozbawianych majątków, a po długim czasie uniewinnianych. Ale też Lwa Rywina, aferę hazardową i tyle innych. I zamordowanego w 1992 r. dziennikarza Jarosława Ziętarę.

Nikt się nie obnosi z aferami we własnym obozie politycznym czy we własnej instytucji, co jest zrozumiałe. O finansowych aferach w Watykanie świat się dowiedział z wykradzionych z tajnych archiwów dokumentów (por. np. „Vaticano S.P.A.” Gianluigiego Nuzziego) i było oczywiste, że dochodziło do nich tam, gdzie szefowie niektórych, związanych z pieniędzmi dykasterii mieli władzę absolutną, właściwie niekontrolowaną. Cóż, wiadomo, że każda władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie. Kontrolowanie osób trzymających władzę nie jest łatwe, do tego grozi korupcją tych, którzy kontrolują – tak więc państwa i instytucje bez wypróbowanego systemu zapewniającego przejrzystość zawsze będą narażone na afery korupcyjne.

W najnowszym, ogłoszonym 25 stycznia 2022 r. raporcie Indeksu Percepcji Korupcji (Corruption Perceptions Index 2021), publikowanym corocznie przez Transparency International – międzynarodową organizację pozarządową działającą na rzecz zwalczania korupcji w życiu publicznym – Polska na 180 badanych państw zajęła 42. miejsce. Niestety, od 2015 r. widać u nas trend spadkowy. Jako najmniej skorumpowane na pierwszym miejscu są *ex aequo* Dania, Finlandia i Nowa Zelandia. Dania od 2012 r. niezmiennie pozostaje w ścisłej czołówce krajów o najniższym na świecie poziomie korupcji w sektorze publicznym. Chociaż na temat walki z korupcją napisano mnóstwo znakomitych dzieł, choć powołano do życia wiele instytucji antykorupcyjnych, to analitycy ostrzegają, że „widmo wielkiej korupcji krąży nad światem”, a – jak wynika z publikowanych badań – pandemia jakoś jej sprzyja.

Ponieważ jednak istnieją takie kraje jak Dania, nasuwa się pytanie, co takiego sprawia, że Duńczycy są społeczeństwem od nas uczciwszym. Z pewnością jest wiele powodów, na które zresztą wskazują komentatorzy tego zjawiska. „W obliczu drastycznego pogorszenia standardów rządzenia za czasów Obozu Prawicy, licznych, niewyjaśnionych afer i braku jakiejkolwiek polityki antykorupcyjnej, jedno czy dwupunktowe spadki Polski w Indeksie Percepcji Korupcji wydają się bardzo delikatne” – czytamy na stronie Fundacji Stefana Batorego (www.batory.org.pl).

Pozostaje też pytanie o nasz etos powszedni. Jakoś nikomu nie przeszkadza, że naród *semper fidelis* znajduje się w gronie społeczeństw wybitnie korupcyjnych. ©℗


Zamów pakiet wydań specjalnych
z autografem ks. Adama Bonieckiego
na TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

**Tylko 45 zł***

*Cena zawiera koszty przesyłki poleconej na terenie kraju.
Liczba pakietów ograniczona.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

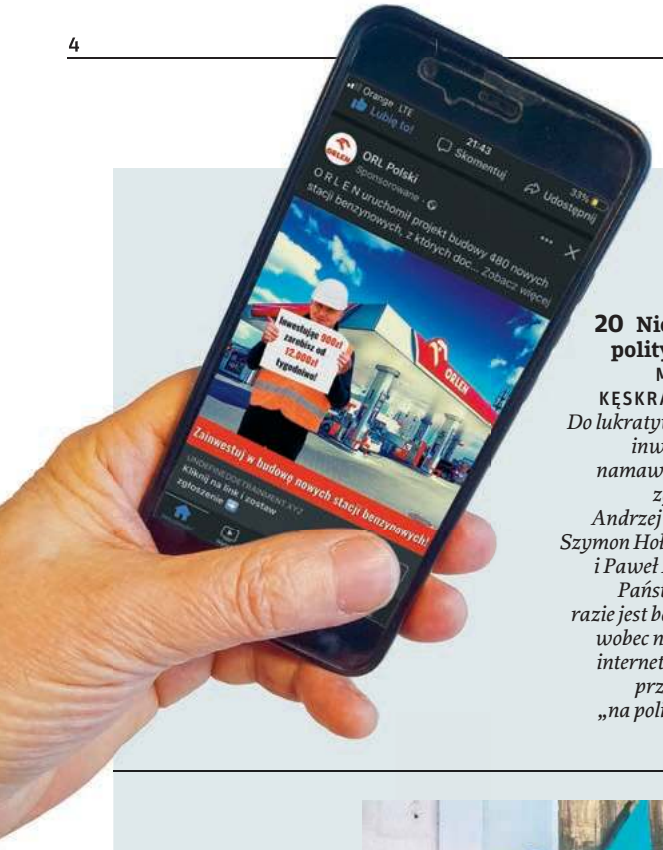


**20 Nie ufaj politykom**
MAREK KĘSKRAWIEC
*Do lukratywnych inwestycji namawiają tu zgodnie Andrzej Duda, Szymon Hołownia i Paweł Kukiz. Państwo na razie jest bezsilne wobec nowego internetowego przekrętu „na polityka”.*

**34 Buddyzm na obcej ziemi**
JAN RYBICKI *o historii i współczesności wspólnot buddyjskich w Polsce.*

**40 Miasto moralnego niepokoju**
MARCIN ŻYŁA Z ODESSY
*Rosja może łatwo zapanować tu militarnie, ale już nie w głowach i sercach mieszkańców.*

**56 Ryby mają głos**
ROZMOWA Z TIMOTHYM A.C. LAMONTEM, BIOLOGIEM MORSKIM, *który próbuje przywrócić życie obumarłym rafom koralowym puszczając pod wodą dźwięki zdrowego morskiego ekosystemu.*

**62 Ładnie nie jest**
*Małe mieszkania, egzystencja na wąskich i opresyjnych przestrzeniach generowały bezustanną fizyczną interakcję. I przemoc – mówi* DOROTA MASŁOWSKA.

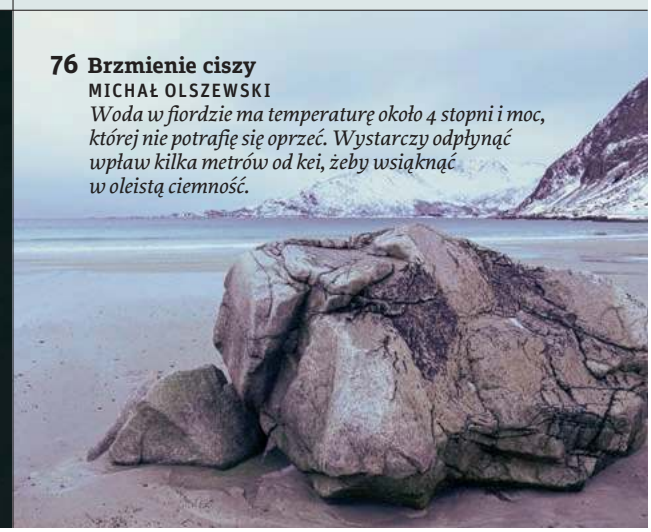

**76 Brzmienie ciszy**
MICHAŁ OLSZEWSKI
*Woda w fiordzie ma temperaturę około 4 stopni i moc, której nie potrafię się oprzeć. Wystarczy odpłynąć wpław kilka metrów od kei, żeby wsiąknąć w oleistą ciemność.*

TP-ONLINE // BENCIEN KAMA KAMTSANG POLSKA // TIM LAMONT / UNIVERSITY OF EXETER // MICHAŁ OLSZEWSKI // WERONIKA ŁAWNICZAK / PAPAYA FILMS / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA LITERACKIEGO // CHRISTOPHER OCCHICONE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

**6 Koniec wszechmocy**
MAREK KĘSKRAWIEC

**7-11 Obraz tygodnia**

**18-19 Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**20 Nie ufaj politykom**
MAREK KĘSKRAWIEC

**24 Ono nie lgnie, ono nie szuka**
ROZMOWA Z PSYCHOLOŻKĄ MARIĄ BEISERT *o problemach, jakie nadal napotykają nieletnie ofiary przemocy w kontakcie z organami państwa*

**27 Promile współczucia**
MAREK RABIJ: *Co pozostanie z idei solidarności społecznej po jej zderzeniu z Polskim Ładem?*

**WIARA**

**30 Wiara i praktyki niedzielne**
ROZMOWA Z KARD. JEANEM-CLAUDE'EM HOLLERICHEM: *Zadajmy sobie pytanie: czy ksiądz koniecznie musi być celibatariuszem?*

**34 Buddyzm na obcej ziemi**
JAN RYBICKI

**37 Niech się stanie meczet**
MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU: *Kolejne tureckie zabytki, które do niedawna pełniły rolę muzeów, stają się meczetami*

**ŚWIAT**

**40 Miasto moralnego niepokoju**
MARCIN ŻYŁA Z ODESSY

**44 Olimpiada czarów**
PIOTR BERNARDYN *o rozpoczętych zimowych igrzyskach w Pekinie i kontrowersjach wokół nich*

**TEMAT TYGODNIKA**

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

**12 Cała Polska widziała**
MICHAŁ OKOŃSKI
Korupcja w piłce nożnej, o której znów zrobiło się głośno w kontekście zmiany selekcjonera polskiej reprezentacji, to jedno z luster odbijających trudną, a chwilami wręcz wstydliwą historię transformacji ustrojowej.

**FELIETONY**
**29** DOROTA MASŁOWSKA
**39** ZUZANNA RADZIK
**61** TOMASZ STAWISZYŃSKI **74** JAN KLATA
**75** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
DOROTA MASŁOWSKA
FOT.: WERONIKA ŁAWNICZAK / PAPAYA FILMS
KOLORYZACJA: TP-ONLINE

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

**46 Wiatr i słońce nie wystarczą**
ROZMOWA Z HISTORYCZKĄ TECHNIKI ANNĄ VERONIKĄ WENDLAND *wokół niemieckiej polityki energetycznej*

**49 Znikające gminy**
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI

**HISTORIA**

**52 Pokaz z człowiekiem**
ROZMOWA Z DOMINIKĄ CZARNECKĄ I DAGNOSŁAWEM DEMSKIM, *badaczami pokazów etnograficznych organizowanych na przełomie XIX i XX wieku*

**NAUKA**

**56 Ryby mają głos**
ROZMOWA Z TIMOTHYM A.C. LAMONTEM

**60 Życzliwość kontrolowana**
ŁUKASZ KWIATEK: *Niektóre rybki akwariowe mają zdolność do zachowań prospołecznych, a nie zawsze się z nimi obnoszą*

**KULTURA**

**62 Ładnie nie jest**
ROZMOWA Z DOROTĄ MASŁOWSKĄ

**67 Komu grają, temu grają**
JAN BŁASZCZAK: *Co proszczepionkowa kontrofensywa artystów na Spotify mówi nam o działaniu serwisów streamingowych*

**70 Wir**
KAJETAN PROCHYRA *o projekcie „Opla Stasiuk Trzaska"*

**72 W szarej strefie**
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Oskarżony" Yvana Attala*

**74 W innym świecie**
LEKTOR *o książce Urszuli Honek „Białe noce"*

**ZMYSŁY**

**76 Brzmienie ciszy**
MICHAŁ OLSZEWSKI Z NORWEGII

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Rosyjska ruletka**
*Ramzan Kadyrow zwalcza aktywność krytyków reżimu w internecie, ale przegrywa wojnę o czeczeńskie dusze*
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

**Własny pokój [Podkast Powszechny]**
*Musimy robić coś, co by od nas zależało. Robić, mówić, nie przemilczać, nie bać się* – mówi **DOROTA SEGDA**
tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

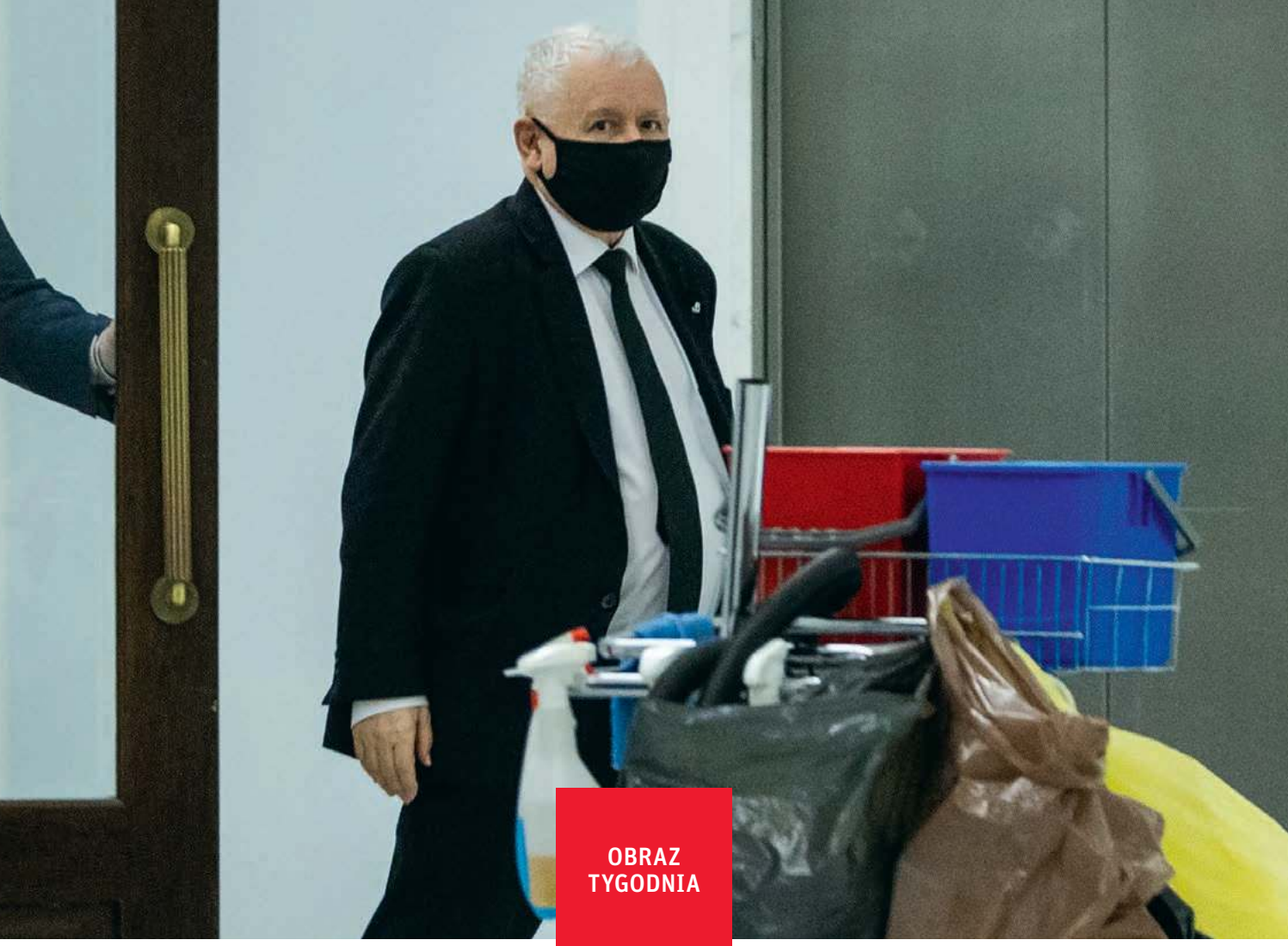

OBRAZ TYGODNIA

# KONIEC WSZECHMOCY

Wygląda na to, że kierujący polskim statkiem Jarosław Kaczyński dysponuje już tylko zużytym sterem, a z pokładu zaczynają uciekać mu marynarze.

MAREK KĘSKRAWIEC

*Jarosław Kaczyński w Sejmie. Warszawa, 1 lutego 2022 r.*

Prawo i Sprawiedliwość przestało być monolitem. Przy okazji tzw. lex Kaczyński wyszło na jaw, że gdy podejmowane są decyzje światopoglądowe – a taki charakter ma w Polsce stosunek do szczepień i obostrzeń pandemicznych – klub parlamentarny PiS nie słucha już swojego prezesa i za bardzo go nawet nie pojmuje.

To zasadnicza zmiana. Krąży co prawda teoria, wedle której absurdalne rozwiązania proponowanej przez Kaczyńskiego ustawy (np. możliwość odszkodowania za zarażenie się od niezaszczepionej osoby) umieszczono w projekcie tylko po to, by jej nie uchwalić. Wydaje się to jednak zbyt absurdalne. Oznaczałoby, że PiS chce pokazać, że coś robi w walce z pandemią, ale panicznie boi się niechętnego obostrzeniom elektoratu. Czyli nie jest już kreatorem polityki, lecz tylko płynie z prądem nastrojów, pozbawiony własnej energii. W taki sposób można co najwyżej przedłużać agonię rządów.

Inna wersja tych samych wydarzeń jest równie pesymistyczna dla Jarosława Kaczyń-

skiego. Za podpisanym przez niego projektem ustawy covidowej zagłosowało tylko 151 posłanek i posłów PiS. Nawet jeśli uznamy, że większość spośród 16 parlamentarzystów partii, którzy tego dnia nie pojawili się w Sejmie, zagłosowałaby tak, jak chce szef, to i tak arytmetyka jest bezlitosna: w trudnych sprawach Jarosław Kaczyński może dziś liczyć na ok. 160 osób.

To żałosny obraz, biorąc pod uwagę, jak wszechmocny był do niedawna lider PiS. Dzisiejszy stan emocjonalny tej partii to portret grupy sfrustrowanych ludzi, których łączy sprawowanie władzy, stanowiska w spółkach skarbu państwa i lęk przed odpowiedzialnością za łamanie konstytucji – czyli bardziej wspólne interesy niż idee. Na dodatek pogłoski o śledzeniu Pegasusem posła Jana Krzysztofa Ardanowskiego sprawiają, że politycy prawicy zaczynają się czuć źle we własnym towarzystwie. Coraz więcej z nich podejrzewa, że starzejący się prezes nie ma pomysłu, jak pchnąć swe środowisko ku nowym horyzontom, a jego rządowy „zderzak", Mateusz Morawiecki, nie daje już żadnej gwarancji sukcesu i trzeba mu wymieniać ministrów, by działał z sensem.

Jeśli spojrzeć chłodno na Polski Ład, najważniejsze dzieło premiera, to widać już wyraźnie, że choć zyskać mieli wszyscy oprócz bogaczy, tak naprawdę stracili wszyscy oprócz najbiedniejszych – i to tylko dlatego, że korzystają oni z prostego mechanizmu podwyższonej kwoty wolnej od podatku. Pozostali dostali mocno po kieszeni, a to prawdziwa klęska dla PiS, której nie przykryją propagandowe „winy Tuska" z TVP. I nawet jeśli rząd kolejnymi chaotycznymi nakładkami na Polski Ład zrekompensuje ludziom straty, to przecież jasne jest, że te pieniądze będzie musiał skądś wziąć. W obliczu najwyższej od 20 lat inflacji, obniżki VAT, groźby wojny za wschodnią granicą oraz ciągle wysokich cen energii trudno sobie wyobrazić, jaki będzie niedługo stan finansów publicznych, biorąc pod uwagę wszystkie programy społeczne, uruchomione przez rząd i niełatwe do odwołania.

Ostatnie kilka dni to jeszcze jeden rozdział tego samego kryzysu. Projekt tzw. lex Duda, likwidujący Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego, spotkał się z ostrą krytyką Zbigniewa Ziobry i został uznany przez niego za kapitulację przed Unią Europejską. Widać, że lider Solidarnej Polski ma zamiar coraz mocniej zaznaczać swoje miejsce w polityce. Jako wasal Kaczyńskiego traci znaczenie, a samodzielne przekroczenie progu wyborczego jest dziś wątpliwe. Jeśli chce przetrwać w grze o najwyższe stawki, musi grać ostro, na granicy rozłamu, nie przekraczając jej. A to oznacza narastający chaos na szczytach władzy. ©℗

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

# *Nie porównujmy się do Norwegów*

MACIEJ MÜLLER

Nadszedł czas, byśmy odzyskali codzienne życie" – powiedziała minister zdrowia Norwegii Ingvild Kjerkol w dniu, kiedy jej rząd zniósł większość obostrzeń sanitarnych, m.in. zalecenie pracy zdalnej. Podobnie postąpiły pozostałe kraje skandynawskie (Dania, Szwecja i Finlandia), a także Irlandia i Francja. Zgodnie z zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia łagodzenie obostrzeń można rozważyć, jeśli społeczeństwo jest w wysokim stopniu zaszczepione, szpitalom nie grozi przeciążenie, a trendy epidemiologiczne wskazują na przemijanie fali.

Polska bardzo chciałaby pójść śladem tych państw. Minister zdrowia Adam Niedzielski zapowiedział na Twitterze, że ze względu na mniejsze obłożenie łóżek covidowych „będziemy podejmować decyzje" o redukcji ich liczby. O znoszeniu restrykcji nie wspomniał – w Polsce właściwie żadne restrykcje nie funkcjonują.

Nasz system szpitalny należy do najsłabszych w Europie. Nie mamy też co porównywać się do Zachodu pod względem zaszczepienia. Np. w Danii 81 proc. zaszczepiło się dwiema dawkami, a 60 proc. dawką przypominającą. W Polsce odsetek w pełni zaszczepionych nie dobił do 60 proc., a w grupie wiekowej 80+ trzy dawki przyjęło tylko 40 proc. osób. Tymczasem to poziomem zaszczepienia oraz zabezpieczeniem grup ryzyka tłumaczy się fakt, że mimo iż w większości wymienionych krajów wykres zakażeń piął się pionowo, nie przekładało się to na liczbę hospitalizacji i zgonów.

A trendy epidemiczne w Polsce? Hospitalizacje rosną: 22 stycznia zajętych było 13,5 tys. łóżek covidowych, 7 lutego – 18,3 tys. Nie znamy skali pandemii – ze względu na niewydolność systemu testowania (i badanie się poza państwowym systemem: w styczniu w aptekach wykupiono 5 mln testów antygenowych) oficjalna liczba zakażeń nie jest miarodajna. Według modelu ICM szczyt infekcji – sięgający 800 tys. przypadków dziennie – czeka nas w ciągu najbliższego tygodnia. Potem dopiero mogą przyjść szczyty hospitalizacji i zgonów. Oby nie przyszły. ©℗

## Odwrót Polski spod Turowa

**TEN TYTUŁ JEST CYTATEM** – identyczny zapowiadał w minionym tygodniu komentarz praskiego dziennika „Hospodářské noviny". Z artykułu bije zadowolenie z wygranej i szczypta złośliwości pod naszym adresem w reakcji na militarno-patriotyczną konwencję, w jakiej PiS toczył ten spór. Czuje się też wyraźne niezrozumienie dla motywów, które pchały polską stronę w tę awanturkę. Złożenie przez Pragę wniosku do Trybunału Sprawiedliwości UE było przecież zwieńczeniem wieloletniego sporu. Czasu na negocjacje i poszukiwanie kompromisu, na którym tak zależało ostatnio polskiemu rządowi, było pod dostatkiem.

„Już wczoraj przekazaliśmy odpowiednie środki. To było 35 mln [euro] plus 10 [mln] ze strony PGE. Przypomnę, że pierwotnie wchodziła w grę nawet kwota 55 mln, a więc ograniczyliśmy ją znacznie" – mówił premier Mateusz Morawiecki po zakończeniu rozmów i podkreślał, że Czesi wycofali już skargę z Trybunału. Jednak w bilansie sporu – co Morawiecki przemilczał – trzeba uwzględnić także 70 mln euro kar nałożonych za niewykonanie decyzji TSUE o zamknięciu turoszowskiego zakładu. Co prawda Polska podejmie, jak mówi wiceszef MSZ Paweł Jabłoński, „środki prawne i polityczne", żeby tych pieniędzy nie zapłacić, ale nawet jeśli się to uda, bilans trudno uznać za korzystny. Odwrót spod Turowa, który PiS próbuje przekuć w wiktorię, w pierwszej kolejności wystawia fatalną notę naszej polityce zagranicznej, którą rząd Morawieckiego *de facto* traktuje jak dodatek do bieżących spraw krajowych.

Niewykluczone, że temat turoszowskich zakładów powróci wkrótce na agendę. Czescy aktywiści klimatyczni już podnoszą, że Praga poszła Warszawie zbyt łatwo na rękę, bo nie udało się przede wszystkim uzyskać od polskiej strony daty zamknięcia tutejszej elektrociepłowni. ©℗ MAREK RABIJ

# *Szkoła do raportu*

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Można by najnowszy, poświęcony edukacji w czasie pandemii raport Najwyższej Izby Kontroli zbyć uwagą, że kolejny rozdział opowieści o niewydolnym państwie pod rządami PiS dopisuje nieprzychylna (wszak kierowana przez Mariana Banasia) państwowa instytucja. Można by dodatkowo zmiękczać wydźwięk tego raportu stwierdzeniem, że wszyscy dali się zaskoczyć pandemii. Tyle że NIK ogłasza swój dokument na około miesiąc przed drugą rocznicą zamknięcia placówek oświatowych.

O tym, że zdalne nauczanie pogłębi edukacyjne nierówności, wiadomo było niemal od początku. A jednak – mimo specjalnych programów i milionów złotych wpompowanych w refundację sprzętu – w wielu miejscach pomoc okazała się niewystarczająca (NIK podaje choćby przykład Płocka, gdzie na 480 potrzebnych laptopów udało się kupić 77). Było też jasne od dawna, że lekcje online muszą spowodować obniżenie efektywności nauczania.

A jednak ministerstwo edukacji zdecydowało się zmniejszyć tylko wymagania egzaminacyjne, pozostawiając niezmienione podstawy programowe. Stało się tak – przypominają urzędnicy NIK – pomimo że w roku szkolnym 2019/20, jak i w pierwszym semestrze kolejnego, nie udało się tych podstaw zrealizować. O tym, że cała ta sytuacja może się odbić na zdrowiu psychicznym i uczniów, i nauczycieli, eksperci także trąbili od wiosny 2020 r. Mimo tego reakcja oświatowych władz była spóźniona – rząd dopiero w lipcu 2021 r. ogłosił Narodowy Program Wsparcia Uczniów po Pandemii.

Trudno czynić ministerstwu zarzut, że w tych warunkach reagowanie polegało często „na doraźnym wydawaniu rekomendacji i wytycznych". Tyle że resort, zamiast prób opanowania chaosu, momentami ten chaos potęgował, np. zmieniając rozporządzenie o kształceniu na odległość... 28 razy. Dodajmy, że przez niemal dwa lata nie dorobiliśmy się klarownych standardów, jakie epidemiczne warunki oznaczają zamknięcie szkół, a jakie ich ponowne otwarcie. Nie dowiedzieliśmy się nawet, czy resort chce stawiać w tej mierze na centralne sterowanie, czy na autonomię placówek. Gdy późną jesienią 2021 r. wydawało się, że postawi jednak na to drugie, minister ogłosił – pozostającą w mocy do dziś – decyzję o odgórnym zamknięciu szkół.

Te niemal dwa lata to w przypadku edukacji dużo, a dla niektórych – np. dzisiejszych drugo- czy trzecioklasistów – prawie wszystko. Owe siedemset dni zapiszą się w historii jako czas edukacji postawionej przez pandemię na głowie. Ku bezradności oświatowej władzy. ©℗

## KRAJ W SKRÓCIE

**ODLOT**

**„Zupełnym odlotem" nazwał Stanisław Żaryn, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych, płynące z NIK doniesienia o tysiącach ataków dokonywanych z pomocą systemu Pegasus na urządzenia pracowników Izby, w których miało zostać zainfekowanych ponad 500 urządzeń.**

**SKOK**

**„Kiedy tylko skoki wróciły do Telewizji Polskiej, natychmiast przyszły też sukcesy Polaków" – stwierdził prezes TVP Jacek Kurski po zdobyciu przez Dawida Kubackiego brązowego medalu podczas zimowych Igrzysk Olimpijskich (w tym sezonie prawa do transmisji pucharu świata w skokach narciarskich ma TVN, a polscy sportowcy nie odnoszą spodziewanych sukcesów).**

WANG SONG / XINHUA / EAST NEWS

**PRZEKRĘT**

**Szkoda w takim razie, że TVP nie poświęca większej uwagi kwestiom nadużyć wokół szczepień. Na razie to RMF FM poinformował o zatrzymaniu przez gdańską policję pięciu osób, które miały wprowadzać do systemu dane i pośredniczyć w zakupie fałszywych certyfikatów covidowych.**

**WYJŚCIE**

**Drugi tydzień z rzędu jednym z ważniejszych tematów medialnych jest odejście z instytutu Ordo Iuris grupy pracowników, a w zasadzie dociekanie, czy jej przyczyną był romans; jego domniemani bohaterowie udzielają licznych wywiadów, w których mówią o prawie do prywatności.**

# Amnesty zarzuca Izraelowi apartheid

**SYSTEM DYSKRYMINACJI** Palestyńczyków, który stworzyły władze Izraela, przybrał taką formę, że spełnia międzynarodową definicję pojęcia apartheidu – ogłosiła Amnesty International. Argumentację na poparcie tej tezy Amnesty (jedna z najstarszych i największych organizacji praw człowieka) wyłożyła w kilkusetstronicowym opracowaniu opublikowanym w ubiegłym tygodniu.

Amnesty dołączyła w ten sposób do takich organizacji jak Human Rights Watch czy izraelska B'Tselem, które też mówią tu o apartheidzie. Pojęcie to ma charakter teoretyczny (jako ideologia odrębnego rozwoju ras czy narodów), jak też praktyczny (tak wyglądał do lat 90. system segregacji w RPA, uprzywilejowujący białych).

Amnesty dowodzi, że system władzy stworzony przez Izrael – zakładający wobec Palestyńczyków (żyjących w Izraelu i poza nim) ich izolację, kontrolę, pozbawianie praw, wywłaszczanie z własności, traktowanie jak obywateli gorszej kategorii itd. – ma na celu zapewnienie dominacji żydowskich Izraelczyków, a to „jest równoznaczne z apartheidem". Amnesty zaapelowała do ONZ, by wprowadziła sankcje i embargo na dostawy broni dla Izraela (ma to wymiar symboliczny – jedno i drugie jest nierealne).

Wystąpienie Amnesty wywołało spodziewane reakcje. Izrael nazwał je „fałszywym, uprzedzonym i antysemickim"; skrytykowały je też USA i Niemcy. Akceptację wyraziły zaś państwa i organizacje, które tradycyjnie są krytycznie nastawione wobec Izraela.

Traf chciał, że tego samego dnia armia izraelska upubliczniła wyniki wewnętrznego śledztwa, dotyczącego śmierci 78-letniego Palestyńczyka. Zmarł w styczniu na serce po tym, jak został na punkcie kontrolnym zatrzymany, skuty, zakneblowany i zostawiony na mrozie. Dochodzenie podjęto być może dlatego, że okazał się obywatelem USA.

Władze wojskowe przyznały, że żołnierze złamali zasady. Okazało się też, że batalion Netzah Jehuda, z którego pochodzili żołnierze, słynie z brutalności wobec Palestyńczyków (jednostkę tę stworzono dla żydowskich ortodoksów, którzy decydują się służyć w wojsku). Wobec żołnierzy trwa śledztwo kryminalne.

©℗ WP / AMNESTY, FAZ, NZZ

CHRIS JACKSON / BUCKINGHAM PALACE / AFP / EAST NEWS

**DRUGA ERA ELŻBIETAŃSKA TRWA.** Swobodny uśmiech, pudełko z dokumentami, fotografia jej ojca Jerzego VI, a także pierścionek zaręczynowy od jej późniejszego męża Filipa (zmarłego w kwietniu 2021 r.) – znalazły się na jubileuszowym zdjęciu Elżbiety II. W niedzielę 6 lutego zaczął się już 71. rok panowania monarchini, której wpływ na brytyjską rzeczywistość – mimo różnic historycznych – porównywany jest śmiało z królową Wiktorią (panowała ona w XIX w. przez 63 lata). ©℗ ŻYM

# *Co jeszcze wolno Gerhardowi Schröderowi?*

WOJCIECH PIĘCIAK

Miałem przyjaciela, starszego o pokolenie. Nazywał się Reinhold Lehmann. Rocznik 1939, pchany historyczną odpowiedzialnością w latach 70. jako jeden z liderów katolików świeckich z RFN zaangażował się w budowanie relacji – niezależnych od władz – z Polakami. W ciągu paru lat odbył ok. 20 podróży do Polski. Zapłacił za to: służby RFN zaczęły go podejrzewać, iż jest szpiegiem komunistów. W tamtych czasach samo podejrzenie mogło oznaczać w RFN śmierć cywilną. Na szczęście wsparł go niemiecki Kościół. Śledztwo zamknięto, ale przez rok on i jego rodzina przeżywali, jak mi powiedział, piekło. A gdyby nie kościelna rękojmia, mogło być inaczej. „Jakby pan był zwykłym fryzjerem, dawno byśmy pana zgarnęli" – usłyszał od człowieka z kontrwywiadu.

Reinhold zmarł przedwcześnie w 1998 r. na raka. Kilka lat później, gdy otwarto archiwa, znalazłem potwierdzenie, że SB usiłowała go zwerbować, ale odmówił, więc – aby przerwać jego aktywność – w 1976 r. nałożono na niego zakaz wjazdu do Polski.

Jego historia przypomniała mi się, gdy przeczytałem, że Gerhard Schröder zostanie wkrótce szefem rady nadzorczej Gazpromu. To kolejna funkcja byłego kanclerza w putinowskim „składziku z narzędziami", którymi prezydent Rosji destabilizuje Europę; Schröder jest też we władzach koncernu naftowego Rosneft i gazociągu Nord Stream (za co otrzymuje wysokie wynagrodzenie). Ostatnio obarczył Ukrainę winą za to, że jest znów na krawędzi wojny, i postulował, by zachodni politycy mieli więcej zrozumienia dla Putina.

Można zapytać: ile trzeba, aby w Niemczech uznano, że Schröder przekroczył granicę, za którą jest zdrada? Albo, nazywając rzecz mniej staromodnie: by uznano, że Schröder działa – pal już licho Zachód i Ukrainę – wbrew interesom Niemiec?

Pośrednio odpowiedzi udzielił tu Robert Habeck, minister gospodarki i klimatu z partii Zielonych, gdy parę dni temu powiedział, że Niemcy podejmą kroki, by zmniejszyć zależność od Rosji, gdyż ostatnie tygodnie pokazują, iż „Rosja wykorzystuje swoje dostawy gazu także przeciw niemieckim interesom".

Ponieważ jednak Schröder nie jest fryzjerem, nikt go zapewne zgarniać nie będzie. ©℗

## Birma: głodni i wściekli

**BILANS:** 1463 zabitych, choć są także szacunki, które liczbę śmiertelnych ofiar szacują na blisko 11 tysięcy. Ponad 3 tysiące aresztowanych i 350 tysięcy osób zmuszonych do zmiany miejsca zamieszkania. Wreszcie – ponad 1,6 mln nowych bezrobotnych oraz odczuwalny spadek jakości życia milionów mieszkańców Birmy.

Tak w liczbach wygląda bilans pierwszego roku rządów armii, która 1 lutego 2021 r. obaliła demokratyczny rząd Narodowej Ligi na rzecz Demokracji, a jej liderkę Aung San Suu Kyi najpierw zamknęła w areszcie domowym, aby w końcu, po dwóch kuriozalnych procesach, skazać ją dwukrotnie na cztery lata więzienia m.in. za posiadanie nielegalnie sprowadzonych krótkofalówek.

Bank Światowy podaje, że pandemia i przewrót wojskowy zmniejszyły PKB Birmy o niemal 30 procent. Międzynarodowa Organizacja Pracy liczbę mieszkańców kraju żyjących w ubóstwie oszacowała na koniec 2021 r. na ok. 25 mln, czyli blisko połowę populacji. Z tego grona co najmniej 14,4 mln wymaga już natychmiastowej pomocy humanitarnej.

Pomimo – częściowo udanych – starań armii, by zapewnić jej władzy światowe uznanie, przewrót przeciął wiele korzeni łączących birmańską gospodarkę z resztą świata. Najmocniej ucierpiała i tak dotknięta już przez pandemię branża turystyczna, ale znaczny spadek zamówień odczuły także fabryki odzieżowe. Zachodnie marki wycofują zlecenia w obawie przed przestojami, które birmańskim zakładom zdarzają się coraz częściej z braku prądu.

©℗ MAREK RABIJ

Jesienią władze uwolniły tysiące demonstrantów, którzy po puczu trafili do aresztów. Rangun, październik 2021 r.

STR / AFP / EAST NEWS

# *KUL w krzywym lustrze*

ARTUR SPORNIAK

Uczelniana Komisja Dyscyplinarna ds. Pracowników Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego uniewinniła ks. prof. Alfreda Wierzbickiego z zarzutów dotyczących krytyki osób i instytucji, a postępowanie w kwestiach światopoglądowych i religijnych zostało umorzone. Sprawa ciągnęła się blisko półtora roku. We wrześniu 2020 r. Kolegium Rektorskie KUL zapowiedziało wszczęcie postępowania dyscyplinarnego względem ks. Wierzbickiego. Jak ujawnił on sam, zarzucono mu m.in. skrytykowanie dokumentu Konferencji Episkopatu Polski dotyczącego homoseksualizmu, krytykowanie biskupów za popieranie PiS, podpisanie „Apelu zwykłych księży" protestujących przeciwko restrykcyjnemu prawu antyaborcyjnemu, skrytykowanie radykalnej organizacji pro-life Fundacja Życie i Rodzina oraz nazwanie durniem ks. prof. Tadeusza Guza, który twierdził, że ksiądz rozdający komunię nie może roznosić wirusów (ks. Wierzbicki publicznie go przeprosił).

Działania rektora KUL ks. prof. Mirosława Kalinowskiego i Kolegium Rektorskiego wobec lubelskiego etyka przez wiele środowisk zostało uznanych za szykany. Protestowali m.in. Rada Naukowa Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, pracownicy Uniwersytetu Łódzkiego, absolwenci KUL i środowiska Klubów „TP". Z uczelnią zerwał jej były rektor ks. prof. Andrzej Szostek, a włoski filozof prof. Rocco Buttiglione odwołał swój wykład inauguracyjny.

Zdaniem rektora KUL z zawodem profesora uniwersytetu nie licuje krytyczne myślenie i publiczne wyrażanie swoich poglądów – w tym krytykowanie kościelnych hierarchów. To myślenie o roli uczelni w krzywym zwierciadle. Na szczęście honor KUL częściowo uratowała komisja dyscyplinarna. ©℗

## Kościelny think tank

**TRZY DOKUMENTY KOŃCOWE** i pierwsze wersje jedenastu innych przyjęto na zakończonym 5 lutego we Frankfurcie nad Menem trzecim zgromadzeniu ogólnym niemieckiej Drogi Synodalnej. W tekście o źródłach odnowy Kościoła położono nacisk na zmysł wiary wierzących obok „znaków czasu", Biblii i Tradycji. Drugi tekst postuluje zmianę ustroju Kościoła na bardziej synodalny, a trzeci – udział świeckich w mianowaniu biskupów. Droga Synodalna przyjęła ponadto postulaty: zmiany stosunku do homoseksualizmu, dopuszczenia antykoncepcji, błogosławienia par jednopłciowych i po rozwodach, święceń kapłańskich dla kobiet oraz złagodzenia dyscypliny kapłańskiego celibatu.

Niemieccy biskupi zdają sobie sprawę, że są to propozycje daleko idące, ale jak zauważył wiceprzewodniczący episkopatu bp Franz-Josef Bode, Droga Synodalna jest „wyjątkową okazją", aby przedyskutować obawy „dobrymi argumentami". ©℗ ASK

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**MĘCZENNIK**

**Papież zgodził się na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego 20-letniego pakistańskiego katolika Akasha Bashira. W 2015 r. jako ochotnik ochraniający świątynię Bashir zginął, zatrzymując terrorystę z ładunkiem wybuchowym. Będzie to pierwszy Pakistańczyk wyniesiony na ołtarze.**

**SKRUSZONY**

**Franciszek napisał wstęp do wywiadu-rzeki z byłym członkiem włoskiej mafii Luigim Bonaventurą, którego zeznania pozwoliły na aresztowanie prawie 500 członków 'ndranghety, kalabryjskiej mafii, najbardziej krwawej grupy przestępczej we Włoszech. „Zło nie ma mocy, by nas ostatecznie pogrzebać" – napisał papież w książce „Popłyńmy na drugi brzeg".**

**ROCKMANKA**

**W wieku 84 lat zmarła Janet Mead – australijska zakonnica, której rockowa wersja „Ojcze nasz" trafiła w 1974 r. na 4. miejsce listy przebojów w Stanach Zjednoczonych.**

**PROWOKATOR**

**Watykański dziennik „L'Osservatore Romano" w zaskakujący sposób skomentował parodię chrztu wykonaną przez włoskiego rapera Achille Lauro podczas występu na festiwalu w San Remo. Przypomniano Davida Bowiego, który klęcząc na scenie, odmawiał „Ojcze nasz". „Nie ma już dziś takich transgresorów jak kiedyś" – napisał recenzent.**

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**AGNIESZKA ZIELIŃSKA** opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM o wyludniających się wsiach i miasteczkach Hiszpanii (tekst na s. 49). Słuchaj rozmowy w środę 9 lutego o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

## Papieskie show

**OBECNOŚĆ FRANCISZKA** we włoskim telewizyjnym *talk show* „Che tempo che fa" (któremu jak dotąd największą oglądalność przyniosły Madonna i Lady Gaga) budziła wiele pytań i emocji. „Dawniej królowie przychodzili do papieża, dziś papież idzie do błazna" – mówią złośliwi. Gospodarz audycji, Fabio Fazio – dziennikarz, aktor i parodysta – dba o lekki i rozrywkowy charakter programu, jak również nie słynie z zadawania trudnych pytań. Nieraz też pozwalał sobie i współprowadzącym na niewybredne żarty z religii.

CTCF / TWITTER

Oskarżenia o „poniżanie urzędu" możemy uznać za bezsensowne, jednak obawy o zbanalizowanie papieskiego przekazu i sprowadzenie go do kilku słusznych i dobrze znanych postulatów społecznych, charytatywnych i ekologicznych, wydawały się już całkiem uprawnione.

Rozmowa z Franciszkiem – który z mediolańskim studiem połączył się zdalnie – trwała 45 minut. Poza bardzo ważnymi, ale też całkiem oczywistymi tematami – jak wojna, imigranci, troska o bliźnich i o Ziemię – pojawiły się pytania niespodziewane: o przyjaźnie papieża, dziecięce marzenia czy – być może najbardziej zaskakujące dla publiczności – jak się modlić, na które Franciszek udzielił wzruszającej, osobistej odpowiedzi.

W niedzielny wieczór kilka milionów widzów, wśród których – jak wynika ze statystyk – wiele było osób religijnie obojętnych lub zrażonych do Kościoła, zobaczyło obraz chrześcijaństwa opartego nie na instytucji, ale Ewangelii, zadającego wiele pytań, choć nie zawsze znajdującego na wszystko odpowiedzi, stawiającego nie na przepisy, ale osobistą, intymną relację z Bogiem.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Więcej na **powszech.net/talkshow**

## KULTURA W SKRÓCIE

**NAJLEPSZA W PARYŻU**

Krótkometrażowa animacja „Figury niemożliwe i inne historie I", ostatnia część trylogii scenarzystki i reżyserki Marty Pajek, otrzymała nagrodę za najlepszą koncepcję artystyczną na tegorocznym Paris International Animation Film Festival.

**AMERYKAŃSKIE STYPENDIUM**

Anna Duczmal-Mróz zdobyła główną nagrodę i stypendium w konkursie organizowanym przez legendarną amerykańską dyrygentkę Marin Alsop, wspierającą koleżanki po fachu. Polka będzie asystować Alsop podczas jej występów w Europie i Stanach Zjednoczonych, a w lipcu poprowadzi Chicago Symphony Orchestra w ramach prestiżowego Ravinia Festival.

**ZAPROSZENIE DO WENECJI**

Biennale Sztuki w Wenecji wybrało 213 artystów z 58 krajów, którzy wezmą udział w tegorocznej edycji. Polskę na wystawie głównej reprezentować będą artystka medialna Aneta Grzeszykowska i fotografka Joanna Piotrowska.

**WROCŁAWSKIE ZOMBIE**

Polskie gry wzbudzają coraz większe emocje na całym świecie. Debiutująca w miniony weekend „Dying Light 2: Stay Human" – wyprodukowana przez wrocławską firmę Techland – mogła pochwalić się w dniu premiery liczbą 160 tys. grających jednocześnie na popularnej platformie Steam. Na listę życzeń wpisało ją około 3 mln osób.

**NOWE SKRZYDŁA**

Nagrodę Literacką Skrzydła Dedala, przyznawaną przez Bibliotekę Narodową, otrzymał w tym roku prof. dr hab. Jan Tomkowski, historyk literatury, prozaik, eseista oraz autor podręczników.

TOMASZ HOŁOD / WROCŁAW.PL

# Polska odzyskuje dzieła zagrabione podczas wojny

**OBRAZ „OPŁAKIWANIE CHRYSTUSA"** z warsztatu Lucasa Cranacha Starszego (na zdjęciu) powrócił do Wrocławia. To jedno z najważniejszych dzieł odzyskanych przez Polskę w ostatnich latach, o dużym znaczeniu artystycznym, ale też historycznym. Powstało na zamówienie kupca Konrada von Günterode i jego żony Anny, znajdowało się w klasztorze cystersów w Lubiążu do jego sekularyzacji w 1810 r. W 1880 r. obraz trafił do Śląskiego Muzeum Sztuk Pięknych. Podczas II wojny wraz z innymi cennymi dziełami został ukryty w Kamieńcu Ząbkowickim. Dalsze jego dzieje były nieznane i dopiero niedawno „Opłakiwanie" odnaleziono w Muzeum Narodowym w Sztokholmie. Muzeum nabyło je w dobrej wierze – pochodziło ze spuścizny zmarłego w latach 60. Siegfrieda Häggberga, przedwojennego dyrektora polskich spółek LM Ericsson, potem zaangażowanego w pomoc Polakom i Żydom.

Śląskie pochodzenie „Opłakiwania" potwierdzono dzięki współpracy polskiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz szwedzkich muzealników i to sztokholmskie muzeum zarekomendowało zwrot obrazu. Uznało bowiem, że nie należy wchodzić w spory prawne, lecz działać zgodnie z wypracowanymi w ostatnich dekadach zasadami postępowania z mieniem zagrabionym w latach 1933-45. Dzięki nim coraz więcej cennych obiektów wraca do prawowitych właścicieli, by wspomnieć „Krzaki róż pod drzewami", obraz Gustava Klimta z Musée d'Orsay, odzyskany przez spadkobierców Nory Stiasny, ofiary Holokaustu, czy dwa XVII-wieczne gobeliny, przekazane przez Muzeum Sztuki w Tel Awiwie rodzinie Rudolfa Mossego, berlińskiego wydawcy z przełomu XIX i XX w.

Dzięki tym zasadom także Polska od lat odzyskuje dzieła zagrabione podczas wojny. Nadal jednak brakuje u nas szeroko zakrojonych badań proweniencyjnych, które pozwoliłyby także i w polskich zbiorach odnaleźć obiekty o wątpliwym pochodzeniu. Co więcej, ubiegłoroczne zmiany prawa uniemożliwiają dochodzenie roszczeń przez prawowitych właścicieli.

© PIOTR KOSIEWSKI

# Co dwie wody to nie jedna

**CZY W RZECZYWISTOŚCI** woda nie jest jedną cieczą, ale mieszaniną dwóch cieczy o różnych cechach fizycznych, wynikających z różnego grupowania się cząsteczek $H_2O$? Ta zaskakująca teoria, wysunięta 30 lat temu w celu wyjaśnienia nietypowych właściwości wody na tle innych cieczy, właśnie uzyskała silne potwierdzenie eksperymentalne.

Pozornie rzecz wydaje się prosta: aby wykazać, że mamy do czynienia z mieszaniną dwóch typów (tzw. „faz") pewnej cieczy, wystarczy tak dobrać ciśnienie i temperaturę, aby zaobserwować całkowitą przemianę jednego typu w drugi. Tyle że według wspomnianej teorii przemiana taka zachodziłaby w temperaturach poniżej minus 100 st. Celsjusza, w których woda po prostu zamarza.

Ten problem udało się przezwyciężyć fizykochemikowi Yoshibaru Suzukiemu, który aby powstrzymać błyskawiczne zamarzanie wody, rozpuścił w niej trehalozę – substancję wykorzystywaną m.in. przez owady do ochrony przed mrozem. Zaobserwowana przez niego przemiana dobrze pasuje do modeli teoretycznych i jeśli jego wyniki się utrzymają, będą mieć implikacje od biologii po planetologię, a także zastosowanie w kriokonserwacji.

© TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

*Czesław Michniewicz jako trener Lecha Poznań, w okresie intensywnych kontaktów ze skazanym za korupcję Ryszardem Forbrichem. Warszawa, czerwiec 2004 r.*

# CAŁA POLSKA WIDZIAŁA

W tej paradzie przestępstw i afer przywracanych dziś zbiorowej pamięci jest zapisany kawał naszej historii. Czy interesujecie się piłką, czy nie.

MICHAŁ OKOŃSKI

Z pewnością nie takiej prezentacji nowego selekcjonera oczekiwali ci, którym zależy na powodzeniu reprezentacji Polski w zbliżającym się meczu z Rosją. Czesława Michniewicza, na którego zdecydował się ostatecznie prezes PZPN Cezary Kulesza, dziennikarze pytali nie tylko o to, kto będzie jego pierwszym bramkarzem i czy rozmawiał już z Robertem Lewandowskim. Trudno się dziwić: na wieść o tym, że będzie przewodził polskim piłkarzom w walce o awans na mundial w Katarze, media przypomniały natychmiast, że jego nazwisko pojawiało się w kontekście afery korupcyjnej, która przed laty wstrząsnęła światem futbolu.

Michniewicz nie znalazł się wprawdzie wśród ok. 600 osób – sędziów i obserwatorów pracy sędziów, trenerów i piłkarzy, działaczy klubowych, a nawet masażystów – którym prokuratura postawiła zarzuty, ale jego związki z ojcem chrzestnym ustawiającej mecze mafii, Ryszardem Forbrichem pseudonim „Fryzjer", musiały stać się przedmiotem dociekań. Z akt sprawy wynika m.in., że między nowym trenerem reprezentacji a odsiadującym dziś wyrok Forbrichem w latach 2003-2005 odnotowano 711 połączeń i prób połączeń telefonicznych, z czego przed meczem prowadzonego przez Michniewicza Lecha Poznań ze Świtem Nowy Dwór Mazowiecki w maju 2004 r. – osiem, trwających blisko pół godziny. Lech wtedy przegrał, ale zarówno w prokuraturze, jak w licznych ostatnio wywiadach Michniewicz przekonywał, że nie wystawił rezerwowego składu. I że nie wiedział, iż mecz sprzedali trzej jego piłkarze.

### Specjalna premia

Lektura setek stron akt tamtego śledztwa, dostępnych na prowadzonym przez Dominika Panka blogu Piłkarska Mafia, robi wrażenie nawet na wytrawnych tropicielach polskich afer. Na przesłuchaniu 4 lutego 2009 r. Michniewicz opowiada prokuratorom np., jak to przed spotkaniem Lecha z Górnikiem Polkowice podczas obiadu rodzinnego w poznańskiej restauracji podeszły do niego dwie osoby związane z drużyną rywala i zaproponowały dobicie targu. Poirytowany, odrzucił propozycję, a następnie izolował swoich piłkarzy od wszelkich kontaktów, ba: kazał im nawet przebierać się przed meczem w autobusie.

„Wygraliśmy spotkanie 2:0 po czym szybko wsiedliśmy do autobusu, byliśmy bardzo szczęśliwi ze zwycięstwa – czytamy w stenogramie zeznań Michniewicza [interpunkcja oryginalna]. – Pozwoliłem zawodnikom wypić kilka piw zatrzymując się w przydrożnym barze. Również jako trenerzy mieliśmy przygotowany alkohol i się napiliśmy. Podczas jazdy autobusem doszło do takiego zdarzenia, że być może nasz masażysta, albo ktoś inny, z uwagi na alkohol nie pamiętam, przyszedł i powiedział, że jest specjalna premia dla drużyny za zwycięstwo. (...) Ja nie pamiętam już dzisiaj jaka to była kwota, wtedy wiedziałem jaka była, bo przeliczyłem te pieniądze i równo każdemu z będących w autokarze dałem określoną równą kwotę. (...) Wszyscy dostali pieniądze, tzn. wszystkie osoby, które jechały w autokarze, również kadra trenerska, zawodnicy, kadra medyczna, cały sztab szkoleniowy, cały sztab, który był na meczu. Z tego co pamiętam to były dolary amerykańskie. (...) Po meczu te pieniądze dał mi w autokarze, z tego co pamiętam, Robert D. – masażysta i powiedział, że są to pieniądze od drużyn innych zespołów, które będą mogły przez nasze zwycięstwo utrzymać się w lidze".

Michniewicz przyznaje w prokuraturze, że nie zaliczył tych pieniędzy do swojego dochodu i nie opodatkował. Nie widzi też nic złego w ich przyjęciu: „Ja jako trener nie wiedziałem nic przed meczem o tej premii, myślę, że zawodnicy też nie wiedzieli i ta premia nie zmieniła naszego nastawienia w tym meczu". Ale to chyba nie jest jedyny powód. Po prostu w świecie piłki nożnej pierwszej dekady XXI w. wszyscy tak robili.

### Niedziele cudów

Kiedy w 2005 r. prezes GKS Katowice Piotr Dziurowicz decyduje się w końcu przerwać zmowę milczenia i w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" opisać mechanizm, w ramach którego kupował drużynie sukcesy, później zaś poszedł na współpracę z policją i wziął udział w prowokacji polegającej na wręczeniu sędziemu łapówki, najważniejszy fragment rozmowy nie wiąże się bynajmniej z odsłanianiem kulis przestępczego procederu (złapany na gorącym uczynku arbiter ukrywał pieniądze w kole zapasowym).

„Co by Pan powiedział dziesięcioletnim chłopcom, którzy chcą uprawiać piłkę?" – pada pytanie. „Niech grają, niech grają – odpowiada Dziurowicz. – Tylko co im powiem za 10 lat, gdy po ligowym debiucie będą płakać w szatni, bo sędzia nie dał im szans na wygranie?". Dziennikarze dopytują wówczas, czy po pięćdziesiątym meczu też będą płakać. „Nie, po pięćdziesiątym będą już kupować i sprzedawać" – słyszą.

Z relacji składanych Rafałowi Stecowi przez zachowujących anonimowość sędziów, działaczy i zawodników wyłania się świat, w którym oszustwo jest powszechne i powszednie. Jedną z przytaczanych przez dziennikarza w książce „Piłka sss... kopana" środowiskowych legend jest ta o konferencji prasowej prezesa drugoligowej drużyny, która na przełomie stuleci walczyła o awans do ekstraklasy. „Kiedy buzujące procentami butelki przekształciły oficjalne spotkanie w bankiet, rozentuzjazmowany prezes wyjął z kieszeni notatki i uroczyście odczytał, co jego drużyna osiągnie w zbliżającej się rundzie wiosennej. W obecności kilkudziesięciu świadków wymieniał mecz po meczu, podając wyniki. Sprawdziły się co do joty" – pisze Stec, dodając, że „osiągnęliśmy etap, na którym za cnotliwego uchodzi ten, kto nie kradnie zawsze, lecz tylko czasami, kiedy naprawdę musi".

W 1993 r. do ostatniej kolejki ŁKS i Legia toczyły bój o mistrzostwo Polski, a że miały równą liczbę punktów – o tytule musiał zdecydować stosunek bramek. Obie drużyny strzelały więc na zawołanie, w dniu nazwanym wówczas „niedzielą cudów" wygrywając odpowiednio 7:1 i 6:0. „Cała Polska widziała, a wy jesteście niewidomi!" – wykrzyczał wówczas wiceprezes PZPN Ryszard Kulesza do swoich współpracowników i ostatecznie Legii odebrano mistrzostwo. Zaiste, widziała. W pomeczowym wywiadzie dla TVP ówczesny szkoleniowiec warszawskiej drużyny Janusz Wójcik, na pytanie Andrzeja Szeląga, czy nie czuje lekkiego niesmaku, najpierw próbuje zmienić temat, a później – dociskany, czy żeby udowodnić, iż prowadzi najlepszą drużynę w Polsce, naprawdę potrzebuje reżyserii – mówi: „Reżyseria... Wie pan, w każdej lidze pewna reżyseria musi być" i przedstawia Legię jako zespół, który „przez cały czas musiał walczyć z trudnościami". „Nie wiem, czy przekonaliśmy kibiców wszystkich naszych drużyn ligowych" – puentuje ↦

↦ autor wywiadu, przeprowadzonego na stadionie Wisły Kraków, której odarci ze złudzeń kibice kilkadziesiąt minut wcześniej skandowali „Wisełko, podziel się z nami”.

### Mistrz swojego fachu

Ryszard Forbrich to symbol tamtych czasów. Jeśli ojciec chrzestny, to raczej w wersji chłopskiej, z włoskiego Południa, niż elegant z hollywoodzkich opowieści; poza wyraźną słabością do złota (nosił złoty sygnet, złoty łańcuch, złoty zegarek, w uśmiechu szczerzył złoty ząb) nieprzywiązujący wagi do stroju. „Niepozorny, korpulentny mężczyzna, z wyjątkowo niemodną fryzurą (łysina z przodu, dłuższe włosy z tyłu” (jak portretował go Szymon Jadczak, dziennikarz śledczy od lat zajmujący się krążącymi wokół futbolu przestępcami), faktycznie był z zawodu fryzjerem. Działaczem piłkarskim został w czasach przełomu, początkowo w zarządzanej przez milicję Olimpii Poznań, a później we Wronkach, gdzie doprowadził do fuzji dwóch lokalnych drużyn i utworzenia nowego klubu, sponsorowanego przez miejscowego producenta sprzętu AGD. Awans o sześć klas rozgrywkowych dzięki Forbrichowi, który został w międzyczasie kierownikiem drużyny i działaczem PZPN, zajął Amice cztery lata.

„Przełom ustrojowy w roku 1989 stał się okazją dla różnych obrotnych biznesmenów pierwszego pokolenia, z których wielu skończyło na ławie oskarżonych – pisze Stefan Szczepłek w „Mojej historii futbolu”. – Kupowali kluby, piłkarzy, obiecywali złote góry, a potem nierzadko szukała ich policja. Czasami od działań takich właśnie ludzi zaczynały się kłopoty klubów wpadających w spiralę długów. Przejście od socjalizmu do kapitalizmu okazało się dla niejednego z nich zabójcze”. Jowialny, sypiący rubasznymi dowcipami Forbrich czuł się w tym świecie jak ryba w wodzie.

„Miał wielką umiejętność dowiadywania się wielu rzeczy o ludziach. Znał ich słabości, znał ich bolączki. Jeśli wiedział np., że ktoś ma chorą matkę, żonę, to bardzo pomagał. Niekoniecznie więc korumpował, tylko zyskiwał przychylność” – opowiadał o nim były sędzia piłkarski Jarosław Szostek w rozmowie z Leszkiem Milewskim; rozmowie, która tyleż dostarczała pikantnych szczegółów na temat przestępczej działalności „Fryzjera”, co stanowiła próbę jego obrony („Nigdy bym nie powiedział, że dowodził jakąś grupą przestępczą – mówił Szostek. – Forbrich był mistrzem swojego fachu, mistrzem wśród działaczy, chapeau bas, choć sprawa zła...”).

> Jeśli piłka nożna jest lustrem, które można przyłożyć społeczeństwu, to w aferze korupcyjnej sprzed dwóch dekad odbijają się dzieje polskiej transformacji.

A jednak w akcie oskarżenia mowa była o kierowaniu zorganizowaną grupą przestępczą. Kiedy o przekupstwach związanych z załatwianiem kolejnych sukcesów Amiki zaczęło już być zbyt głośno, „Fryzjer” został odsunięty od zarządzania klubem. I to właśnie wtedy rozwinął, by tak rzec, działalność ogólnopolską.

„Mówił mi ostatnio znany dziennikarz, że w tamtym czasie, kto nie znał F. [Forbricha], to znaczy, że był nikim” – tłumaczył Czesław Michniewicz portalowi Weszło, kiedy kilka lat temu zaczęto go dopytywać o feralną znajomość. Dom „Fryzjera” we wsi Obrzycko nazywano „biurem spadków i awansów”, knajpę Borowianka, gdzie spraszał gości, traktowano z większą powagą niż siedzibę PZPN. Okazało się, że do opanowania polskiej piłki wystarczy – jak to ujął Jadczak – „mentalność drobnego cwaniaczka w połączeniu z ogromnymi pieniędzmi”.

### Mecz kosztuje różnie

Na co szły te pieniądze? Forbrich opłacał sędziów i oceniających ich pracę obserwatorów (albo organizował im prezenty „w naturze”, dzięki kontaktom w agencjach towarzyskich), pośredniczył w kontaktach między potrzebującymi drużynami, a drużynom, które skłonne były pójść na rękę tamtym, doradzał. I wcale się z tym nie ukrywał. W książce „Mafia Fryzjera” Ryszard Niedziela, były prezes Odry Opole, którego zeznania walnie przyczyniły się do zatrzymania Forbricha, wspomina rozmowę, w której ten oświadcza: „Panie Ryszardzie, w piłce nie ma przypadków. Od dziewięćdziesiątego roku nikt przypadkowo nie zdobył mistrzostwa Polski. Nikt przypadkowo nie wywalczył awansu. Wszystko jest poukładane. A bez przychylności sędziów i obserwatorów najlepszy zespół zostanie wydymany”.

Interes kręcił się nawet po wprowadzeniu w 2003 r. artykułu 296b kodeksu karnego, zakazującego organizatorom i uczestnikom profesjonalnych zawodów sportowych przyjmowania korzyści majątkowych lub osobistych mogących mieć wpływ na wynik: jedynym środkiem ostrożności przekonanego o własnej bezkarności „Fryzjera” była częsta wymiana telefonów na kartę. „Mecz kosztuje różnie. Zależy kto prowadzi, kto obserwuje, z kim gracie, czy u siebie, czy na wyjeździe – instruował prezesa Odry. – Na wiosnę wszystko jest droższe. Moja rada: zrób pan jak najwięcej punktów teraz. Na jesieni wszystko jest tańsze, zespoły przeciwne jeszcze nie inwestują w sędziów. Nie żałuj pan kasy, bo przyjdzie runda wiosenna i będzie różnie”.

### Nie ma czasu na trenowanie

O tym, jak to wyglądało przed 18 laty w przypadku walki o utrzymanie w I lidze Świtu Nowy Dwór Mazowiecki, również możemy przeczytać w aktach dostępnych na blogu Dominika Panka. Skazany później za korupcję Wojciech Sz. słyszy od ściągniętego do klubu trenera Janusza Wójcika, że „nie ma czasu na trenowanie, teraz jest już czas jedynie na załatwianie”.

„Ktoś taki, świetnie zorientowany w środowiskowych układach, znający wszystkich, z sędziami na czele, miły dla każdego, jest zawsze potrzebny tam, gdzie »sprawiedliwość musi być po naszej stronie«” – portretował Wójcika w „Mojej historii futbolu” Szczepłek. Pisał o człowieku, który w 2014 r. również doczekał się wyroku za korupcję, a skazująca go sędzia powiedziała, że „wolał ustawiać mecze, niż trenować zawodników, dla których powinien być wzorem”.

Przez kilka miesięcy pracy w Świcie Wójcik kontaktował się z Forbrichem ponad 300 razy (to dane z zarejestrowanych numerów, bo – jak wspomnia-

łem – „Fryzjer" używa również licznych telefonów *prepaid*). Ostatecznie drużyna spadła do II ligi, ale tylko dlatego, że Wójcik pojawił się w niej zbyt późno; jak piszą prokuratorzy: „gdyby brać pod uwagę jedynie okres jego pracy w tym klubie, można z przymrużeniem oka stwierdzić, że niemal otarł się z zespołem o europejskie puchary, zajmując z drużyną piąte miejsce w rozgrywkach ligowych".

Przymrużenia oka należy się jednak wystrzegać. Jakkolwiek humorystycznie mogą brzmieć opowieści o wywożonych z Wronek w sędziowskich bagażnikach pralkach czy lodówkach, czas korupcji w piłce to także złamane kariery tych, którzy próbowali zerwać zasłonę milczenia, albo którzy po prostu nie potrafili załatwiać spraw tak jak Wójcik. To legendy o nieświadomych niczego juniorach, strzelających piękną bramkę, a potem ruganych przez kolegów za popsucie scenariusza. To historie o spotkaniu ustawionym z trzech stron, w którym działacze klubu A kupują mecz od piłkarzy klubu B, a działacze klubu B kupują mecz od sędziego, przeciwko własnym piłkarzom. To setki sfałszowanych spotkań i kilkadziesiąt drużyn zamieszanych w handel.

### Marzyłem, żeby sędziować uczciwie

Kiedy szambo wybiło, w środowisku opowiadało się, że meczami nie handluje tylko Wisła, do której ówczesny właściciel Bogusław Cupiał sprowadził największe gwiazdy polskiej piłki i deklarował, że nie po to je kupował, żeby jeszcze płacić sędziom. O wielkim szczęściu mogą mówić zawodnicy, którzy wyjechali z kraju na tyle wcześnie, by nie zdążyć utonąć w bagnie – jak pisał Stec: „polski piłkarz w najlepszym razie, jeśli nie ulegnie pokusie, żyje w kłamstwie".

W kłamstwie i strachu przed kibolami, dodajmy, których nie obchodzi, w jaki sposób drużyna wygrywa, i którzy gotowi są ukarać jakiś pochopny akt szczerości. Kiedy w listopadzie 2021 r. uczestniczący w opisanym wyżej spotkaniu Wisły z Legią z 1993 r. Grzegorz Szeliga wyznał na portalu społecznościowym, że sprzedał tamten mecz, napisał nie tylko to, że zdecydował się na powiedzenie prawdy, bo choruje na raka i nie chce zabierać tego do grobu. Dodał, że jego grający w piłkę synowie mają żal za ów *coming out*, i że wie, iż będzie miał teraz przechlapane.

Zdarzali się i tacy, którzy w trakcie zeznań odczuwali ulgę z powodu zrzucenia z siebie ciężaru. „Marzyłem, żeby kiedyś posędziować mecz uczciwie" – mówił śledczym jeden z arbitrów, a przeglądający protokół dziennikarz nie mógł nie zauważyć adnotacji, że przesłuchiwany zaczął płakać. Ale Piotr Dziurowicz, który w wywiadzie dla „GW" podał nazwiska trenerów zamieszanych w korupcyjny proceder, nie został przez żadnego z nich pozwany – i w następnych latach żaden nie miał kłopotów ze znalezieniem kolejnych prac, podczas gdy były prezes GKS musiał wyjechać za granicę.

### Złoty interes

Dla piłkarskiego laika najciekawsze jest oczywiście pytanie, co to wszystko mówi o Polsce, bo przecież świat futbolu nie jest w niej samotną wyspą. Korupcyjny proceder w piłce kwitł już w latach 80., ale wówczas największe kluby były pod parasolem peerelowskich potęg: milicji, wojska, wielkich zakładów przemysłowych, a cenzura dbała o to, by o nieprawidłowościach nie mówiono zbyt wiele.

Później nadszedł jednak czas transformacji: pozbawiania piłkarzy lewych etatów w fabrykach, fuzji między klubami, rodzenia się nowych piłkarskich przedsięwzięć. „Gdy ktoś miał dobre układy z wojskiem, kopalniami, milicją czy koleją, umiał się zakręcić, to mógł zarobić dobre pieniądze – opowiada Maciej Szczęsny w wywiadzie dla magazynu „Kopalnia". – Pojawiały się firmy sponsorujące kluby, w zamian dostawały karty zawodnicze piłkarzy. Złoty interes". Ojciec obecnego bramkarza reprezentacji, przed laty również golkiper, wspomina nie tylko, jak pracownicy Legii upychali w reklamówki wymięte banknoty zarobione przez klub na biletach, żeby zapłacić zawodnikom – ale także jak na klubie uwłaszczyła się założona przez pewnego biznesmena fundacja Warsfutbol, która, owszem, włożyła w tę operację setki milionów starych złotych, ale zarobiła, np. dzięki sprzedaży Romana Koseckiego do Turcji – miliony dolarów.

Pierwsze lata kapitalizmu w futbolu to nie tylko pierwsze reklamy, np. dżinsów Casucci w Górniku Zabrze, ale także strajk domagających się wypłat piłkarzy Lecha i Wisły w styczniu 1993 r. (daleki ↦

## Gole, punkty, wyroki

**1993** Ustawione mecze Wisła–Legia i ŁKS–Olimpia w ostatniej kolejce ligowej. „Jak kurtyzana z klientem..." – tytułuje krakowskie „Tempo" sprawozdanie z tego pierwszego meczu. Interweniuje PZPN, pozbawiając Legię mistrzostwa Polski.

**2000** Ryszard Forbrich odchodzi z Amiki Wronki i rozwija działalność na skalę ogólnopolską. Zdaniem prokuratury to od tej pory można mówić o założonej przez niego zorganizowanej grupie przestępczej.

**2003** W kodeksie karnym pojawia się zapis pozwalający ścigać korupcję w sporcie.

**2004** „Gazeta Wyborcza" publikuje tekst o ustawionym meczu II ligi między Polarem Wrocław a Zagłębiem Lubin. Początek śledztwa miejscowej prokuratury, które wkrótce obejmie cały kraj.

PIOTR GAJEK / EAST NEWS

**2005** Zorganizowana przez policję prowokacja: zatrzymanie na gorącym uczynku pierwszoligowego sędziego z łapówką przekazaną mu przez prezesa GKS Katowice Piotra Dziurowicza. Wywiad tego ostatniego dla „GW", ujawniający skalę korupcji. Początek fali zatrzymań.

**2006** Ryszard Forbrich po raz pierwszy trafia do aresztu. PZPN rozwiązuje wszystkie wojewódzkie kolegia sędziowskie. Arbitrzy pragnący sędziować w kolejnym sezonie muszą złożyć oświadczenia o nieuczestniczeniu w handlu meczami i przejść weryfikację.

↦ jestem od usprawiedliwiania korupcyjnego procederu, ale miał on także i taki kontekst: Maciej Szczęsny opisuje świat, w którym co 10 dni dostaje jedną trzecią pensji i nie jest pewien, czy otrzyma kolejną transzę). To próba sprywatyzowania nawet reprezentacji Polski, w której znów wziął udział Janusz Wójcik, oczywiście do spółki z gronem przedsiębiorców oraz... ks. Henrykiem Jankowskim. To upadki zasłużonych klubów, których działacze nie nadążyli za rzeczywistością, oraz tracone fortuny biznesmenów, którzy spełniali swoje chłopięce marzenia o wejściu w świat futbolu i zderzali się z rzeczywistością, która jako żywo różniła się od dominującego wówczas mitu o szansach, jakie dają wolny rynek i kapitalizm.

### Koniec złudzeń

11 kwietnia 2001 r. (mniej więcej w czasie, kiedy Forbrichowi we Wronkach robi się już za ciasno) przed warszawską restauracją zastrzelono b. ministra sportu Jacka Dębskiego, mającego – jak się okazało – związki ze zorganizowaną przestępczością, ale usuniętego z rządu po wywiadzie, w którym oskarżył wysokiego funkcjonariusza AWS o zmuszanie go do „znalezienia kwitów na Kwaśniewskiego" z czasów, gdy z kolei ten był ministrem sportu.

Nie było to pierwsze tajemnicze zabójstwo w ówczesnej Polsce: trzy lata wcześniej zginął komendant główny policji, gen. Marek Papała. Także wokół kolejnych prywatyzacji mnożyły się aresztowania i oskarżenia o korupcję, dotyczące a to prezesa PZU Życie, a to prezesa PKN Orlen, a to jednego z najbogatszych Polaków, Jana Kulczyka, który o przejmowaniu ważnych rafinerii rozmawiał z podejrzewanym o szpiegostwo rosyjskim dyplomatą Ałganowem. W grudniu 2002 r. Polska dowiaduje się o propozycji korupcyjnej złożonej przez Lwa Rywina Adamowi Michnikowi. W marcu 2003 r. wybucha afera starachowicka – poseł Jagiełło, wykorzystując przeciek z MSWiA, ostrzega przed planowanymi aresztowaniami samorządowców podejrzewanych o współpracę z lokalnymi przestępcami. Jesienią 2004 r. dochodzi do zatrzymania lobbysty Marka Dochnala, korumpującego posła Andrzeja Pęczaka na tle prywatyzacji w sektorze energetycznym.

Prace przeżywających wówczas rozkwit sejmowych komisji śledczych ujawniają, jak podsumowuje Antoni Dudek w „Historii politycznej Polski 1989-2015", „całą pajęczynę nieformalnych powiązań na styku polityki i biznesu", ale problem dotyczy nie tylko elit: w styczniu 2002 r. „Gazeta Wyborcza" ujawnia aferę „łowców skór", czyli pracowników łódzkiego pogotowia, którzy zabijali pacjentów przy pomocy środka zwiotczającego mięśnie, a następnie sprzedawali informacje o zgonach zakładom pogrzebowym. W książce Dudka znajdziemy informację, że o ile w latach 90. odsetek przekonanych, że Polska jest państwem skorumpowanym, oscyluje wokół 40 proc., to w 2004 r. dobija do 75 proc.

Jeśli spojrzeć z tej perspektywy, korupcja w piłce jest tylko jednym z luster, w jakich przeglądało się wówczas polskie społeczeństwo. Nie był to piękny obraz. W „Końcu złudzeń", głośnym tekście Pawła Śpiewaka opublikowanym w „Rzeczpospolitej" w 2003 r., pojawia się nie tylko hasło budowy IV RP, ale też obserwacja, że „politykę uprawia się w Polsce jak handel na Jarmarku Europa". W jego opisie nagranie propozycji Rywina brzmi jak analiza rozmowy Forbicha. „Wszystko jawi się jako gra, w której chodzi o wpływy i pieniądze – pisze Śpiewak. – Żadnej taniej moralistyki, wynoszenia się ponad przeciętność. Gra wymaga pieniędzy, znajomości (Robert, Andrzej, Leszek i wiele innych postaci) i chodzi w niej tylko o jedno: o skuteczność. Nie wolno dać się wykuglować".

O kondycji społecznej, która za chwilę miała poprowadzić do wyborczego sukcesu zapowiadających sanację życia publicznego PO i PiS, piszą wówczas nawet ci, którzy odpowiadali za dotychczasowy przebieg transformacji. Waldemar Kuczyński głosi na łamach „GW", że „korupcja i szerzej, nieetyczne, sprzeczne z prawem zdobywanie korzyści, to skutek nagłego zetknięcia się społeczeństwa – wyposzczonego i zdemoralizowanego przez PRL-owską ekonomię »pustych półek« – z olśniewającym powabem kapitalizmu konsumpcyjnego. Wszystko można mieć, i to natychmiast, byle mieć pieniądze. Szok tego zetknięcia wywindował pieniądz na czoło hierarchii wartości".

Jesteśmy już niedaleko kolejnych rozdziałów tej historii: futbol, pod bacznym okiem stacji płacącej za prawo do transmisji telewizyjnych, w znacznej mierze się profesjonalizuje (zabawny smaczek: przy Okrągłym Stole dla Polskiej Piłki,

**2007** Zatrzymanie członka zarządu PZPN i eksperta Canal Plus (oceniającego w tej stacji pracę arbitrów) Wita Żelazki. Rząd wprowadza do PZPN kuratora. PZPN rozpoczyna karanie zamieszanych w korupcję klubów.

WOJTEK WILCZYŃSKI / FORUM

**2008** Zatrzymanie Janusza Wójcika, byłego trenera reprezentacji Polski. Dominik Panek uruchamia blog Piłkarska Mafia.

**2009** Wyroki skazujące dla byłych reprezentantów Polski i trenerów, Dariusza Wdowczyka (3 lata w zawieszeniu; skazany mówi, że wyrok jest sprawiedliwy) i Andrzeja Woźniaka (2,5 roku w zawieszeniu). Zatrzymania piłkarzy Lecha podejrzanych o sprzedanie meczu ze Świtem. Czesław Michniewicz dobrowolnie zgłasza się do prokuratury.

**2011** Do korupcji przyznaje się reprezentant Polski Łukasz Piszczek, w 2006 r. zrzucający się na ustawienie meczu Zagłębie Lubin–Cracovia (skazany na rok więzienia w zawieszeniu).

PAWEŁ KOZIOŁ / REPORTER

**2012** Początek głównego procesu w sprawie korupcji w polskiej piłce. Akt oskarżenia liczy ponad 1000 stron i obejmuje 113 osób.

**2014** Janusz Wójcik skazany na 2 lata więzienia w zawieszeniu.

**2019** Ryszard Forbrich rozpoczyna odsiadywanie wyroku 4,5 roku pozbawienia wolności.

zorganizowanym z inicjatywy Canal Plus, siedzą obok siebie w 2007 r. Mariusz Walter i Mateusz Morawiecki) i nadrabia infrastrukturalne zapóźnienia, ale za cenę dalszej komercjalizacji. „Ze wszystkich dostępnych w kapitalistycznym świecie opcji organizacji profesjonalnego sportu wybraliśmy najbardziej wolnorynkowy" – zauważał niegdyś w „TP" Rafał Woś. Ale to już temat na inną opowieść.

### Złe czasy, źli ludzie

Był taki czas w polskiej piłce, kiedy pijany trener Wójcik w trakcie przedmeczowej odprawy przewrócił się i wpadł twarzą w torbę bramkarza („Przez myśl mi przeleciało, że jak mi się zrzyga do tej torby, to go zabiję. Cisza się zrobiła w szatni, w końcu ktoś mówi: »Weź, kurwa, go wyjmij«" – wspomina Maciej Szczęsny.). Nie opowiadam tej historii, żeby ubarwić tekst. Chcę raczej pokazać człowieka, który przewinął się przez czołowe polskie kluby, był trenerem reprezentacji, a także parlamentarzystą, ba: szefem sejmowej komisji. Lista zmarnowanych karier z powodu alkoholu jest porażająca, ale porażające jest również zdanie Szczęsnego, że „wódka była pochodną braku perspektyw dla większości Polaków – czy ich specjalnością było kopanie rowów, czy kopanie piłki".

Kiedy któregoś dnia bramkarz poszedł w końcu na policję, usłyszał, że na to, o czym mówi, nie ma paragrafu, a gdyby nawet był, to gdyby rzecz się rozniosła, „w szatni to może by panu tylko wpierdolili, ale kibice to panu spalą chatę, zgwałcą kobietę i połamią dzieciom nogi". Jego wywiad w „Kopalni" kończy się deklaracją, że mógłby właściwie klęknąć w kącie, walić łbem w ścianę i powtarzać: »Urodziłem się w złym czasie, w złym kraju i trafiłem na złych ludzi«".

> Sprywatyzować próbowano także reprezentację Polski, a w gronie zajmujących się tym pomysłem biznesmenów i działaczy był nawet... ks. Henryk Jankowski.

I to jest odpowiedni moment, by wrócić do wydarzeń ostatnich dni, bo również z tego, co dzieje się wokół nominacji Czesława Michniewicza, wiele się można o Polsce dowiedzieć. Krytycy tej decyzji, nie kwestionując faktu, że trener jest człowiekiem niewinnym, a może nawet traktując go jako jeszcze jedną ofiarę „złych czasów, złego kraju, złych ludzi", domagają się od niego pełnej szczerości na temat zażyłości z „Fryzjerem". Podnoszą też – jak Paweł Czado, skądinąd współautor pamiętnego wywiadu z Dziurowiczem – że trener drużyny narodowej zalicza się do tej kategorii funkcji, którą piastujący powinni być jak żona Cezara – poza wszelkimi podejrzeniami. Ale dla wielu zwolenników Michniewicza liczy się wyłącznie sukces drużyny, który trzeba osiągnąć za wszelką cenę – pragmatycznie mówią, że to po prostu najlepsza kandydatura, więc pal licho etykę. Niewielu stać na taki pryncypializm, jak Stefana Szczepłka, który napisał, że woli z Nawałką (innym kandydatem do posady selekcjonera) przegrać, niż wygrać z Michniewiczem.

Ale jest w tej kontrowersji coś w gruncie rzeczy optymistycznego. Ostatnie lata w Polsce to czas afer, nad którymi zwaśnione plemiona potrafią przejść do porządku dziennego, jeśli zamieszani są w nie politycy z ich obozu – afer dużo poważniejszych niż ta z 711 połączeniami trenera z gangsterem. Wiele z nich cichnie już w dniu ich ogłoszenia – a o tych telefonach mówi się i mówi. Moim zdaniem świadczy to o tym, że choć opowieści o budowie IV RP budzą dziś politowanie, udało się przynajmniej odbudować wiarę, że piłka nożna to taki sport, w którym po boisku biegają dwadzieścia dwie osoby, a na końcu nie wiadomo, kto wygra.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

**TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
**TP Typografia:** Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
**Manager IT:** Bartłomiej Swojak
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

**„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny**

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Manna*

Trzy posiłki szabatowe. A niby ile miałoby ich być podczas tych świątecznych 25 godzin? – pyta współczesny syty człowiek, niepomny, że niegdyś ludziom wystarczało jedzenie dwa razy dziennie. Trzy posiłki w ciągu jednego dnia raz w tygodniu, niezależnie od zasobności kieszeni, przez długie wieki mogły uchodzić za ekstrawagancję. Tradycja talmudyczna łączy ją z trzykrotnym powtórzeniem jednego słowa w tym wersie: „I rzekł Mojżesz: Jedzcie to dziś, gdyż dzień odpoczynku dzisiaj Wiekuistemu; dziś nie znajdziecie tego na polu" (Wj 16, 25; Cylkow).

Jakiego pożywienia tułający się po pustyni Izraelici nie mieli szansy znaleźć w szabat? Oczywiście manny, której dwie porcje spadały z nieba w piątek. Na wieczną rzeczy pamiątkę szabatowy stół zdobią zawsze dwie chałki. Znów ma to umocowanie w wersie (22. tego samego rozdziału). Biblia Tysiąclecia używa w nim wyrażenia „podwójna ilość pożywienia", a Cylkow – bardziej dosłownie – „chleb w dwójnasób". Jednak nie dla wszystkich manna była chlebem. Opierając się na Wj 16, 4 i Lb 11, 8, Talmud wysuwa tezę, iż sprawiedliwi dostawali mannę w formie chleba, zaś zwykli śmiertelnicy – jako ciasto, które trzeba było upiec. Złoczyńcy, przed obróbką termiczną, musieli ją zemleć bądź utłuc w moździerzu.

Manna była więc publicznym probierzem poziomu duchowego. Rozwiewała wszelkie wątpliwości – porcja dla niewiernej żony spadała u wejścia do innego namiotu. Nie pytajcie o niewiernego męża, bo taka kategoria nie istniała: pan mógł do woli figlować z paniami stanu wolnego i póki nie dobierał się do cudzej własności (czytaj: żony), nikt mu nie powiedział złego słowa. Manna w naturalny sposób pomagała też rozsądzać spory. Talmud podaje przykład: do Mojżesza przyszli dwaj Izraelici – jeden twierdził, że drugi ukradł mu sługę, drugi przedstawiał swoją wersję: kupił tego sługę od pierwszego. Mojżesz na to: rano będzie wyrok. Jeśli manna dla sługi spadła przy namiocie pierwszego, miało miejsce porwanie, jeśli znajdowała się przy namiocie drugiego – wersja ze sprzedażą była prawdziwa.

Skąd nazwa „manna" (po hebrajsku: *man*)? Komentatorzy sugerują trzy etymologie: chodzi o „porcję jedzenia" lub słowo to pochodzi od rdzenia oznaczającego bycie ważnym. Trzecia opiera się na Wj 16, 15 – przy pierwszym spotkaniu z manną Izraelici pytają „*man-hu?*", stąd wniosek egzegety, że „*man*" znaczy po egipsku „co".

Aaron, zgodnie z Bożym poruczeniem przekazanym Mojżeszowi, umieścił naczynie z manną obok Arki Przymierza (zob. wersy 32-34). Ukrył je wraz z Arką król Jozjasz. Mamy więc szansę zobaczyć mannę: poszukiwacze zaginionej Arki – do dzieła! ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Szczęśliwi nieszczęśliwi*

„Tak mówi Pan – czytamy w Księdze Jeremiasza – Przeklęty człowiek, który nadzieję pokłada w człowieku i który w ciele upatruje swą siłę, a od Pana odwraca swe serce. Jest on jak jałowiec na stepie, nie zauważa, gdy przychodzi szczęście. Wybiera miejsca spalone na pustyni, ziemię słoną i bezludną. Szczęśliwy człowiek, który zaufał Panu i Pan jest jego nadzieją". Jak to? Przecież wiadomo, że nikt z nas nie stanie się tym, kim być powinien, bez przyjaźni i miłości, bez relacji z innymi ludźmi. Jeśli już, to prawdziwiej byłoby powiedzieć, że przeklęty człowiek, który całą nadzieję pokłada w Bogu. Znamy przecież chrześcijan, którzy tak mocno wierzą w Boga, ale ludźmi gardzą, nienawidzą ich. Wystarczy jednak jakieś niepowodzenie, a odwracają się od Boga, zarzucając Mu, że ich rozczarował. Nie mając odwagi powiedzenia Bogu prosto w twarz, że się z Nim nie zgadzają, starają się mu przymilać, mnożąc najróżniejsze nabożne praktyki. Udają też skruszonych, licząc, że Bóg ulituje się nad nimi i wyjdą na swoje. Skoro jednak Bóg nie ustępuje i nie zmienia istniejącego świata na taki, który sobie wymarzyli i o który się tak gorąco modlą, to zmieniają Boga. Wychodzą bowiem z założenia, że nie można żyć po ludzku w nieludzkim świecie. Nie można być szczęśliwym w nieszczęściu.

Tymczasem Chrystus mówi, że naprawdę szczęśliwymi są ci, którzy uchodzą za nieszczęśliwych. To znaczy ubodzy, głodni, płaczący, znienawidzeni, wykluczeni, ośmieszani, skompromitowani, oskarżani, skazywani i mordowani, słowem wszyscy, którzy żyją w warunkach, jak się to lekko mówi, nie do pozazdroszczenia. Nie wynika jednak z tego, że samo życie w tak podłych warunkach, samo cierpienie z tym związane, jest oczywistym przejawem Bożego błogosławieństwa.

Ci szczęśliwi nieszczęśnicy są tacy, ponieważ „zaufali Bogu". To znaczy uwierzyli, że nie przez przypadek przyszło im żyć w takim a nie innym świecie. Uwierzyli Bogu na sposób proroków, to znaczy byli przekonani, że nie przez przypadek znaleźli się w tak okropnym położeniu, ale zostali tutaj przez Boga przysłani. Nie za jakąś karę, ale dlatego że Bóg im zaufał i posłał, by patrzyli na rzeczywistość w perspektywie nieskończenie szerszej od tej, która kończy się na linii horyzontu „ciała", czyli widzialności, i by stawali po stronie ubogich, czyli pokrzywdzonych. Wiara we wszechobecność Boga sprawiała, że wszędzie, w najokropniejszych okolicznościach, czuli się bezpiecznie. To tam odnajdywali szczęście, czyli sens życia i śmierci: Maksymilian Kolbe, Dietrich Bonhoeffer, Emilian Kowcz, Grzegorz Peradze, Wilhelm Hosenfeld i Bóg Jeden wie ilu innych im podobnych. Myśląc o nich, nie sposób nie myśleć o niebie, czyli dalszym ciągu życia. ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Pierwsze jest czwarte*

„Pierwsze jest pierwsze" – to aksjomat, jakim posługujemy się chętnie w środowiskach Nowej Ewangelizacji w Kościele. Aksjomat ten ma wyrażać absolutne pierwszeństwo kerygmatu w ewangelizacji. Jest on pierwszy zawsze. Nie chodzi tu bowiem jedynie o pierwszeństwo w wymiarze czasowym („najpierw kerygmat, później wszystko inne"), ale o pierwszeństwo w sensie fundamentalnym – nie ma sensu budować na czymś innym niż na kerygmacie (temu pierwszeństwu kerygmatu w misji Kościoła wiele miejsca poświęca Franciszek w adhortacji „Evangelii gaudium").

Niedawno Liturgia uczyniła nas adresatami pierwszego posłania uczniów Jezusa (zob. Mk 6, 7-13). W pouczeniu misyjnym Pana pojawia się owszem motyw przepowiadania kerygmatu; pojawia się jednak dopiero na miejscu... czwartym. Jest kilka spraw (zadań) wcześniejszych niż kerygmat. „Pierwsze jest... czwarte".

„Zaczął ich posyłać po dwóch" (w. 7) – to pierwsze zdanie. Jest oczywiste, że ogłaszać kerygmat może jedynie ten, kto jest posłany przez Jezusa. Jezus jednak nie zleca tego zadania nikomu w pojedynkę. I nie czyni tego wcześniej, aż podaruje będącym przy Nim uczniom doświadczenie rzeczywistej wspólnoty. Tworzy z nich małe (dwuosobowe), ale przez to konkretne wspólnoty. Ta Ewangelia mówi nam: jeśli wybierasz się sam z proklamacją kerygmatu – zatrzymaj się. Najwyraźniej nie zostałeś posłany. Wspólnota – ów mini-Kościół (dwuosobowy) – jest konieczna, by człowiek pozyskany przez Chrystusa w procesie ewangelizacji miał gdzie być zaproszony. I musi to być wspólnota o takiej jakości, by można go było do niej zaprosić bez... strachu.

Drugie jest: „dał im władzę przeciw duchom nieczystym". To brzmi może mało konkretnie i zdaje się nie dotykać naszego codziennego doświadczenia. Jest tak jednak jedynie dotąd, dokąd nie przypomnimy sobie kluczowej perykopy na temat wyrzucania złych duchów: Na zboczu Taboru Jezus wyrzuca złego ducha z chłopca, którego ojciec przyprowadził do apostołów (ale oni okazali się bezradni). Zapytany, jaką mocą to uczynił, odpowiada: „Ten rodzaj nie może być w żaden inny sposób wyrzucony, jak tylko modlitwą i postem" (Mk 9, 14-29). A więc druga jest modlitwa i post. Kto się – bez nich – wybiera do proklamacji kerygmatu, czyni to, jakby był człowiekiem niewierzącym.

Trzecie jest świadectwo: ubóstwa, poprzestawania na małym, zaufania ludziom, do których jesteśmy posłani: „nie bierzcie chleba, ani torby, ani pieniędzy w trzosie (...) ani dwóch sukien. (...) Gdy do jakiegoś domu wejdziecie, zostańcie tam, aż stamtąd wyjdziecie" (tzn. nie szukajcie lepszych warunków). Świadectwo jest też zresztą właściwą reakcją w sytuacji odrzucenia naszego przepowiadania – szczególnie świadectwo bezinteresowności (w. 11).

Bez świadectwa kerygmat jest teorią; w sytuacji anty-świadectwa jest przetrącony. Właśnie dlatego: „Pierwsze jest... czwarte". ©

*Kto ściga pokój i wyciszenie serca, ten łatwo wzgardzi każdą postrzegalną rzeczą.*

**HEZYCHIUSZ Z SYNAJU**

*Od trosk i zmartwień wyzwala nas nie bogactwo, lecz umiejętność trzeźwego myślenia.*

**EPIKTET**

Wybrał PIOTR SIKORA

### CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 II)

**6. niedziela zwykła:** Jr 17, 5-8; Ps 1; 1 Kor 15, 12. 16-20; Łk 6, 17. 20-26;
**Poniedziałek:** Dz 13, 46-49; Ps 117; Łk 10, 1-9;
**Wtorek:** Jk 1, 12-18; Ps 94; Mk 8, 14-21;
**Środa:** Jk 1, 19-27; Ps 15; Mk 8, 22-26;
**Czwartek:** Jk 2, 1-9; Ps 34; Mk 8, 27-33;
**Piątek:** Jk 2, 14-24. 26; Ps 112; Mk 8, 34 – 9, 1;
**Sobota:** Jk 3, 1-10; Ps 12; Mk 9, 2-13;
**7. niedziela zwykła:** 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23; Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38.

# NIE UFAJ POLITYKOM

Do zyskownych inwestycji namawiają solidarnie Andrzej Duda, Szymon Hołownia, Paweł Kukiz, a także szefowie KGHM i Orlenu. Co prawda ich wizerunki skradziono, a ludzie tracą fortuny, jednak polskie państwo niezbyt się tym przejmuje.

MAREK KĘSKRAWIEC

Osiemdziesięcioczteroletnia bydgoszczanka znalazła w internecie reklamę namawiającą do zainwestowania w akcje PKN Orlen. Ogłoszeniu towarzyszyła atrakcyjna grafika oraz filmik, który tłumaczył, że dzięki nowej ustawie PKN Orlen stał się spółką narodową. Każdy Polak może zatem stać się jej udziałowcem i codziennie otrzymywać dywidendy: z działalności stacji paliw, z rozsianych po świecie złóż ropy należących do polskiego potentata energetycznego, a nawet z udziałów w gazociągu Baltic Pipe. Umieszczony pod oryginalnym logiem Orlenu komunikat wręcz krzyczy: „Zainwestuj 900 zł w najbardziej rentowną firmę w Polsce i zarób 37 000 zł".

Dalej jest jeszcze lepiej. Przewodniczący rady nadzorczej spółki, a za pierwszych rządów PiS minister skarbu państwa, Wojciech Jasiński kusi internautów: „Po dwuletnim kryzysie ceny produktów naftowych gwałtownie wzrosły. Nasza firma podjęła decyzję o 4-krotnym zwiększeniu produkcji gazu i ropy". Brzmi to zaskakująco: cały świat martwi się podwyżkami cen energii, a w Orlenie się z nich cieszą? Mało tego, planują ekspansję na cały świat, ale potrzebują do tego mikroinwestorów, którym Jasiński obiecuje średnie zyski miesięczne w wysokości od 800 do 3500 dolarów. Byłego ministra wspiera sam prezes Orlenu, Daniel Obajtek, uśmiechający się ze zdjęć i obiecujący górę kasy.

Wspomniana na wstępie emerytka z Bydgoszczy uległa dopiero przy trzecim wizerunku, jaki ujrzała: Andrzeja Dudy. On również miał być zachwycony pomysłem Orlenu. Stał na tle nowiutkiej stacji paliw, w białym kasku i pomarańczowej kamizelce, a w ręce miał tabliczkę: „Inwestując 900 zł zarobisz od 12 000 zł tygodniwo". Pani nie zdziwiła się literówką w ostatnim słowie i po prostu weszła na podaną w reklamie stronę, obejrzała poważnie wyglądające certyfikaty „unijne", wypełniła formularz, po czym otrzymała telefon od „eksperta finansowego", który roztoczył przed nią wizję bogactwa. Potem musiała jeszcze tylko skontaktować się z pracownikiem wsparcia technicznego, który polecił jej zamontowanie aplikacji do zdalnej obsługi pulpitu. Jest ich kilka na rynku, wszystkie legalne i używane np. przez informatyków w dużych firmach, by mogli z odległości likwidować usterki komputerów pracowników.

W opisywanej historii bydgoszczanka kilkukrotnie logowała się na konto w obecności „informatyka", a ten monitorował jej ruchy. Dzięki temu uzyskał niezbędne hasła i po wpłacie pierwszych 900 zł, później mógł już samodzielnie dokonywać kolejnych „inwestycji". Zanim ofiara się zorientowała, minęły dwa tygodnie, a z konta wypłynęły oszczędności całego życia: 380 tys. zł. W tym czasie profil kobiety na platformie rozgrzewał się do czerwoności wykresami mknącymi w górę i przynoszącymi codziennie kolejne tysiące złotych. Przez cały czas w kontakcie z „inwestorką" był też jej doradca, który opowiadał, jak to wraz z nią cieszy się z zarobionych pieniędzy. Aż nagle zamilkł.

### Zagrać na emocjach

Rzecz jasna, nie każdy ma tyle zaufania albo raczej naiwności, by instalować aplikacje otwierające dostęp do pulpitu własnego komputera. Zazwyczaj ludziom, którzy dokonają kilku kolejnych wpłat, początkowo pozwala się na podjęcie części zysków, bo daje to nadzieję, że klient jeszcze bardziej się skusi i zainwestuje więcej. Cierpliwe ssanie przy jednoczesnej trosce o klienta, rozmowy schodzące na sprawy prywatne – to przynosi oszustom największe korzyści. Gdyby jednak ktoś chciał wyciągnąć nagle wszystko albo choć połowę, nie ma na to szans. Prostszy mechanizm stosuje się wobec drobnych ciułaczy, którzy gotowi są tylko na jedną, ostrożną wpłatę. Ich załatwia się szybko. Jak informuje serwis Niebezpiecznik.pl, od roku monitorujący rozlewający się po sieci mechanizm, przy próbie podjęcia pieniędzy konto „inwestora" może zostać oznaczone jako podejrzane, a zniesienie blokady obiecywane jest po wpłacie przelewu uwierzytelniającego. Można też od opiekującego się nami pracownika usłyszeć, że przed wypłatą wymagana jest wpłata prowizji. Nie można jej rzekomo pobrać automatycznie z konta inwestora, trzeba jej dokonać osobno. Efekt jest taki, że ofiara traci kolejne pieniądze, a potem widzi na komputerze komunikaty o problemach

technicznych lub o błędach na ostatnim etapie zlecenia wypłaty. Wtedy też najczęściej traci jakikolwiek kontakt z platformą, a doradca nie odbiera już połączeń. Czasem numer, z którego dzwonił opiekun klienta, zostaje wręcz zlikwidowany.

– Wciąż nie mogę pojąć, że dałem się nabrać. Studiowałem bankowość, a po drugiej stronie słuchawki w „horyzontalnej grupie inwestycyjnej", która oferowała mi wejście w interesy paliwowe Orlenu i poszukiwania srebra z KGHM, był jakiś młody człowiek. Nie przyszło mi do głowy, że widywana przeze mnie od tygodni reklama, w której używany jest wizerunek szefa firmy, może być oszustwem! – kręci głową pan Patryk, który wpłacił niemal 3 tys. euro, ale gdy chciał zrealizować zyski (sześciokrotne), okazało się, że musi dokonać jeszcze opłat manipulacyjnych, w wysokości kolejnego tysiąca euro.

TP–ONLINE

– Straciłem wszystko, pisałem do Komisji Nadzoru Finansowego i do CERT-u, który monitoruje przestępstwa internetowe. Muszę przyznać, że odpowiedzieli, a strona została zablokowana. Tyle że następnego dnia zobaczyłem kolejne dwie bliźniaczo podobne reklamy. Mało tego, znalazłem na forum grupującym ofiary telefon do prawnika, który pomaga w podobnych sprawach. Już chciałem do niego zadzwonić, gdy na tym samym forum znalazłem ostrzeżenie, że tam też wyłudzają kasę i że prawdopodobnie to są dokładnie ci sami ludzie!

Marcin Maj z serwisu Niebezpiecznik.pl podkreśla, że wciąż wielu ludzi traktuje reklamy widniejące na poważnych portalach lub na YouTubie jako te bardziej wiarygodne, zwłaszcza jeśli widzą je tuż przy poważnych treściach. Są przekonani, że za ich zamieszczeniem stał ktoś konkretny, kto sprawdził treść, jak to się dzieje w gazecie czy telewizji. Tymczasem rynek reklam internetowych jest w dużej mierze zautomatyzowany i rozproszony, a ich kontrola przed emisją – iluzoryczna. Znane są przypadki, gdy na szacownych portalach pojawiały się ogłoszenia kopiujące reklamy znanych banków, a klikający w nie klienci zakładali „konta" i wpłacali pieniądze oszustom.

– Internauci są często nieostrożni, gubi ich rutyna. Poza tym trzeba przyznać, że strony oszukańczych systemów wyglądają coraz lepiej, opierają się na zaawansowanej socjotechnice, budują odpowiedni stan emocjonalny u przyszłej ofiary. Klienci czują pożądanie, radość zmieszaną z niepokojem, widzą już w portfelu te fortuny krzyczące z wykresów na ekranie. Wyłącza się wtedy myślenie, i to nawet u rozsądnych ludzi – przyznaje Maj. – Mam wrażenie, że prawie każdego da się podejść, jeśli zastosuje się scenariusz ataku odpowiadający profilowi osobowościowemu ofiary oraz sytuacji życiowej, w której akurat się znalazła.

Z analiz Niebezpiecznika wynika, że przestępcy nie tylko zakładają własne domeny, ale też kupują już istniejące i cieszące się zaufaniem, po czym wykorzystują je do przestępstw. I nawet jeśli zostaną zablokowani, mają zazwyczaj przygotowaną kolejną stronę z kodami źródłowymi i umieszczają ją natychmiast w sieci. Działać mogą praktycznie z każdego miejsca na świecie, ale jest mało prawdopodobne, by ktoś robił to spoza Polski. Znajomość naszego trudnego języka wykracza znacznie u sprawców poza zdolności ↦

programów tłumaczących, widać też, że autorzy wykorzystują wiedzę o wydarzeniach i programach rządowych, dostępną wyłącznie w krajowych mediach.

– Państwo walczy z tym procederem, ale postępowania trwają długo, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba prosić o pomoc prawną z zagranicy, bo np. reklama szła poprzez jakąś zagraniczną sieć. Jeśli dochodzi do ujęcia sprawców, to czasem po kilku latach, więc wielu przestępców ma poczucie bezkarności – twierdzi Maj. – Skala tego zjawiska przerasta jednak nie tylko Polskę, to problem światowy. Współpraca z dużymi platformami nie zawsze jest łatwa, a trzeba też pamiętać, że ograniczenia nie mogą uderzać w legalne przedsięwzięcia.

### Prezydent lubi kryptowaluty

Oszustwo na inwestycje w Orlen lub KGHM to klasyczny internetowy *scam* (czyli wyłudzenie pieniędzy po wcześniejszym zmanipulowaniu i zdobyciu zaufania ofiary), który rozlewa się po internecie od jesieni 2020 r. Reklamy z filmikami można znaleźć na YouTubie, wyskakują na stronach popularnych serwisów informacyjnych, rozpierzchły się też po portalach społecznościowych, głównie na Facebooku. Tu pojawiają się w postaci płatnych reklam, a czasem w formie postów, które rozpowszechniają rzekomo prywatne osoby. Tak naprawdę są to fikcyjne profile, a upowszechniane pod linkami artykuły są perfidnymi fake newsami. Mają nagłówki prawdziwych mediów, a nawet skopiowane rozwiązania graficzne, świetnie imitujące wygląd autentycznych serwisów. Bywa też, że takie nachalne posty, namawiające do udziału w gwarantujących fortuny inwestycjach, są obecne na zhakowanych profilach szacownych instytucji i szkół lub na spreparowanych kontach, stworzonych przez oszustów. Po sieci krążyły już posty „autorstwa" Papieskiej Akademii Teologicznej, I LO w Białymstoku czy też Wyższej Szkoły Gospodarki Narodowej (Krajowej w oryginale) w Kutnie.

Inwestycyjny *scam* znalazł swe najszersze ujście w postaci podszywania się pod Orlen, gdyż jest to jedna z największych i najgłośniejszych medialnie polskich firm. I zapewne, choć danych na ten temat nikt nie gromadzi, najwięcej ludzi nabiera się właśnie na biało-czerwone logo z orłem. Nie znaczy to jednak, że tylko skopiowany wizerunek Daniela

Pierwsze śledztwo w sprawie oszustw wszczęto ponad rok temu. Interes jednak dalej kwitnie, a liczba ofiar rośnie. **Żadnemu ze sprawców nie postawiono zarzutów.**

Obajtka i Wojciecha Jasińskiego jest zagrożeniem dla Polaków pragnących pomnożyć swój majątek. Masowo wykorzystywana jest też postać wspomnianego już Andrzeja Dudy, który nie tylko „zachęca" do inwestowania w Orlen, ale również „prywatnie" reklamuje handel kryptowalutami. I robi to ręka w rękę najczęściej z dwiema innymi postaciami życia politycznego: Szymonem Hołownią i Pawłem Kukizem. Tu stosuje się zazwyczaj formę kuszenia poprzez dostęp do skrzętnie ukrywanej przed maluczkimi tajemnicy. „Mikrofon był jeszcze włączony, gdy Szymon Hołownia ujawnił sekretną możliwość" – czytamy, po czym jesteśmy kierowani do wykresu, który ma pokazać, jak lider Polski 2050 zainwestował w bitcoiny 2,3 mln zł, a dziś ma 5,4 mln. Gdzie indziej czytamy: „Paweł Kukiz wyciągnął swój telefon i pokazał widzom, jak dużo zarabia" albo „Duda wyznał, w jaki sposób pomnożył swój majątek".

Generalnie jesteśmy utrzymywani w przekonaniu, że właśnie tak dorobiły się elity III RP, ale teraz tajemnica się wydała i zarabiać mogą wszyscy. Co ciekawe, w ostatnich dniach polski prezydent oprócz zysków na handlu bitcoinami, „zachęca" też do odbioru pieniędzy z kolejnego programu społecznego władzy: tym razem ma to być 300 zł za udział w szczepieniu na covid. Trzeba „tylko" wypełnić przesłany formularz i podać na nim dane do logowania w bankowości internetowej. Choć ciężko w to uwierzyć, ludzie przekazują te informacje i tracą pieniądze. Prezydent oczywiście nie jest temu winny, ale fakt, że od wielu miesięcy jest liderem rankingów zaufania społecznego, może mieć już znaczenie.

Wcześniej w tym schemacie znalazł się Robert Lewandowski, Marcin Prokop, Maciej Orłoś oraz Kuba Wojewódzki, ale dziś ich wizerunki mogą odpocząć. W ostatnich dniach pojawił się za to dziennikarz Mariusz Szczygieł. „Reklamuje" handel jednym z klonów bitcoina, a na facebookowej grupie pod wdzięczną nazwą „Kochamy Polaków" ten znany z otwartości na świat reporter ma ofertę „tylko dla Polaków!". Nie do końca wiadomo, dlaczego oszuści wybrali akurat jego wizerunek. O ile bowiem w przypadku Dudy, Hołowni czy Kukiza w grę może wchodzić ich duża popularność i ponadprzeciętna aktywność w mediach, generująca ogromną liczbę wiadomości, to Szczygieł nie należy do grona najpopularniejszych celebrytów.

Odpowiedzi na te pytania byłyby łatwiejsze, gdyby na poważnie z tym procederem ktoś w Polsce walczył. Tak jednak nie jest, mimo że Orlen już w marcu ubiegłego roku ostrzegał przed oszustami, a w grudniu rozpoczął akcję edukacyjną w internecie, zaznaczając wyraźnie, że nie wydzwania do klientów i nie prowadzi inwestycji poza bankami oraz domami maklerskimi. Niestety, interes cały czas kwitnie, i to mimo śledztw w Płocku i Warszawie. To pierwsze wszczęto na podstawie zawiadomienia ze stycznia 2021 r., ale po upływie roku nikomu nie postawiono zarzutów. – Ustalone zostały dwie osoby,

RDC POLSKIE RADIO

**MAREK KĘSKRAWIEC** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 9 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – **www.rdc.pl**
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

które oszuści doprowadzili do niekorzystnego rozporządzenia swoim majątkiem, oraz kilkadziesiąt innych, od których wyłudzono dane osobowe – informuje Iwona Śmigielska-Kowalska z Prokuratury Okręgowej w Płocku. – W sprawie jest teraz nowy referent, który zapoznaje się z tomami akt i czeka na pomoc prawną z zagranicy.

Podobnie jest w przypadku KGHM, który od wielu tygodni ostrzega przed oszustami, a w październiku powiadomił prokuraturę. – Otrzymaliśmy wtedy zawiadomienie o usiłowaniu oszustwa na szkodę nieustalonych osób oraz kradzieży tożsamości spółki KGHM – mówi prok. Lidia Tkaczyszyn z Prokuratury Okręgowej w Legnicy. – Najpierw śledztwo toczyło się w Lubinie, ale z uwagi na wagę sprawy przenieśliśmy je do okręgu.

Tu również nikomu nie postawiono zarzutów.

### Nikomu się chyba nie chce

Jak to możliwe, że przestępcy oszukują tysiące ludzi, żerując m.in. na wizerunku głowy państwa? Czy to wina tylko prokuratury? Nie do końca. Po pierwsze przestępstwa cyfrowe są bardzo trudne do namierzenia, a sprawców nie obowiązują granice państwowe. Poza tym nasze służby są wciąż słabo wyposażone, pomoc biegłych zaś kosztowna i zazwyczaj opinie powstają bardzo długo. Sami prokuratorzy też najczęściej nie dysponują zbyt głęboką wiedzą informatyczną. – Te śledztwa są długotrwałe, mozolne, setki ofiar powtarza to samo, a i tak trudno namierzyć sprawców. Nikt nie chce brać takich spraw, trzeba je wciskać siłą – zdradza anonimowo jeden z krakowskich prokuratorów.

Doniesienia o podobnych oszustwach internauci zgłaszają także służbom informatycznym Google'a. – Cały czas usuwamy te „reklamy", a nawet blokujemy całe konta, z których są zamieszczane – mówi Adam Malczak, rzecznik prasowy Google Polska. – Tworzymy nowe systemy bezpieczeństwa, jak np. program weryfikacji tożsamości reklamodawcy, które oszuści próbują potem obejść. To nieustanna gra w kotka i myszkę, ale zawsze staramy się być dwa kroki przed nimi. W 2019 r. zablokowaliśmy na całym świecie milion takich kont, ale w 2020 r. już 1,7 mln. Tamtego roku usunęliśmy też 3,1 mld pojedynczych ogłoszeń, co pokazuje skalę zjawiska.

Malczak podkreśla, że oszustwa są często dokonywane przez profesjonalne zespoły, wykorzystujące techniki utrudniające namierzenie. I dlatego ważnym elementem w walce z tym zjawiskiem mogą być nie tylko śledztwa i blokowanie kont, ale też jak najszersze informowanie o procederze i jak najliczniejsze akcje promujące bezpieczne zachowania w internecie.

Niestety, akcji takich jest niewiele, a i same ofiary mają do tego coraz bardziej niebezpiecznego procederu stosunek dość lekceważący. Z kancelarii Andrzeja Dudy otrzymaliśmy wyjaśnienie, z którego wynika, że składano już doniesienia w tej sprawie do prokuratury oraz do UOKiK. „Żywimy przekonanie, że w przypadkach, w których doszło do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w następstwie tych reklam, sprawcy czynów zabronionych zostaną niezwłocznie ujawnieni i pociągnięci do odpowiedzialności karnej" – czytamy w piśmie z prezydenckiej kancelarii.

Jest to przekonanie płonne, biorąc pod uwagę, że po kilkunastu miesiącach działania oszukańczego mechanizmu nikomu w Polsce nie postawiono zarzutów. Wspomniany UOKiK powiadomił osobno prokuraturę i – jak dowiadujemy się z pisma do „Tygodnika" – przeprowadził kampanię społeczną „Policz i nie przelicz się". Problem w tym, że dotyczyła ona nie scamów internetowych, ale... ryzyka rosnących rat w bankach.

Od Pawła Kukiza dowiedzieliśmy się tylko tyle, że zgłosił doniesienie do prokuratury. – Ale szczególnych nadziei z tym postępowaniem nie wiążę – oświadcza wprost.

Na pytania o kradzież wizerunku i używanie go do oszustw nie odpowiedział bezpośrednio ani Szymon Hołownia, ani Michał Kobosko, szef partii Polska 2050. Z ich biura prasowego dowiedzieliśmy się jedynie, że sprawa ogłoszeń była kilkukrotnie zgłaszana Google'owi, a strony blokowane. Podobnie brzmiała odpowiedź z CERT Polska, zespołu powołanego do reagowania na niebezpieczne zdarzenia w internecie. Sprawa jest im znana, oszukańcze domeny na bieżąco wykrywane i umieszczane na liście ostrzeżeń. Tyle.

Słuchając polskich decydentów i czytając pisma z instytucji odpowiedzialnych za walkę z zalewem internetowych oszustw można mieć wrażenie, że państwo podejmuje w większości tylko formalne kroki, by zapewnić sobie alibi. Zaskakujące jest również pasywne podejście osób publicznych, których wizerunek jest wykorzystywany. Żadna z nich nie bije na alarm. Z jednej strony można powiedzieć, że to ich prywatna sprawa, ale z drugiej trzeba pamiętać, że są to osoby cieszące się zaufaniem przynajmniej części społeczeństwa. Powinny zdawać sobie sprawę, że ich twarze stanowią dziś największe zagrożenie właśnie dla tych, którzy ufają im najbardziej. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 31 stycznia
w wieku 90 lat zmarł

Ś.†P.

**Władysław Lucjan Gołąb**

ukochany Mąż, Tata, Dziadek i Pradziadek

Jako pierwsza niewidoma osoba w Polsce
uzyskał uprawnienia adwokata.
Przez 40 lat był prezesem Towarzystwa
Opieki nad Ociemniałymi w Laskach.

Odznaczony za działalność społeczną na rzecz
osób niewidomych i słabowidzących Krzyżem Komandorskim
z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Pogrążeni w bólu

Żona, Dzieci, Wnuki i Prawnuki

# Ono nie lgnie, ono nie szuka

MARIA BEISERT, PRAWNICZKA, PSYCHOLOŻKA I SEKSUOLOŻKA:

**Prokurator niewierzący skrzywdzonemu dziecku. Śledczy uznający, że nieletnia ofiara jest współwinna. Ekspert, który radzi, by nie demonizować wykorzystania. To się dzieje nadal.**

**ANNA GOLUS: „Wysoki sądzie, zobacz mnie" – tak nazywa się nowa kampania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, skierowana do przedstawicieli zawodów prawniczych i mająca pomóc im przeprowadzać procedury bez powtórnego krzywdzenia dzieci.**

**MARIA BEISERT:** To wspaniała i potrzebna akcja. Bo to, czego dotyczy, wcale nie jest przeszłością.

**W roku 2021? Aż trudno uwierzyć.**

A jednak. Podam pani przykład z dzisiaj, pokazujący żywotność stereotypu smutnej i przerażonej ofiary. Rozmawiałam z matką kilkuletniej dziewczynki, która została wykorzystana przez spokrewnionego z nią mężczyznę tak, że nie czuła bólu, tylko przyjemność. I jeszcze nie rozumie, że to, czego doświadczyła, jest złe. Dla niej to była zabawa, więc radośnie i ze szczegółami opowiedziała o niej prokuratorowi, który przesłuchiwał ją w obecności psychologa. Zarówno prokurator, jak i psycholog byli mężczyznami – choć płeć osób zbierających zeznania nie powinna być zgodna z płcią sprawcy – i zarzucili dziewczynce kłamstwo, bo nie mogli uwierzyć, iż ofiara wykorzystania opowiada o tym tak ochoczo. A ta dziewczynka miała zaledwie kilka lat i sprawca celowo działał tak, by myślała, że to, co jej robi, to zabawa, i by to polubiła. To częsty przypadek.

Jeszcze trudniej dorosłym w sądzie uznać za wiarygodne zeznania ofiary, której zachowanie podczas przestępstwa odbiegało od ich stereotypowych przekonań.

**Proszę o przykład.**

Sytuacja, w której dziecko wykorzystywane seksualnie „samo" przychodzi do sprawcy, bo wierzy, że dzięki temu ochroni swoje rodzeństwo, bywa interpretowana jako „współdziałanie". Wykorzystywana dziewczynka, która „sama" przychodzi do krzywdzącego ją mężczyzny, nie zapobiegnie niczyjej krzywdzie, ale może w to naprawdę wierzyć. Tymczasem adwokat sprawcy argumentował, że skoro „sama przychodziła", to uwodziła, prowokowała, więc nie ma mowy o krzywdzie. Gdyby została skrzywdzona, unikałaby sprawcy. To stereotyp.

**Jak jest w rzeczywistości?**

Ofiara nie zawsze unika sprawcy, nawet wtedy, gdy teoretycznie może, bo z nim nie mieszka ani nie musi go widywać. Tymczasem dorośli z bezpiecznej perspektywy sali sądowej oczekują od ofiar racjonalnego i spokojnego działania w sytuacji ekstremalnego stresu.

**Oczekują tego od dzieci?**

Tak, nawet od dzieci i dorastających. Ale oczekiwanie tego od dorosłych także nie ma sensu, bo w sytuacji stresowej oni też nie działają racjonalnie – stres odbiera możliwość realnej oceny sytuacji, a silne emocje zaburzają spostrzeganie i samokontrolę.

Mimo to podczas przesłuchania wykorzystane dziecko może usłyszeć pytanie: „Dlaczego po prostu nie wstałeś i nie wyszedłeś?". A ono nie mogło wstać i wyjść, bo znieruchomiało, gdy sprawca zagroził, że powyrywa mu ręce i nogi. Dla dziecka taka groźba wypowiedziana przez dorosłego, który jest większy i silniejszy, jest jak najbardziej realna. Tymczasem w sądzie może ono usłyszeć jeszcze komentarz: „No przecież wiesz, że tak naprawdę by ci ich nie wyrwał". Otóż jak się ma kilka czy kilkanaście lat, to się nie wie.

Takich pytań nie należy zadawać nie tylko dlatego, że nie mają sensu, ale przede wszystkim z tego powodu, że są rewiktymizujące. Czyli powtórnie krzywdzą, sugerując, że ofiara miała wpływ na to, co ją spotkało.

**Jeszcze raz podkreślmy: dziecko nigdy nie jest winne temu, co je spotyka ze strony dorosłego.**

Nie jest. Niestety nawet biegli sądowi nie zawsze to wiedzą.

Ostatnio przyglądam się wraz z dr Agnieszką Izdebską opiniom biegłych seksuologów i ze smutkiem stwierdzam, że często brakuje nam, biegłym, specjalistycznej wiedzy dotyczącej rozwoju seksualnego i przemocy seksualnej. Brakuje nam świadomości własnej seksualności i wiedzy o oddziaływaniu na nas stereotypowych obrazów ofiary i sprawcy wywodzących się z patriarchalnych wzorów kulturowych. Warto kwestionować te stereotypy, ponieważ pod ich wpływem mogą powstać opinie krzywdzące ofiary.

**Znowu proszę o przykład.**

Zgodnie ze stereotypowym obrazem ofiary osoba, która doświadczyła przemocy seksualnej, już do końca życia prezentuje awersyjną postawę wobec seksu. Nie pobudza się, nie współżyje, nie jest zainteresowana tą sferą życia. W rzeczywistości to tylko jedna z reakcji na traumę. Tak samo normalną i uprawnioną reakcją potraumatyczną jest reakcja odwrotna – promiskuityzm. Mało tego, te reakcje mogą przebiegać naprzemiennie – od awersji do promiskuityzmu i z powrotem. Opinia, w której biegły odmawia zeznaniom ofiary wiarygodności, bo po doświadczeniu przemocy miała wielu partnerów, nie opiera się na aktualnej wiedzy z zakresu seksuologii, ale na stereotypie.

Inny przykład: patriarchalne przekonanie, że dziecko jest własnością rodzica, głównie ojca, skutkuje przekonaniem, że niespójne zeznania dziecka nie są wiarygodne. Za wiarygodne uznaje się logiczne argumenty mężczyzny. Opanowanie osoby składającej zeznania nie musi jednak świadczyć o jej prawdomówności.

**Osobnym tematem jest krzywdzący język, jakim posługujemy się, mówiąc o wykorzystywaniu. Sztandarowym przykładem były słowa abp. Józefa Michalika: „Ono lgnie, ono szuka. I zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga".**

ADRIAN WYKROTA / MATERIAŁY PRASOWE

**PROF. MARIA BEISERT** jest psycholożką, seksuolożką, prawniczką. Kieruje Zakładem Seksuologii Społecznej i Klinicznej na Wydziale Psychologii i Kognitywistyki UAM w Poznaniu. Autorka i redaktorka wielu książek, m.in. „Seksualność w cyklu życia człowieka" (2004), „Pedofilia. Geneza i mechanizm zaburzenia" (2012).

Ta wypowiedź była kompromitująca. Abp Michalik wprawdzie nie jest seksuologiem, więc teoretycznie ma prawo nie wiedzieć, ale to właśnie brak wiedzy o wykorzystaniu sprawia, że dzieci nie są chronione. Sama wiedza też zresztą nie wystarczy, by przeciwdziałać wykorzystywaniu seksualnemu dzieci. Trzeba jeszcze umieć tę wiedzę przekazać.

Język odzwierciedla postawy. Używając określonego języka, człowiek przekazuje swój stosunek do tego, o czym mówi. Język jest też jednym z wyznaczników wewnętrznych przeżyć, których każdy seksuolog powinien być świadomy. Niebezpieczeństwem tego zawodu jest wykorzystanie go dla własnego zaspokojenia seksualnego i dla prób leczenia własnych problemów. Głęboki wgląd seksuologa we własną seksualność – obejmujący świadomość własnych ograniczeń, a także doświadczeń i trudności przeżywanych w obliczu cudzej przemocy seksualnej – jest również jednym z warunków zatrzymania rewiktymizacji ofiar i efektywnego leczenia sprawców.

Od 20 lat prowadzę studia podyplomowe, ucząc przyszłych seksuologów, jak ważny jest język, którym się posługują, i jak ważna jest świadomość swojej seksualności. Uważam, że o skutecznej ochronie dzieci decydują trzy cechy profesjonalistów: aktualna fachowa wiedza, adekwatny do niej język i dobry wgląd.

**Tymczasem bywa, że nawet doświadczeni seksuolodzy o tym nie pamiętają. Podam przykład książki wydanej co prawda w 2005, a wznowionej w 2011 roku, ale nadal popularnej i niepoddanej przez te lata krytyce, na jaką moim zdaniem zasługuje. Chodzi o „Seks czegoś smutny. Antyporadnik dla tych, którzy grają o miłość" – rozmowę psycholożki Ewy Klepackiej-Gryz z seksuologiem Wiesławem Sokolukiem, w której można przeczytać, że dzieci uwodzą dorosłych i nie ma co demonizować związków „lolitek" i „nimfetek" z dorosłymi facetami.**

Nie chcę występować w roli eksperta ekspertów. Wiesława Sokoluka znam i cenię. Ma wielkie zasługi.

**Wiem, kim jest, dlatego tak mnie to poruszyło. Np. na pytanie rozmówczyni „Dlaczego małe dziewczynki uwielbiają uwodzić?" Sokoluk odpowiada: „A czort je wie. Na pewno to nie jest to samo, jak gdyby robiła to dorosła kobieta. Jeśli rodzice wzmacniają takie zachowania, dziecko uczy się, że mogą mu one dawać pewne gratyfikacje (...) I tu niebezpieczeństwo polega na tym, że zachowania uwodzące będą traktowane instrumentalnie". Jak ekspert może mówić, że dzieci uwodzą dorosłych?**

Może. Ja również używam tego określenia podczas wykładów, ale zanim to zrobię, wyjaśniam studentom, że niekiedy te same terminy oznaczają co innego w języku potocznym i w języku specjalistycznym, a także w odniesieniu do seksualności dorosłego i dziecka. Seksuologia korzysta czasem z terminów języka potocznego, które trzeba zawsze – podkreślam: zawsze – zaopatrywać w dookreślenia i wyjaśnienia. Przykładami są „uwodzenie" albo „ekshibicjonizm", do których – opisując zachowania dzieci – należy dodawać przymiotnik „dziecięce" i wskazywać, na czym polegają.

Można i inaczej. Na przykład zamiast „A czort je wie" jednak wskazać, że teorie rozwoju seksualnego (np. Eriksona, Kernberga czy Tysonów) dość dobrze opisane zjawiska wyjaśniają.

**Czym jest uwodzenie dziecięce?**

To normalny element rozwoju seksualnego. Oznacza eksponowanie przez dziecko seksualności, manifestowanie jej i skłanianie dorosłego do zainteresowania się nią dokładnie tak samo jak do zainteresowania się tym, że dziecko nauczyło się skakać albo że wyrósł mu nowy ząb. Takie zachowania zawsze są normatywne i nie świadczą o żadnej patologii – to reakcja dorosłego może być patologiczna. Jest ich szczególnie wiele w okresie przedszkolnym, bo to okres krytyczny dla rozwoju seksualnego. Dziecko rozwija wówczas swoją kobiecość lub męskość i demonstruje ją tak, jak potrafi na tym etapie. Może np. zdejmować majtki i mówić: „Tato, zobacz, jaką mam ładną ↦

↦ siusię" albo „Mamo, zobacz, jakiego mam ładnego siusiaka". Dzieci obu płci robią to, by kształtować swoją seksualność, a nie – zapraszać do wykorzystania.

**W innym fragmencie książki Sokoluk mówi, że relacje ojca z córką „również takie intymne (przy zachowaniu granic seksualności) są naturalne". Na pytanie zaś, czy „kiedy uwodzącą jedenastolatką zainteresuje się czterdziestoletni sąsiad z przeciwka, to już przestępstwo?", odpowiada m.in.: „Ponieważ w tym wieku ojciec przestaje być dla dziewczynki atrakcyjny, to nasycenie się taką dodatkową relacją – intymną, uwodzącą – z innym mężczyzną (pod warunkiem, że nie będzie w tym brutalności i przemocy) w gruncie rzeczy może być gratyfikujące dla takiej panienki, również zmysłowo".**

To prawda, że uwodzenie dziecięce może pojawić się również w okresie przed pokwitaniem. Nie należy jednak mówić o dziewczynkach w tym wieku, że to uwodzące panienki, lolitki czy nimfetki, bo taki język jest lekceważący i seksualizujący. Poza tym taka narracja może podsunąć czytelnikowi myśl, że jeśli dziecko nosi np. sukienkę z dekoltem i zostanie wykorzystane seksualnie, to ono ponosi za to odpowiedzialność. Jestem przekonana, że autorzy nie popierają krzywdy dzieci. Niestety, wypowiadają się w taki sposób, że czytelnik może odnieść wrażenie, iż wykorzystane seksualnie dzieci ponoszą winę za to, co je spotkało.

O tym zjawisku nie można mówić w sposób żartobliwy ani seksualizujący, czyli właśnie takim językiem, jakim częściowo napisana jest ta książka. Narracja, rodzaj używanego słownictwa, brak wyjaśnień terminów seksuologicznych – to wszystko może zdezorientować czytelnika, który nie jest ekspertem, czyli niemal każdego, bo to popularny poradnik.

**Jeszcze jeden fragment. „Czy każda lolitka, która zostanie wykorzystana seksualnie, nosi piętno traumy do końca życia?" – pyta psycholożka, na co seksuolog odpowiada: „Jak powiem, żeby tego nie demonizować, to oczywiście skoczą mi do gardła". A później mówi: „Ale ja upieram się przy tym, żeby nie robić z tego tragedii większej, niż może być w rzeczywistości. (...) Jeśli istnieje jakiekolwiek rozwojowe ryzyko, to nawet jeśli są przypadki, że to może być pozytywne z punktu rozwoju psychoseksualnego, to i tak nie wolno tego robić".**

Wydaje się, że mamy tu do czynienia z mieszaniem oceny wykorzystania seksualnego dziecka i oceny konsekwencji wykorzystania, co koniecznie należy odróżniać. Ocena zjawiska wykorzystania jest negatywna zawsze, nawet gdy nie wiąże się ono z przemocą fizyczną, a dziecko odczuwa zmysłową przyjemność. Dziecko może czuć przyjemność seksualną, bo narządy płciowe i okolice erogenne człowieka są unerwione w taki sposób, że ich stymulacja może być przyjemna, i to nawet wbrew woli osoby stymulowanej. Dziecko może nie chcieć tej reakcji i czuć się zdradzone przez ciało. I ta reakcja absolutnie nie podlega żadnej ocenie.

Natomiast konsekwencje wykorzystania nie zawsze są negatywne, choć nigdy nie są pozytywne. Oprócz konsekwencji negatywnych mogą pojawić się też sytuacje zakończone brakiem odczuwalnych przez dziecko konsekwencji, np. gdy dziecko nie wie, że jego seksualność została wykorzystana, bo ktoś podglądał je w toalecie. Istnieje również możliwość przepracowania negatywnych skutków tak, że nie tylko człowiek nie cierpi z ich powodu, ale jeszcze doświadcza progresu rozwojowego. Wykorzystane dziecko ma szansę na doświadczenie takiego wzrostu, ale pod warunkiem otrzymania wsparcia. Jednak nawet w tych sytuacjach nie należy mówić, że konsekwencje są „pozytywne".

**Język, jakiego używają autorzy książki, może powtórnie krzywdzić.**

Może, choć są też osoby, które odcięły się od swoich wspomnień, zamroziły emocje i na myśl o przemocy seksualnej nie czują niczego, więc zapewne ta lektura nie wzbudziłaby w nich żadnych reakcji emocjonalnych. Z drugiej strony, rozmawiałam z osobą, która podczas czytania tej książki doznała retraumatyzacji i wtórnej wiktymizacji. Przeszłość wróciła, choć ta osoba jest po psychoterapii i myślała, że wszystko już przepracowała. Słowa, które przeczytała, reaktywowały jej traumę i wzbudziły poczucie winy oraz inne niechciane, silne i trudne emocje.

Dlatego wszyscy, którzy wypowiadają się o przemocy seksualnej – nie tylko eksperci, ale też dziennikarze, politycy, duchowni – powinni być świadomi, że ich słowa są czytane i słuchane również przez osoby, które takiej przemocy doświadczyły. I powinni świadomie dobierać słowa tak, by tych osób ponownie nie krzywdzić.

© Rozmawiała ANNA GOLUS

POŻEGNANIE

Marianowi, Markowi i Łukaszowi Tischnerom,
naszym przyjaciołom i współpracownikom,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony i Mamy

Ś.†P.

Barbary Tischner
z domu Kraińskiej

anglistki, nauczycielki, osoby o wielkim sercu,
zaangażowanej społecznie

składają

Przyjaciele z wydawnictwa i miesięcznika „Znak"
oraz Fundacji Znak i Fundacji im. Hanny Malewskiej

KATARZYNA PIERZCHAŁA / EAST NEWS

*Happening Lotnej Brygady Opozycji przed Ministerstwem Finansów. Warszawa, październik 2019 r.*

# Promile współczucia

MAREK RABIJ

**Idee przekute nieudolnie w praktykę często stają się własną karykaturą. W zderzeniu z Polskim Ładem taki los może spotkać postulat solidarności społecznej.**

Pogłoski o politycznej śmierci obozu Zjednoczonej Prawicy wydają się przesadzone, choć PiS i jego koalicjanci z pewnością nie mogą uznać ostatnich miesięcy za udane. Na razie liczy się to, że do wyborów zostało kilkanaście miesięcy, a w tym czasie termometr społecznych nastrojów pewnie nie raz pokaże inny odczyt.

Przedwczesne nie jest natomiast pytanie, jak na rozkład tych temperatur wpłynie fiasko najważniejszego rządowego projektu, jakim jest Polski Ład. Ustawa, która miała być aktem podatkowej sprawiedliwości, okazała się prawnym potworkiem, do tego bijącym po kieszeni nawet tych, którzy mieli na niej zyskać. A w tle jest jeszcze afera z Funduszem Sprawiedliwości: oficjalnie utworzonym dla wspierania ofiar przestępstw, ale nagminnie wykorzystywanym do finansowania celów *stricte* politycznych. Lista nieprawidłowości, wyceniona przez Najwyższą Izbę Kontroli na 280 mln zł, obejmuje m.in. zakup szpiegowskiego Pegasusa, łatanie dziur w budżetach gmin ukaranych przez Brukselę za uchwały godzące w społeczności LGBT czy wreszcie dotowanie absurdalnych, ale ideologicznie bliskich władzy inicjatyw – pokroju wyprawy do Peru w celu rzekomego zbadania trwałości tamtejszej instytucji małżeństwa.

Trudno dziś pogodzić rządową narrację o budowie sprawiedliwego porządku społecznego z decyzjami, które uświadamiają kolejnym grupom, że z punktu widzenia rządzących nie zasługują na tyle, ile należy się tym, którzy bezwarunkowo popierają PiS. Dominuje raczej poczucie, że postulat solidarności społecznej, który obóz prawicy umieścił na sztandarach wyborczych w 2015 r., stał się sloganem, którym władza przykrywa kolejne, zgoła niesolidarne decyzje umotywowane politycznie. A jeśli ostatecznie górę wezmą właśnie takie nastroje, będzie to znaczyło, że rządy partii ze sprawiedliwością w nazwie zaowocowały podważeniem i tak kruchej polskiej akceptacji dla idei solidaryzmu.

### Regresja progresji

Kto liczył, że nowym rozdaniem w polityce społecznej okaże się Polski Ład, ten musi teraz leczyć kaca. Grono beneficjentów tego projektu, szacowane początkowo na 18 mln, topnieje w oczach i być może ostatecznie zawęzi się do osób o zarobkach i świadczeniach w okolicach krajowej pensji minimalnej. W gruncie rzeczy trudno czynić z tego wyrzut twórcom ustawy, bo krojono ją właśnie z myślą o poprawie losu najbiedniejszych. Chodziło o to, aby rodzimy system podatkowy, który – głównie za sprawą VAT – najmocniej obciąża osoby o dochodach w przedziale od 2 do 5 tys. zł brutto, wydające większość na żywność, przestał być kuriozum na tle krajów Europy, które dużo głębiej sięgają do kieszeni najlepiej zarabiających.

W czym więc problem? Otóż w tym, że w przeciwieństwie do tamtych systemów podatkowych ciężar sfinansowania zmian Polskiego Ładu zrzucono głównie na barki zarabiających od 6 do 11 tys. zł brutto, czyli niewiele więcej od grupy faktycznych beneficjentów programu. Zaskakująco łagodnie potraktowano natomiast tych, którzy co miesiąc inkasują ponad 20 tys. zł brutto, co w polskich realiach zarobkowych czyni z nich śmietankę rynku pracy i którzy – jak pokazują badania ekonomistów – mogliby bez szkody dla siebie płacić podatki w wysokości nawet 45 proc. Całość zdobią zaś kwiatki w rodzaju hojnej ulgi na zakup i remont zabytkowego pałacyku, czyli oferta podatkowa adresowana do najzamożniejszych.

Kluczem do zrozumienia paradoksu, jakim może się niektórym wydawać utożsamienie sprawiedliwego systemu podatkowego z systemem, w którym obciążenia rosną proporcjonalnie do dochodów, jest tzw. krańcowa użyteczność dochodu. A mówiąc prościej – to, że powyżej pewnego progu bogactwa bieżące wydatki przestają wzrastać proporcjonalnie do ↦

↦ wzrostu dochodów. Nikt nie zacznie dwukrotnie częściej latać na wakacje na Malediwy ani wypijać dwa razy więcej markowej whisky tylko dlatego, że zarabia dwa razy więcej. Reguła ta działa również w przeciwnym kierunku: zamożni zarabiają dostatecznie dużo, aby nawet po wzroście obciążeń podatkowych nie musieć obniżać standardu bytowego.

Dlaczego zatem Polski Ład skrojono tak, jak skrojono? Być może prawidłową odpowiedzią jest ta najprostsza – że to rezultat pośpiechu lub niekompetencji. Nie da się jednak wykluczyć scenariusza, że za takim rozłożeniem podatkowych ciężarów stała kalkulacja, wedle której ok. 600 tysięcy ludzi zarabiających powyżej 250 tys. zł rocznie to za mała grupa, by sfinansować odpowiednio duże podwyżki dla najtwardszego elektoratu PiS, jaki stanowią emeryci oraz osoby o najniższych kwalifikacjach zawodowych. To zaś oznaczałoby, że transfery socjalne zaordynowane przez rząd nie mają na celu uczynienie polskiego systemu podatkowego sprawiedliwszym, a gra toczy się wyłącznie o poparcie polityczne.

### Zabawa zaufaniem

Politycy PiS muszą oczywiście zdawać sobie sprawę, że wykorzystując w ten sposób ideę solidarności, marnotrawią rzadkie w Polsce dobro. Jak mówi dr hab. Maria Theiss, badaczka polityki społecznej z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, siłą określającą kierunek myślenia o solidarności społecznej pozostaje – nie tylko w Polsce – kategoria „zasługiwania" na pomoc. W tym porządku na drugi plan schodzą kryteria obiektywne, na przykład sytuacja majątkowa, stan zdrowia etc. Ich miejsce zajmuje uznaniowe postrzeganie sytuacji potrzebujących. Wyraźnie polskim akcentem w tym uniwersalnym obrazie jest jednak nasze silne przekonanie, że odbiorcy pomocy powinni odwdzięczyć się za nią społeczeństwu. W badaniu European Social Survey z 2018 r. 60 proc. ankietowanych Polaków odpowiedziało twierdząco na pytanie, czy w kategoriach sprawiedliwości społecznej mieści się pomoc dla najsłabszych także wtedy, kiedy nie są w stanie odwzajemnić wsparcia. Na pierwszy rzut oka to dużo. W większości krajów zachodnioeuropejskich odsetek odpowiedzi twierdzących oscylował jednak na poziomie 80 proc. Słowem, mamy inklinacje do traktowania solidarności społecznej jako warunkowej inwestycji, która musi się zwrócić. Liderzy życia politycznego powinni o tym wiedzieć.

W tym kontekście trudno zrozumieć, dlaczego rząd pozwala sobie na ryzykowną zabawę zaufaniem do systemu ubezpieczeń społecznych. W Polskim Ładzie jedną z kluczowych zmian jest uzależnienie wysokości składek zdrowotnych od zarobków. Tej daniny nie można też odliczyć od podstawy opodatkowania. Obywatele mają więc prawo oczekiwać, że w ślad za tym nastąpi wyraźny wzrost budżetu NFZ. Tymczasem jest dokładnie na odwrót. Budżet Funduszu w tym roku urośnie do 112 mld zł, czyli o 11,6 proc. Rok wcześniej wzbogacił się o 1,7 mld zł, czyli o 12 proc. Podatnik, któremu właśnie znika z kieszeni kilkaset złotych w skali jednego miesiąca, może dziś jedynie zgadywać, co stanie się z tymi pieniędzmi i do kogo trafią.

©℗ MAREK RABIJ

REKLAMA

DOROTA

# Masłowska:
## *Turystyka świetlna*

Paszporty, certyfikaty, formularze, ubezpieczenia, kody QR. Cała teczka. Właściwie może dobrze. Człowiek, gdy tylko bierze ją do ręki, czuje ciężar swojej podróży. Czuje się petentem. Może wręcz oszustem, kombinatorem, skrytym parówkożercą, któremu na każdym kroku ktoś może powiedzieć: nie. Gdzieś w sobie wie, że planuje zdradzić, uciec; pokątnie szukając dla siebie słońca, ciepła. Na każdym kroku może też zostać zatrzymany, cofnięty, ciśnięty z powrotem w przepaść. Ostatniego dnia przed wyjazdem wciąż błąkamy się po mieście, żeby zrobić cholerny test. Śnieg pada jak w baśni, teatralnie oświetlone reflektorami place budowy, ryk i pipczenie cofających dźwigów przypominają, że to jednak rzeczywistość, że nie idziemy donikąd przez sen.

W pierwszym punkcie kobieta w polarze patrzy gdzieś daleko przed siebie, informując nas opryskliwie, że przyszłyśmy za późno, że „przecież tam pisze". Chodzi o przyklejone do namiotu wojskowego kartki A4, które prawdopodobnie, nim zaczął padać śnieg, coś tłumaczyły i zastrzegały. Brniemy dalej przez miasto, od punktu do punktu. Szlabany, słupki, budki. Wegetujący na zimnie ochroniarz, który pyta nas z satysfakcją, czy mamy skierowanie. Test podróżny? Bez skierowania tutaj żadnego testu nie zrobimy. Widać z jego postawy, z jego twarzy, że lubi to robić, lubi odmawiać. Rozczarowywać zaśnieżonych wędrowców, zamykać im drzwi przed nosem, sycąc się ich frustracją; że nie ma tu dla nich dodatkowego talerza. Gdy pytam „To gdzie zrobimy?", prycha teatralnie, wykonując staropolski gest „Proszę pana, to jest kiosk ruchu, ja tu mięso mam!". Wreszcie odpuszcza jak kot, gdy ofiara przestaje mu się ruszać. „Na Górskiego, w Domu Chłopa".

Więc brniemy. Śnieg sypie w oczy, rozmazuje cienie i tusze. Mrygają kolorowe światła kasyna, sypią się snopy barwnych mgnień, puste rzędy automatów nęcą fantastyczną zabawą i odmianą losu. W Domu Chłopa, wielkim i pustym, zastajemy jednak tylko pogrążoną w profesjonalnej melancholii recepcjonistkę. Ona też wydaje się osobiście urażona głupim pytaniem o testy. „Nie wiem, czemu państwo tutaj przychodzicie, to nie jest tutaj". „A gdzie?" „Proszę panią, nie tutaj" – ucina z bareistycznym *Schadenfreude*, tuląc ciasno do serca tę wielką tajemnicę. Wtedy myślę, że Blue Monday to sztucznie zaimplementowane nam pogańskie amerykańskie święto. Ciężar życia osiąga w Polsce krytyczność w lutym. Podrażnieni ludzie depczą sobie po piętach, szczypią się i popychają, wymieniają sekretne kuksańce i muki. „Co?" „Gówno w zoo".

Gdy wracamy, przysiada się do nas w autobusie kilkuletnia dziewczynka. W wieku gdy jeszcze wolno chodzić śniegowcami po tapicerce. Jej główkę trzymają, niczym dwie dodatkowe pluszowe głowy, stare jednorożce, z rogami już niesprężystymi, w uwiądzie. W dłoni ma paczkę żelków, jeden szczególnie wielki, zielony i błyszczący, zwisa z jej ust. Wyjmuje go i wkłada z powrotem, zasysa i wysuwa, jakby prowokacyjnie na naszych oczach memłała w ustach tłuściutki zarazek, wielki omikron.

Z domu musimy wyjść jeszcze właściwie nocą – nieprzebrany granat nieba rozwarstwia się nieznacznie na horyzoncie, pokazując skąpe przebłyski błękitu. Lotnisko pełne zombie, z bambetlami, wózkami. Bobasy. Toboły. W informacji wykłóca się młoda Rosjanka. Spóźniła się na lot i robi dziką haję z innego obrządku kulturowego. A może z tego. Jakaś pierwotna figura. Tak krzyczy zwykły szary człowiek w starciu z bezdusznym systemem, gdy nie ma już nic wobec niesprawiedliwości, tylko swój wrzask, załamywanie rąk i rwanie włosów z głowy. A może – to też niewykluczone – pięć godzin do następnego lotu i nic lepszego do roboty. Młode pracownice informacji w uniformach, z wiotkimi chusteczkami w butonierkach, włosami spiętymi w firmowe koczki, wiją się, jak pod ostrzałem. Nie miały tego na kursach przygotowujących, nie znają obsługi takiej awantury. Kobieta bierze się pod boki i wywrzaskuje im w twarz swoje żale, uprawnione lub może całkiem bezzasadne. Przesłony przeciwwirusowe gną się i łopoczą; ona, po każdym secie, dosadnym gestem odwraca się w kierunku kolejki i powołuje wszystkich wzrokiem na świadków. Szuka popleczników, kibiców toczonego przez siebie pojedynku – jak breakdancer po wykonaniu szczególnie wymagającej akrobacji.

Na próżno. Wszyscy zażenowani czy niezainteresowani zaglądają do swoich dokumentów, certyfikatów, zaświadczeń, potwierdzeń. Za chwilę w lodowatej ciemności autobus powiezie ich do samolotu. Zaspane stewardesy o wielkich rzęsach. I już za chwilę maszyna oderwie się od mokrego asfaltu; z góry będzie wyglądać to jak makieta, szare klocki. I po paru sekundach przez kłęby dymu, spalin i chmur samolot wyrwie się w niebo obłędnie niebieskie, prosto w słońce. ©

POŻEGNANIE

Panu Profesorowi
Łukaszowi Tischnerowi

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają

koleżanki i koledzy z Katedry
Historii Literatury Polskiej XX Wieku WP UJ

*Jean-Claude Hollerich, jeszcze jako arcybiskup, w drodze na obrady „watykańskiego szczytu w sprawie pedofilii". Watykan, luty 2019 r.*

# WIARA I PRAKTYKI NIEDZIELNE

**KARD. JEAN-CLAUDE HOLLERICH, ARCYBISKUP LUKSEMBURGA:**

Zadajmy sobie szczerze pytanie:
czy ksiądz koniecznie musi być celibatariuszem?
Dlaczego nie mielibyśmy mieć żonatych duchownych?

**KARD. JEAN-CLAUDE HOLLERICH** (ur. 1958) jest bliskim współpracownikiem papieża. W 2021 r. Franciszek mianował go relatorem generalnym synodu poświęconego synodalności, a w 2019 r. kardynałem. W 1981 r. Hollerich wstąpił do jezuitów. W latach 1985-2011 przebywał z przerwami w Japonii. W 2011 r. został arcybiskupem Luksemburga, a w 2018 r. przewodniczącym Komisji Konferencji Biskupów Unii Europejskiej.

---

**LOUP BESMOND DE SENNEVILLE („La Croix"): Misjonarz w Japonii, jezuita, arcybiskup Luksemburga, kardynał... czy zawsze Ksiądz poszukiwał Boga w ten sam sposób?**

**KARD. JEAN-CLAUDE HOLLERICH:** Kiedy trafiłem do Japonii jako młody ksiądz, był to dla mnie wielki szok. W owym czasie byłem młodym człowiekiem nasiąkniętym katolicyzmem ludowym w wersji, jaka istniała w Luksemburgu. Wraz z innymi jezuitami, z których każdy pochodził z innego katolickiego kraju, przybywaliśmy tam z modelem katolicyzmu, który, jak można się było szybko zorientować, nie odpowiadał oczekiwaniom Japonii.

Dla mnie był to kryzys. Musiałem odłożyć na bok całą pobożność, która aż do tamtej chwili stanowiła bogactwo mojej wiary, i porzucić moje ulubione drogi wiary. Stałem przed wyborem: albo zrezygnuję z wiary, bo nie mogłem odnaleźć dróg, które znałem, albo podejmę wędrówkę innym szlakiem. Wybrałem drugą opcję. Zanim mogłem głosić Boga, musiałem stać się osobą poszukującą Boga. Powtarzałem uporczywe: „Boże, gdzie jesteś? Gdzie jesteś – zarówno w tutejszej tradycyjnej kulturze, jak i w ponowoczesnej Japonii?".

Kiedy powróciłem do Europy dziesięć lat temu, kolejny raz musiałem zaczynać na nowo. Szczerze mówiąc, myślałem, że odnajdę taki katolicyzm, jaki zostawiłem w młodości. Ale tamten świat już nie istniał. W zsekularyzowanej Europie musimy robić to samo: poszukiwać Boga.

**Czy Europa jest znów terenem misyjnym?**

Tak, i to od dłuższego czasu. Luksemburg mojego dzieciństwa przypominał trochę Irlandię: tłumne procesje, silna pobożność ludowa itd. Kiedy byłem dzieckiem, wszystkie dzieci chodziły do kościoła. Moi rodzice wprawdzie nie chodzili, ale posyłali mnie, bo to było normalne. Pamiętam, że kiedy dziecko z mojej klasy nie przystąpiło do pierwszej komunii, wybuchł skandal. Dziś robi się skandal, kiedy któreś dziecko idzie do komunii.

Ale po chwili refleksji dostrzegam, że ta przeszłość nie była tylko i wyłącznie chwalebna. Oczywiście nie widziałem tego jako dziecko, ale dziś zdaję sobie sprawę, że w ówczesnym społeczeństwie było mnóstwo pęknięć i obłudy. W gruncie rzeczy ludzie nie wierzyli wcale bardziej niż dziś, choć chodzili do kościoła. Była to taka niedzielna praktyka kulturowa, ale śmierć i zmartwychwstanie Jezusa wcale ich nie inspirowały.

**Czy zdaniem Księdza Kardynała nastąpił już koniec katolicyzmu kulturowego?**

Nie całkiem. Podlega on zmianom w różnych częściach świata. Jestem jednak przekonany, że covid przyspieszy ten proces. W Luksemburgu liczba chodzących do kościoła spadła o jedną trzecią. Jestem pewien, że ci wierni nie powrócą. Pośród nich są ludzie w pewnym wieku, dla których powrót do praktyk religijnych byłby bolesny. Ale są wśród nich również katolicy, dla których niedzielna msza była ważnym rytuałem zapewniającym stabilność w ich życiu. Dla wielu ludzi nazywanie siebie katolikami to wciąż rodzaj przebrania, które ma sygnalizować ogólną moralność. Pomaga im być w zgodzie ze społeczeństwem, być „dobrymi chrześcijanami", ale nie dookreślają oni, co to tak naprawdę oznacza.

Ale ta epoka musi się skończyć. Musimy budować Kościół oparty na wierze. Wiemy już, że jesteśmy i będziemy mniejszością. Nie powinno nas to dziwić ani smucić. Mam słodką pewność, że mój Pan jest dziś obecny w Europie.

**I nie ma Ksiądz Kardynał co do tego żadnych wątpliwości?**

O nie. Żadnych wątpliwości. To pytanie już mnie nie dręczy. Kiedy byłem młodszy, bałem się, że nie znajdę odpowiedzi. Tak jakby prześladował mnie ten strach. Musiałem się dowiedzieć, bo inaczej bym się pogrążył. Teraz jestem o wiele spokojniejszy.

**Czy ta mądrość przychodzi wraz z wiekiem?**

Nie wiem, czy istnieje coś takiego, jak mądrość przychodząca wraz z wiekiem. (*śmiech*) Byłbym szczęśliwy, gdyby istniała! Ale w głębi duszy zawsze robimy te same głupie rzeczy i zawsze trafiamy na ten sam mur. Przynajmniej wiemy, że ten mur stoi i że będzie bolał.

Wiem również, że jestem tylko narzędziem Pana. Jest wielu innych. Ta świadomość sprawia, że zawsze jestem trochę podejrzliwy wobec tych, którzy mówią, że posiedli bezkonkurencyjną formułę głoszenia Boga.

**Nie ma magicznej formułki?**

Nie, jest tylko ewangeliczna pokora.

**A w młodości wierzył Ksiądz Kardynał w magiczne formułki?**

Oczywiście. Ale to jest piękne szaleństwo młodości. Ukazuje też entuzjazm młodych ludzi.

**Dlaczego przesłanie chrześcijaństwa jest dziś nadal aktualne?**

Ludzie nie zmienili się od dwóch tysięcy lat. Wciąż szukamy szczęścia i go nie znajdujemy. Nieustannie jesteśmy spragnieni nieskończoności i napotykamy na własne ograniczenia. Popełniamy niesprawiedliwości mające poważne konsekwencje dla innych ludzi, które nazywamy grzechem. Ale żyjemy teraz w kulturze, która ma tendencję do tłumienia tego, co ludzkie. Kultura konsumpcyjna obiecuje zaspokoić ludzkie pragnienia, ale tego nie czyni. A jednak w chwilach kryzysu, szoku ludzie uświadamiają sobie, że w ich sercach drzemie cała masa pytań. Przesłanie Ewangelii jest wyjątkowo świeże jako odpowiedź na poszukiwanie sensu i szczęścia.

To przesłanie jest wciąż aktualne, ale posłańcy pojawiają się czasem w kostiumach z minionych czasów, co nie jest najlepszą wobec niego przysługą. Dlatego właśnie musimy się dostosować. Oczywiście nie po to, aby zmienić samo przesłanie, ale po to, aby było ono zrozumiałe, nawet jeśli to my je ogłaszamy. Świat nadal poszukuje, ale nie patrzy już w naszym kierunku. To boli. Musimy przedstawiać przesłanie Ewangelii w taki sposób, aby ludzie mogli zwrócić się ku Chrystusowi.

**Właśnie dlatego papież Franciszek zainicjował w październiku ubiegłego roku synod o synodalności, którego jest Ksiądz Kardynał**

↦

GIUSEPPE LAMI / EPA / PAP

↦ **głównym sprawozdawcą. Niedawno Ksiądz powiedział, że nie wie, co napisze w sprawozdaniu.**

Muszę być tym, który słucha. Jeśli będę składał mnóstwo propozycji, to zniechęcę ludzi, którzy mają inne zdanie. To ludzie muszą zapełnić moją głowę i strony mojego sprawozdania. To jest synod. Musi być otwarty. Jak mówi papież, to Duch Święty jest głównym budowniczym. Musimy więc zostawić miejsce także dla Ducha Świętego.

Ta metoda jest ważna zwłaszcza dzisiaj, bo nie możemy już dłużej zadowalać się wydawaniem rozkazów z góry na dół. W życiu społecznym, w polityce, w biznesie liczy się teraz tworzenie i współpraca w ramach sieci. Zmiana w procesie podejmowania decyzji idzie w parze z prawdziwą zmianą cywilizacyjną, przed którą stoimy. I Kościół, jak zawsze w swojej historii, musi się do niej dostosować.

Różnica polega na tym, że tym razem ta zmiana cywilizacyjna ma niespotykaną dotąd siłę. Mamy teologię, której za 20 czy 30 lat nikt już nie będzie rozumiał. Ta cywilizacja do tego czasu przeminie. Dlatego potrzebujemy nowego języka, który musi być oparty na Ewangelii. I cały Kościół musi uczestniczyć w rozwoju tego nowego języka: takie jest znaczenie synodu.

**Jako przewodniczący Komisji Konferencji Biskupów Unii Europejskiej (COMECE) w październiku wziął Ksiądz Kardynał udział w Rzymie w spotkaniu partii prawicowych i centroprawicowych. Kard. Pietro Parolin, żegnając się ze zgromadzonymi, zachęcał ich, by nie traktowali chrześcijaństwa jako supermarketu, z którego można sobie wybierać tylko niektóre wartości. Czy politycy miewają taką pokusę?**

Oczywiście. Prawica sięga po chrześcijańskie symbole. Lubi różańce i krucyfiksy, ale nie zawsze ma to coś wspólnego z misterium Chrystusowym. Jest to związane z naszą przeszłą kulturą europejską. Politycy prawicy chcą odwoływać się do kultury, aby ją zachować. To niewłaściwe wykorzystanie religii. Znam również polityków z lewej strony zapewniających, że są oddanymi chrześcijanami, którzy walczą ze zmianami klimatycznymi, ale głosują w Parlamencie Europejskim za uznaniem aborcji za prawo podstawowe i ograniczeniem wolności sumienia lekarzy. To również jest traktowanie religii jak supermarketu.

> Musimy przestać zachowywać się tak, jakby kobiety były marginalną grupą w Kościele. **One powinny być w samym jego centrum.**

Można być chrześcijańskim demokratą, socjalistą, ekologiem itd. i nadal być chrześcijaninem. Różnorodność formacji politycznych jest bardzo korzystna dla społeczeństwa. Ale politycy często zachowują swoje preferencje religijne w tajemnicy. W takim przypadku to już nie jest wcale religia, ale osobiste przekonanie. Religia wymaga przestrzeni publicznej, aby mogła się wyrazić.

**Czy chrześcijanom nie jest jednak trudniej zaangażować się w politykę?**

Po pierwsze, to prawda, że jest mniej chrześcijan. Po drugie, to prawda, że stają się coraz mniej zaangażowani w politykę. Widać to po każdych wyborach. Z drugiej strony oczywiste jest, że przesłanie biskupów już nie dociera do społeczeństwa. Francja doświadcza tego od wielu lat. To konsekwencja tego, że jesteśmy w mniejszości.

Aby pomóc ludziom zrozumieć, o co nam chodzi, musimy podjąć trwały dialog z tymi, którzy nie są już chrześcijanami, albo są chrześcijanami na peryferiach. Jeśli zajmujemy określone stanowiska, to nie dlatego, że jesteśmy konserwatywni, ale dlatego, że wierzymy, iż życie i osoba ludzka muszą być w centrum. Aby móc to mówić, musimy prowadzić dialog i zachować przyjaźń z decydentami lub politykami, którzy myślą inaczej. Nawet jeśli nie są oni chrześcijanami, dzielimy z nimi szczerą dbałość o współpracę dla dobra społeczeństwa. Jeśli nie chcemy żyć w społeczeństwie podzielonym na grupy, musimy być w stanie wysłuchać historii innych.

**Czy to oznacza, że Kościół musi zaprzestać obrony swoich idei?**

Nie, nie o to chodzi. Musimy starać się zrozumieć drugiego, budować mosty ze społeczeństwem. Aby głosić antropologię chrześcijańską, musimy oprzeć się na ludzkim doświadczeniu naszego rozmówcy. Bo choć antropologia chrześcijańska jest wspaniała, wkrótce przestanie być rozumiana, jeśli nie zmienimy naszej metody. A jaki byłby pożytek z tego, że mówimy, jeśli nie jesteśmy słuchani? Czy mówimy dla siebie, aby się upewnić, że jesteśmy po właściwej stronie? Czy po to, by utwierdzić naszych zwolenników? Czy też mówimy po to, abyśmy byli słyszani?

**Jakie są warunki wysłuchania drugiego człowieka?**

Po pierwsze pokora. Sądzę, że nawet jeśli nie dzieje się to świadomie, to Kościół ma wizerunek instytucji, która wszystko wie lepiej od innych. Potrzebuje zatem mnóstwa pokory, inaczej nie będzie w stanie wejść w dialog. To także oznacza, że musimy pokazać, iż chcemy uczyć się od innych. Dam przykład: jestem całkowicie przeciwny aborcji. Jako chrześcijanin nie mogę zająć innego stanowiska. Ale rozumiem również, że żywa jest troska o godność kobiet, a dyskurs, którym posługiwaliśmy się w przeszłości, aby wyrazić sprzeciw wobec ustaw aborcyjnych, nie jest już dzisiaj słyszalny. Co więc jeszcze możemy zrobić, aby bronić życia?

Kiedy jakiś dyskurs traci na znaczeniu, nie wolno nam uparcie go używać, ale musimy szukać innych dróg.

**We Francji wielu uważa, że Kościół stracił znaczną część wiarygodności z racji popełnianych w nim przestępstw seksualnych. Jak Ksiądz odnosi się do tego kryzysu?**

Przede wszystkim chcę powiedzieć, że te nadużycia są skandalem. Kiedy widzimy liczby przedstawione w raporcie Sauvégo [ogłoszonym 5 października 2021 r. przez Niezależną Komisję ds. Nadużyć Seksualnych w Kościele francuskim], widzimy, że nie jest to wina tylko kilku osób. Gdzieś tkwi błąd systemowy i trzeba się nim zająć. Nie powinniśmy obawiać się szkód i ran, jakie może nam to zadać – są absolutnie niczym w porównaniu z ranami ofiar. Dlatego musimy być bardzo uczciwi i gotowi na przyjęcie kilku ciosów.

Kilka tygodni temu odprawiałem mszę w Portugalii. Był tam mały chłopiec, który służąc do mszy patrzył na mnie, jakbym był dobrym Bogiem. Zdawałem sobie sprawę, że widzi we mnie przedstawiciela Boga, którym w rzeczywistości byłem w czasie liturgii. Molestowanie

takich dzieci jest prawdziwym przestępstwem. Jest to o wiele poważniejsze przestępstwo niż to, które popełniłby nauczyciel czy trener sportowy. Fakt, że tolerowano to, by chronić Kościół, boli. Przymykaliśmy na to oko! To jest prawie nie do naprawienia.

Teraz przechodzę do pańskiego pytania. Niektórzy ludzie stracili zaufanie. Aby je odzyskać, w sytuacjach, gdy to jest możliwe, trzeba wykazać się ogromną pokorą. Kiedy ktoś towarzyszy wspólnocie lub osobie, musi pamiętać o zasadzie absolutnego szacunku dla tych, którym się towarzyszy. Nie mogę zlekceważyć nawet jednej osoby. Wydaje mi się oczywiste, że podczas procesu synodalnego wszyscy będziemy mieli na uwadze i w sercu te pytania. Potrzebujemy otwartości na zmianę.

**Jeśli błąd jest systemowy, to czy potrzebne są zmiany systemowe?**

Tak. Rzecz jasna w mojej diecezji, podobnie jak w wielu innych, mamy kartę dobrych praktyk, którą muszą podpisać wszyscy, zarówno księża, jak i świeccy pracujący dla Kościoła. Przed święceniami poddajemy też seminarzystów ośmiu sesjom psychologicznym, mającym na celu wykrycie pedofilii. Robimy wszystko, co w naszej mocy, ale to nie wystarczy. Potrzebujemy Kościoła, który będzie tak skonstruowany, że takie rzeczy nie będą już możliwe.

**To znaczy?**

Gdyby kobiety i młodzi ludzie mieli istotniejszy głos, te rzeczy zostałyby odkryte dużo wcześniej. Musimy przestać zachowywać się tak, jakby kobiety były marginalną grupą w Kościele. One nie są na peryferiach Kościoła, są w samym jego centrum. I jeśli nie damy głosu tym, którzy są w centrum Kościoła, będziemy mieli duży problem. Nie chcę wchodzić w szczegóły: to pytanie nieuchronnie zostanie zadane na synodzie, w odniesieniu do różnych kultur, w różnych kontekstach. Ale kobiety były za bardzo ignorowane. Musimy ich słuchać, tak jak słuchamy reszty ludu Bożego. Biskupi muszą być jak pasterze słuchający swego ludu. Nie wystarcza, by powiedzieli: „Tak, słyszę was, ale mnie to nie interesuje". Muszą być w samym środku swojego stada.

**Jakie inne zmiany trzeba przeprowadzić?**

Zmianie musi ulec formacja kleru. Nie może być skupiona tylko na liturgii, choć rozumiem, że seminarzyści przywiązują doń znaczną wagę. Świeccy i kobiety muszą mieć coś do powiedzenia w sprawie formacji kapłanów. Formowanie kapłanów jest obowiązkiem całego Kościoła, więc cały Kościół musi towarzyszyć temu etapowi, z udziałem mężczyzn, tak samotnych, jak żonatych, oraz kobiet.

Po drugie, musimy zmienić nasz sposób patrzenia na seksualność. Do tej pory mieliśmy raczej stłumioną wizję seksualności. Oczywiście nie chodzi o to, by mówić ludziom, że mogą robić wszystko, czy też znieść moralność, ale myślę, że musimy powiedzieć, że seksualność jest darem od Boga. Wiemy o tym, ale czy o tym mówimy? Nie jestem pewien. Niektórzy przypisują wzrost liczby nadużyć rewolucji seksualnej. Sądzę, że jest dokładnie odwrotnie: moim zdaniem najstraszliwsze przypadki miały miejsce przed latami 70.

Księża poza tym muszą być w stanie mówić o własnej seksualności i być wysłuchani, jeśli mają problemy z przeżywaniem celibatu. Muszą mieć możliwość swobodnego mówienia o tym, bez obawy, że otrzymają naganę od swojego biskupa. Jeśli chodzi o księży homoseksualnych, a jest ich wielu, to dobrze by było, gdyby mogli o tym porozmawiać ze swoim biskupem, a ten ich nie potępiał.

Co się tyczy celibatu i życia kapłańskiego, to zadajmy sobie szczerze pytanie: czy ksiądz koniecznie musi być celibatariuszem? Mam bardzo wysokie mniemanie o celibacie, ale czy jest on konieczny? Mam w diecezji żonatych diakonów, którzy wspaniale wypełniają diakonat, w swoich homiliach dotykają ludzi o wiele mocniej niż my, którzy żyjemy w celibacie. Dlaczego nie mielibyśmy mieć żonatych księży? A jeśli jakiś ksiądz nie może dłużej żyć w samotności, musimy umieć go zrozumieć, a nie potępiać.

Jestem już stary, więc nie dotyczy mnie to tak bardzo...

**Czy odczuwał Ksiądz Kardynał trudy życia w samotności?**

Oczywiście. W pewnych okresach mojego życia było to bardzo wyraźnie odczuwalne. I jest też oczywiste, że każdy ksiądz od czasu do czasu się zakochuje. Pytanie, jak się w takim przypadku zachować. Przede wszystkim trzeba zdobyć się na uczciwość, by się do tego przyznać przed samym sobą, a potem postępować tak, by móc dalej przeżywać swoje kapłaństwo.

© Rozmawiał LOUP BESMOND DE SENNEVILLE („LA CROIX")
Przełożył: PAWEŁ BRAVO

Powyższa rozmowa ukazała się na stronie francuskiego dziennika katolickiego „La Croix": **powszech.net/lacroix**.

OGŁOSZENIA

**Sąd Rejonowy w Brzesku,** Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 482/21 prowadzi postępowanie z wniosku Parafii Rzymskokatolickiej pw. Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Zaborowie, gm. Szczurowa, o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz Parafii własności nieruchomości położonej w Zaborowie, gm. Szczurowa, powiat brzeski, o łącznej pow. 6,41 ha, składającej się z działek ewidencyjnych o numerach: 836, 1266, 1308, 1310, 1311, 1490, 1494, powstałych z parcel katastralnych objętych zaginionymi lwh nr: 69, 281, 367, 899, 93, 890, 192, 191, 50 oraz ZD 1020/B, w których jako właściciel ujawniona jest Maria z Majków Nowak (wpis z 1949 r.). Na wymienionych działkach usytuowane są: kościół, plebania, cmentarz parafialny z kaplicą, parking oraz łąka.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawcy, o ile zostanie udowodnione.

**W Sądzie Rejonowym w Przysusze** pod sygn. I Ns 292/21 toczy się sprawa z wniosku Heleny Cieluch z udziałem Jana Cielucha i Dominika Pańczyka o zasiedzenie nieruchomości w miejscowości Rdzuchów-Kolonia, gm. Potworów, składającej się z działek nr 48, 178, 259, 289 o łącznej powierzchni 4,05 ha, przedstawionej na mapie przechowywanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze za nr. GK.III.6621.52.23.2019 przez Helenę i Jana Cieluch.

Wzywa się osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

# Buddyzm na obcej ziemi

JAN RYBICKI

**Bez zmiany siebie nie sposób wskazać drogi pozostałym – uczą lamowie. Także w Polsce.**

Grażyna spacerowała z psem pomiędzy blokami z płyty na swoim olsztyńskim osiedlu. Zadzierała głowę i widziała dziesiątki rozświetlonych okienek. Poznała już trochę sąsiadów i wiedziała, gdzie mieszka pani, która jest bardzo chora, za którymi drzwiami bardzo na siebie krzyczą, a kiedy tamten pan wypije, potrafi spuścić lanie najbliższym. Zaczynała rozumieć, że dzieje się wiele „niefajnych" rzeczy. Nie umiała tego lepiej nazwać, była dziewięcioletnią dziewczynką.

Spacerowała po parku wzdłuż szerokiej ulicy. W jedną i drugą stronę ciągnęły się identyczne bloki. Wyobrażała sobie, że wszystkie są pełne takich samych historii, które znała ze swojej klatki. Nie mogła zrozumieć: dlaczego tak jest? Wydawało jej się to ogromnie niesprawiedliwe, że ludzie, którzy nie zrobili nic złego, cierpią.

Spędzała długie godziny na modlitwie i słyszała od dorosłych o woli dobrego Boga. Bóg chce, żeby tak było? Nie mogła sobie ułożyć tego w głowie. Kiedy trochę dorosła, przestała chodzić do kościoła.

Mijały lata, Grażyna skończyła studia i dostała dobrą pracę w filii zagranicznej firmy. Przeprowadziła się do Warszawy. Była pierwsza połowa lat 90., żyło się szybko, kapitalizm zalewał Polskę produktami i obietnicą dostatku. Grażyna była na fali. Szukała odpowiedzi na swoje pytanie z dzieciństwa. Któregoś dnia znajomi pokazali jej książkę, w której zobaczyła zdjęcie starego, bardzo chudego mężczyzny. Uderzyło ją to, jak starzec patrzył na nią ze zdjęcia. Nigdy nie widziała spojrzenia tak czystego i pełnego współczucia.

Pomyślała: „Co ten człowiek robił, że tak wygląda?". Chciała iść tą samą drogą.

Tożsamość mężczyzny była łatwa do ustalenia. Był to Kalu Rinpocze, buddyjski mnich z Tybetu i nauczyciel w jednej ze szkół tradycji Kagju. Grażyna już od jakiegoś czasu interesowała się wschodnią duchowością. Otarła się o zen, ćwiczyła aikido. Oferta dla ludzi zafascynowanych mądrością Wschodu była szeroka. Nie brakowało różnych grup i związków, nauczycieli posiadających rzetelną wiedzę i samozwańczych guru.

Im więcej dowiadywała się o buddyjskich naukach, tym bardziej czuła, że odpowiadają na jej pytania. Żeby się uczyć, coraz częściej jeździła do leżącego za Warszawą buddyjskiego ośrodka w Grabniku. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że woli tam zamieszkać i pomóc w jego funkcjonowaniu, niż piąć się po szczeblach kariery. To drugie gwarantowało jej pieniądze, ale przestała widzieć w tym sens.

### Ośrodek

Od czasu jej przyjazdu w 2000 r. ośrodek bardzo się rozrósł. Powstała świątynia z ołtarzem i wielkim posągiem Buddy, pod którym ustawia się misy z ofiarami: ryżem, wodą z szafranem i ciastkami.

– Budda nie potrzebuje naszego ryżu – zastrzega Grażyna. – Chodzi o wyrażenie szacunku dla jego nauki.

Poza świątynią powstał również Drubkang – budynek, gdzie odbywają się tradycyjne trzyletnie odosobnienia medytacyjne; poza nim kilka innych zabudowań, z biurem i pokojami dla gości. Obecnie w ośrodku mniej więcej dwa razy w miesiącu odbywają się seminaria i kursy, na które zjeżdża się około 30-40 osób: przede wszystkich polskich buddystów, chcących poznać konkretny tekst albo ważną dla nich technikę medytacyjną. Przed pandemią z okazji przyjazdu ważniejszych nauczycieli zbierało się i kilkaset osób.

Na stałe ośrodek ma teraz 12 mieszkańców. Pomagają w jego funkcjonowaniu zależnie od swoich umiejętności – od budowlanki po tłumaczenie klasycznych tekstów buddyjskich z tybetańskiego. Kiedy Grażyna wprowadzała się do Grabnika ponad dwadzieścia lat temu, zajęła się pracą biurową: to było w tamtym momencie najbardziej potrzebne.

Powoli poznawała filozoficzną wykładnię i praktyki medytacyjne. Musiała nauczyć się, jak i kiedy wykonywać symboliczne gesty (mudry) w trakcie modlitw, jak wykonać złożony ukłon przed posągiem Buddy, poznać dziesiątki innych zasad, związanych z odprawianiem ceremonii. Jeśli nie czuła się tym przytłoczona, to tylko dzięki temu, że mogła przyswajać to wszystko po kolei, w swoim tempie. Buddyzm jej linii jest tradycją ezoteryczną: szereg praktyk i nauk jest niedostępny dla osób mniej doświadczonych.

– Przyniosłyby im więcej szkód niż korzyści – tłumaczy mi opiekun ośrodka.

### Początki

Opiekun jest buddyjskim nauczycielem – lamą i nazywa się Rinczen, chociaż w dowodzie stoi: Waldemar Zych. To on wykładał Grażynie podstawy buddyzmu i opowiadał o swojej drodze, podobnie jak mi teraz. Przeszedł długi okres poszukiwania. W liceum z książki dowiedział się o hathajodze i zaczął ją praktykować według książek, do których zdobył dostęp,

BENCIEN KARMA KAMTSANG POLSKA

*Centrum buddyjskie Bencien Karma Kamtsang w Grabniku, lipiec 2019 r.*

co w latach 70. budziło zdumienie. Miał krótki flirt z ruchem Hare Kryszny. Próbował zostać nowicjuszem u kamedułów.

Jego ojciec, wojskowy i zagorzały ateista, zawsze robił mu wyrzuty, że kiedy angażuje się w coś, zapomina o reszcie świata. Miał rację. Teraz Waldemar zdał maturę i był zdeterminowany, by znaleźć sens życia. Dowiedział się, że w Krakowie formuje się pierwsza grupa medytacyjna buddyzmu tybetańskiego, ze szkoły Karma Kagyu. Spotykali się w prywatnym mieszkaniu, była ich jedenastka. Mieli swojego nauczyciela, lamę! Mniej więcej raz na rok odwiedzał ich Ole Nydahl – Duńczyk, który na Wschodzie odebrał nauki od tybetańskich lamów. Waldemar wcześniej czuł, że szuka po omacku. Teraz wreszcie wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Był rok 1977 i Ole był oknem na inny świat, na tajemniczy Tybet i jednocześnie: na Zachód. Był jednym z pierwszych buddyjskich nauczycieli w Polsce. Z biegiem lat na spotkania z nim zaczęły ściągać setki osób. W kolejnych miastach powstawały grupy medytacyjne.

Ole nigdy nie zostawał na długo, jeździł po całym świecie. Z upoważnienia XVI Karmapy, głowy szkoły Karma Kagyu, zakładał kolejne ośrodki buddyjskie. Nazywał je ośrodkami buddyzmu Diamentowej Drogi, co jest przekładem z sanskryckiego *vajrayana*. Powołał ich ponad 600. Deklarował, że chce uniknąć „religii opartej na wierze, życiu klasztornym, sztywności i nudzie".

Anglojęzyczny portal wita słowami „Buddyzm Diamentowej Drogi zapewnia łatwy dostęp do autentycznych buddyjskich nauk i medytacji do użytku w toku współczesnego życia".

Gdy Ole był za granicą, w nauczaniu zastępowały go osoby, do których miał szczególne zaufanie, między innymi Waldemar Zych. Przepisywał wystąpienia nauczyciela z kaset, i jak mówi, umiał je powtarzać prawie słowo w słowo, gest w gest. Jeździł pomiędzy miastami, śpiąc kątem u znajomych i żyjąc z datków – Poznań, Wrocław, Katowice, Jelenia Góra, Szczecin, Toruń, Trójmiasto, Olsztyn, Bydgoszcz, Warszawa, Radom, Kielce, Rzeszów, Kraków – wylicza. W 1985 r. powstał w Kucharach nieopodal Płocka pierwszy polski ośrodek buddyjski.

### Lama Rinczen

Waldemar z początkiem lat 80. zaczął jeździć na Zachód, do ośrodków założonych przez Olego. Mieszkali tam na stałe lamowie, którzy uciekli z rodzinnego Tybetu po agresji Chin w 1959 r. Im lepiej ich poznawał, tym większy dystans rósł pomiędzy nim a Olem.

Duńczyk nie uczył skomplikowanych rytuałów. Rinczen wolał praktykować tak, jak Tybetańczycy przez stulecia. Ole nie posługiwał się w medytacjach językiem tybetańskim. – A to język precyzyjny, czasem w tekście można wyróżnić aż sześć poziomów znaczeń, nie potrafimy tego dobrze przełożyć – tłumaczy teraz Rinczen.

Miał poczucie, że Ole nie był mu w stanie udzielić odpowiedzi na coraz większą liczbę pytań. Z biegiem czasu coraz mniej potrzebował jego nauk. Poznał Tengę Rinpoczego, szanowanego lamę z klasztoru Bencien. Starszy Tybetańczyk pozwalał się przepytywać przez długie godziny. Traktował go jako nowicjusza, a nie jako doświadczonego nauczyciela, jak Ole. Zychowi wydawało się to uczciwsze. Zaczął podążać za Rinpocze w jego podróżach, by słuchać jego nauk i pełnić rolę jego asystenta.

Kiedy opowiada o Tendze Rinpocze, wyraźnie się emocjonuje: wstaje, by naśladować jego drobne kroczki, zmienia głos, wygłaszając jego kwestie. Mówi, że w buddyzmie tybetańskim więź pomiędzy nauczycielem i uczniem jest bardzo ważna, nawet bardziej intymna niż ta, którą może mieć ze swoją żoną. Utrzymywał z nauczycielem bliską relację przez 37 lat, aż do jego śmierci.

Tenga Rinpocze przekazał mu szereg dalszych nauk. Przeprowadził go przez trzyletnie odosobnienie medytacyjne, które sprawiło, że Rinczen mógł legalnie posługiwać się tytułem lamy. Kiedy wyszedł wreszcie na świeże powietrze, pojechał uczyć się dalej do Indii.

### Kontrowersja

Konflikt w środowisku polskich buddystów wybuchł ostatecznie w 1992 r., kiedy cała szkoła Karma Kagyu zatrzęsła się w posadach. Chodziło o identyfikację kolejnego wcielenia głowy szkoły, Karmapy XVII. Jak głosiła tradycja, poprzednik zostawiał przed śmiercią ↦

↦ wskazówki mówiące, jak odnaleźć chłopca, w którym się odradzał. Tym razem jednak mówiło się o fałszerstwach. Kandydatów na nowego Karmapę było dwóch. W Azji spór miał wymiar polityczny, Chiny i Indie popierały różnych pretendentów.

Wśród Polaków konflikt nie dotyczył tylko tego, kto faktycznie jest Karmapą XVII. Chodziło też o to, jak bardzo tybetański powinien być ich buddyzm. Środowisko podzieliło się na frakcje, które oskarżały się z jednej strony o powierzchowność, a z drugiej – o ślepą dewocję i nadmierne przywiązanie do tybetańskich rytuałów.

Każdy musiał opowiedzieć się po którejś ze stron. Większość mnichów ze wschodu, razem z Dalajlamą i Tengą Rinpocze, poparli Trinle Dordże. Za nimi bez wahania stanął Rinczen.

Ole wraz z częścią lamów opowiedzieli się za Thaje Dordże. Na nerwowym spotkaniu zarządu związku wyznaniowego przeważył autorytet Duńczyka: Thaje Dordże uznała większa część polskiego środowiska. Pozostali musieli się albo dostosować, albo odejść. Wybrali to drugie.

### Cel i metoda

– Kiedy zaczyna się przerost formy nad treścią? – pytam Rinczena.

– Wtedy, kiedy nie rozumie się, do czego ma służyć symbolika czy gest. One wyrażają treść. Dzięki symbolom można ją uchwycić. Przerost formy nad treścią jest wtedy, kiedy myli się cel ze ścieżką. Metodę z tym, do czego ma doprowadzić – odpowiada.

Związek wyznaniowy z siedzibą w Grabniku, którego przewodniczącym jest Rinczen, został założony po rozłamie. Funkcjonuje jako filia klasztoru Tengi Rinpocze – Bencien. Bez zgody opata nie można sprzedać ziemi ośrodka, z nim są ustalane wszystkie większe inwestycje. To głównie lamowie z Bencien przyjeżdżają udzielać trudniejszych nauk i tam jeżdżą osoby bliżej związane z ośrodkiem. Obecnie większość z polskich 16 tysięcy buddystów (wg poprzedniego spisu) należy do związku zakładanego razem z Olem. Związek z siedzibą w Grabniku, którego przewodniczącym jest Rinczen, szacuje liczbę swoich sympatyków i członków na ok. 2 tysiące. Poza tym ok. 3 tysiące osób jest bardziej lub mniej ściśle związanych z pozostałymi szkołami

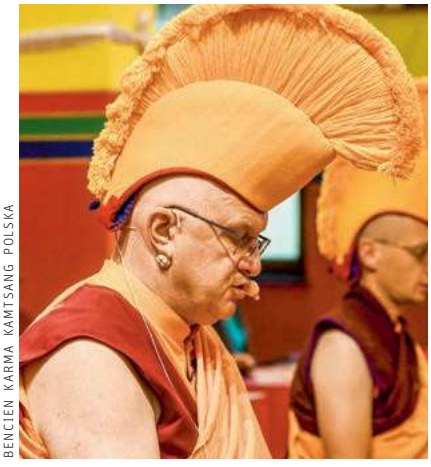

BENCIEN KARMA KAMTSANG POLSKA

*Lama Rinczen, sierpień 2020 r.*

buddyzmu, głównie ningmapą oraz zen/chan.

Rinczen tłumaczy, że każda tradycja duchowa wymaga pokory. Kiedy jest się ponad własną tradycją, traktuje się ją wybiórczo, traci się dostęp do błogosławieństwa, które ze sobą niesie, jak mówi.

Nie wspomina o tym w kontekście rozłamu. Zastrzega, że każdemu ze swoich poprzednich nauczycieli on sam i bardzo wielu innych ludzi dużo zawdzięcza.

### Odosobnienie

Grażyna nigdy nie spotkała Kalu Rinpoczego, którego oczy tak ją poruszyły. Mówi, że nie to było dla niej najważniejsze: liczyło się to, że wskazał jej drogę.

Wielu mistrzów tradycji tybetańskiego buddyzmu spędziło lata na odosobnieniach medytacyjnych. Grażyna poszła w ich ślady. Niedawno skończyła swoje drugie, czteroletnie odosobnienie. Pierwsze, trwające trzy lata, odbyła w specjalnie przeznaczonym do tego budynku leżącym na terenie ośrodka, Drubkangu. Przebywała tam razem z siedmioma innymi kobietami; po drugiej stronie korytarza odbywało się odosobnienie męskie.

Teraz rozmawiamy w domku, gdzie mieszka z mężem, Janem. Spędziła w nim ostatnie cztery lata odosobnienia indywidualnego.

Jej dni wypełniała medytacja: cztery sesje po trzy godziny, podczas których powtarzała mantry, recytowała klasyczne teksty i modlitwy, medytowała według instrukcji przekazanych jej przez rinpoczów i lamamów.

– Bez prowadzenia odosobnienie medytacyjne stałoby się tylko izolacją pozbawioną sensu, to byłoby niebezpieczne – mówi. Nauczyciele, z którymi jest związana, ułożyli dla niej plan medytacji. Dzięki nim czuła, że ma dostęp do żywej tradycji i do metod stosowanych od dwóch i pół tysiąca lat.

Każde odosobnienie ma nieco inne reguły dotyczące m.in. możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym, ustanawiane przed zamknięciem symbolicznych bram. Na indywidualnym odosobnieniu Grażyna mogła na przykład co jakiś czas dzwonić do matki i kontaktować się mailowo z nauczycielami, którzy prowadzili ją przez odosobnienie.

Nie czytała książek innych niż komentarze do medytacji, nie słuchała muzyki, nie oglądała telewizji. Styczność ze światem zewnętrznym zredukowała do minimum. Pomiędzy sesjami medytacyjnymi nie miała wiele czasu: tyle, żeby starczało na zrobienie obiadu, sprzątnięcie mieszkania. Czasem chodziła na spacer dookoła domku.

– Bywa, że trzeba porzucić także dobre rzeczy, by gdzieś dalej dojść – tłumaczy.

Mówi, że umysł jest chaotyczny i bez odcięcia się od bodźców, bez trzymania się odpowiednich metod nie można utrzymać go na właściwym torze. Sama w trakcie odosobnienia przeżywała doświadczenia, o które nawet się nie podejrzewała. Czasem przyjemne. Czasem nie. Tylko tak można poznać naturę własnego umysłu i, jak wierzą buddyści – naturę świata.

Nieszczęście innych wciąż wywołuje jej sprzeciw, ale nauka o karmie odpowiedziała na jej pytanie z dzieciństwa. Cierpienie nie jest przypadkowe: wynika z przyczyn, które nagromadziły się w poprzednich żywotach lub w obecnym życiu. Buddyzm uczy ją, jak je przekroczyć samemu i jak pomóc w tym innym.

Po to między innymi jest odosobnienie: bez zmiany siebie nie sposób wskazać drogi pozostałym.

– Ono odmienia sposób postrzegania i reagowania na świat – wyjaśnia Jan, który spędził na odosobnieniach dwanaście lat ze swojego 56-letniego życia.

Podczas odosobnienia Grażyna przechodziła okres milczenia. W sumie nie odzywali się do siebie z mężem przez trzy lata.

Pierwszym zdaniem, które Grażyna w końcu wypowiedziała, było „zapomniałam, że mogę już mówić". Jan coś do niej powiedział, ona odpowiedziała gestem. Nie chodziło o to, że zapomniała, jak używać języka. Nie czuła potrzeby, żeby mieć jakiekolwiek zdanie na ten temat.

Jej umysł był wreszcie spokojny.

© JAN RYBICKI

# Niech się stanie meczet

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

**Do niedawna pełniły rolę muzeów. Teraz płynie z nich wołanie na modlitwę, podnoszące słupki poparcia dla władz.**

EMRAH GUREL / AP / EAST NEWS

GRYFFINDOR / WIKIPEDIA.ORG

*Anastasis, fresk w kościele Chora. Stambuł, 2007 r.*
*Powyżej: wnętrze kościoła Chora przed jego zamienieniem w meczet. Stambuł, sierpień 2020 r.*

Gdy świat chrześcijański szykował się do świąt Bożego Narodzenia, Diyanet – turecka Rada ds. Religii, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Turystyki oraz pobożni mieszkańcy Edirne (Adrianopolu) też świętowali. 23 grudnia, po 56 latach, ponownie oddano do użytku tamtejszy meczet Enez Hagia Sofia. Zniszczony przez trzęsienie ziemi budynek stał pusty. Dopiero w 2015 r. udało się pozyskać środki na jego renowację. Ta zakończyła się w grudniu.

„Budujemy naszą przyszłość, utrzymując przy życiu naszą przeszłość" – powiedział podczas otwarcia świątyni gubernator Edirne Ekrem Canalp. Szef Diyanetu prof. Ali Erbaş wypowiedział się w podobnym tonie. Było o dziedzictwie proroka Mahometa, Seldżuków i Osmanów z Mehmedem Zdobywcą na czele. „Minarety to nasze prawo własności" – stwierdził kończąc przemowę. Dlaczego? Bo w całej tej historycznej wyliczance zabrakło najistotniejszego elementu. Świątynię wznieśli bowiem nie Seldżucy ani Osmanowie, ale chrześcijanie – Bizantyjczycy. Na marmurowych kolumnach do dziś zachowały się krzyże wykute w latach świetności budowli, która do 1455 r. była kościołem.

### Wszystkie Mądrości Boże

Kościół w Edirne to nie jedyna Hagia Sofia zamieniona w meczet. Gdy 11 lat temu najbardziej znany, stambulski kościół Mądrości Bożej wciąż funkcjonował jako muzeum, w meczet zamieniono inne muzeum o tej samej nazwie – Hagię Sofię w Izniku (bizantyjskiej Nicei). Świątynia na planie bazyliki pamięta czasy II soboru nicejskiego z 787 r. i od zawsze miała wielkie znaczenie dla chrześcijaństwa. W 2007 r. jej dawna dzwonnica, służąca przez wieki jako minaret, została odrestaurowana, a kościół udostępniony dla zwiedzających jako muzeum. Jednak już dwa lata później władze – mimo protestów prawosławnych Greków – zamieniły ją w meczet. Turecka dziennikarka Uzay Bulut nazwała to działanie „kulturowym ludobójstwem".

Zaledwie dwa lata później meczetem stał się też pochodzący z XIII wieku i uchodzący za najlepiej zachowany bizantyjski budynek sakralny w Turcji kościół Mądrości Bożej w Trabzonie. Choć istniały obawy, że odrestaurowane w latach 50. przez ekipę brytyjskiego konserwatora zabytków Talbota Rice'a spektakularne freski, przedstawiające Jezusa przemieniającego wodę w wino, ↦

apostołów i anioły o kolorowych skrzydłach, na powrót pogrzebane zostaną pod warstwą tynku, nic takiego się nie wydarzyło. I choć pełna zakazanych przez islam figuralnych przedstawień kopuła świątyni ukryta jest dziś pod podwieszanym sufitem, na szczęście dla zwiedzających nie wszystkie polichromie i mozaiki zostały zasłonięte.

Krytycznie o przedsięwzięciu wyrażali się nie tylko przedstawiciele świata chrześcijańskiego, ale też wielu tureckich naukowców, badaczy i archeologów. „Rząd Erdoğana najwyraźniej kontynuuje islamski podbój Trapezuntu [bizantyjska nazwa współczesnego Trabzonu – red.]. Udowadnia, że nie ma w Turcji miejsca na wielokulturowość" – mówił cytowany przez portal Archeology prof. Engin Akgiourek z wydziału sztuki bizantyjskiej Uniwersytetu Stambulskiego.

### Czas na Stambuł

Być może właśnie fakt, że poprzednie decyzje nie wywołały wielkich protestów i nie ściągnęły na Turcję gniewu, sprawił, że władze z nową energią zabrały się za to, co od dawna planowały zrobić, by podreperować swój wizerunek u konserwatywnych wyborców. Choć nikt do końca nie wierzył, że tak się stanie, na meczet została zamieniona najsłynniejsza Hagia Sofia, ta stambulska, której budowę na polecenie cesarza Justyniana rozpoczęto w 537 r.

Spektakularna bizantyjska budowla służyła chrześcijanom do chwili zdobycia Konstantynopola przez Mehmeda Zdobywcę w 1453 r. Jeszcze w przeddzień tego wydarzenia o ratunek razem modlili się w niej katoliccy i prawosławni chrześcijanie. Bez skutku. Co więcej, to właśnie do Hagii Sofii zwycięski sułtan skierował pierwsze kroki po podbiciu miasta. Przed drzwiami ukląkł i posypał sobie głowę ziemią na znak uniżenia przed Allahem, a następnie polecił, by budynek przystosować do pełnienia roli meczetu. Wtedy to dobudowano wskazujący Mekkę mihrab oraz minbar, z którego imam wygłaszał kazania. Podłogę pokryto dywanami, a zjawiskowe freski otynkowano. Od tej pory Hagia Sofia uchodziła za najważniejszy meczet miasta, którego nazwę zmieniono na Stambuł.

Po obaleniu sułtanatu i proklamowaniu republiki nikt inny jak właśnie umiłowany przez lud Mustafa Kemal Atatürk zdecydował (też z powodów politycznych) o jej zamianie w 1934 r. w muzeum. Przez dziesięciolecia nie milkły echa tej decyzji, która była jak najbardziej po myśli prawosławnych Greków, czujących się spadkobiercami spuścizny Justyniana. Konserwatywni Turcy nazywali ją „czarnym dniem islamu", a Atatürka odsądzali od czci i wiary. I choć Erdoğan założyciela republiki nie obrażał wprost, nie miał oporów przed powiedzeniem, że decyzja o zeświecczeniu Hagii Sofii była nietrafiona. Po zastosowaniu kilku prawnych kruczków i *de facto* pomieszaniu cywilnego oraz religijnego porządku prawnego, udało mu się to, co planował od dawna. 2 lipca 2020 r. złożył podpis na dekrecie przekazującym pieczę nad Hagią Sofią Diyanetowi, czyniąc ją po 86 latach znów meczetem. Część fresków i mozaik zniknęła, zasłonięta białymi kurtynami. I choć wstęp do świątyni jest dziś bezpłatny, można je oglądać już tylko na zdjęciach prezentowanych przez przewodników.

GUILLAUME PIOLLE / CC BY 3.0

*Chrystus Pantokrator, mozaika na suficie kopuły kościoła Chora. Stambuł, 2011 r.*

### To jeszcze nie koniec

Tym razem świat chrześcijański zareagował. W wielu kościołach na świecie na znak żałoby zabiły dzwony. Politycy wyrażali „głębokie zaniepokojenie". Erdoğan grzecznie zapewnił, że meczetowi Hagia Sofia krzywda się nie stanie, i mniej grzecznie poinformował, że to jego sprawa, co robi z „dziedzictwem Fariha" (słowo Farih oznacza po turecku zdobywcę, to często stosowany przydomek sułtana Mehmeda), jak nazwał tę i w zasadzie wszystkie inne świątynie zamienione po upadku Bizancjum w meczety.

Ledwie miesiąc później prezydent Turcji wydał kolejny dekret. Tym razem meczetem ponownie uczynił XI-wieczny kościół Świętego Zbawiciela Chora, który od 1945 r. funkcjonował jako muzeum. I tu nie obyło się bez trwających od 2017 r. sądowych batalii i odwołań, w końcu jednak Erdoğan dopiął swego. „Meczet Chora jest dobrem kulturowym Turcji. Zmiana jego statusu nie narusza Konwencji UNESCO w sprawie ochrony światowego dziedzictwa" – odpowiadał oburzonej decyzją Grecji przedstawiciel tureckiego ministerstwa spraw zagranicznych Hami Aksoy.

Rozpoczęły się prace konserwatorskie. Zdjęcia ich efektów, opublikowane w mediach trzy miesiące później, zaszokowały świat i stały się wiralami. Zestawiono na nich kościół sprzed i po renowacji. Ten pierwszy w całości wypełniony bajecznymi, kolorowymi freskami – ten drugi z długim na kilka metrów podwieszanym sufitem, za którym ukryto zdobiące sklepienie i łuki malowidła, i ścianami, które pokryto tynkiem. „Zniszczyliście jedno z arcydzieł światowej sztuki, zabiliście wartość artystyczną i charakter świątyni" – napisał na Twitterze Mahir Polat, zastępca sekretarza w stambulskim magistracie.

Konserwatywny rząd Turcji lubi chwalić się, że w kraju funkcjonuje najwięcej meczetów na świecie. „Nie ma osiedla, nie ma miasteczka, nie ma wsi, w której nie mielibyśmy meczetu" – mówił podczas ponownego otwarcia meczetu w Edirne Ali Erbaş. Zarówno on, jak Erdoğan nie lubią, gdy przypomina im się o chrześcijańskiej przeszłości wielu z tych świątyń.

W najbliższym czasie można się spodziewać kolejnych transformacji. Dlaczego? Bo po nich zawsze Erdoğan i rząd nieco odbudowują wizerunkowe straty. To ważne w chwili, gdy już nawet wyborcy AKP źle oceniają prezydenta i jego decyzje, które zdaniem wielu doprowadziły kraj na skraj ekonomicznej zapaści. Galopująca inflacja i drastyczny spadek wartości tureckiej liry sprawiły, że ludzie przestali być dla rządu wyrozumiali. W ostatnim sondażu firmy badawczej Metropoll Erdoğana wyprzedziło aż trzech polityków opozycji, a na opozycyjną CHP pierwszy raz od 20 lat chce głosować tyle samo wyborców, co na konserwatystów. Do wyborów pozostało półtora roku. To wiele czasu, by wykorzystać religię do celów politycznych.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

ZUZANNA

# Radzik:
## *Sitcom hetero*

Też tak macie, że nużą was domowe zajęcia? Dla mnie to zawsze była strata czasu. I opór stawiałam nie tylko z powodu lenistwa, ale też oczekiwania świata, że przejdę ten kobiecy trening.

Było, minęło. Odkąd świat opanowały podkasty, okazało się, że siekać można w rytm politycznych audycji, sprzątać przy rozważaniach o duchowości i ekologii, a prasować – słuchając feministycznej literatury. Przyziemne zyskało nowy sens, bo manualne czynności świetnie towarzyszą słuchaniu. A teraz do rytualnej listy słuchowisk doszło mi „Oswoić gender", które nagrywają badaczki z warszawskiej amerykanistyki. I jest to popularyzacja nauki w najlepszym sensie. Potrzebna jak mało co w kraju, w którym współpracujący z premierem moi dawni koledzy z harcerstwa rekrutują celebrytów do szerzenia nienawiści wobec osób LGBT.

To stamtąd wyłowiłam poleconą książkę, jak się okazało, idealną na sezon walentynkowy. Paradoksalnie, bo tak naprawdę niepokojącą i boleśnie prawdziwą. Czy nie jest bowiem niepokojące, gdy lesbijka pochyla się nad kulturą tworzoną przez – i tworzącą – heteroseksualne romantyczne pary, z pytaniem: hej, jak wy w ogóle dajecie sobie radę? Czy heteroseksualne kobiety mają się dobrze?

Pyta z życzliwością i troską, a ja czytam książkę Jane Ward „The tragedy of heterosexuality" („Tragedia heteroseksualności"), bardzo dobrze wiedząc, o czym ona pisze. Nawet gdy kusi stwierdzeniem, że skoro narzekacie na facetów, to w końcu przy założeniu płynności orientacji seksualnych nie jest to tak zupełnie niemożliwe do przekroczenia. Cóż, niech rzuci kamieniem ta, która nie wzdychała po kolejnej absurdalnej randce, że wolałaby być lesbijką, bo zna masę świetnych kobiet, a mężczyzn jakoś nie.

Ward patrzy na kulturę i widzi straszne rzeczy, do których przywykliśmy. Np. popularne seriale, od hitów lat 50. aż do dziś, w których mężczyźni nabijają się z żon (jeśli nie grożą im przemocą fizyczną i nie doprowadzają do płaczu), a kobiety zrzędzą na facetów. Zalew poradnikowej literatury, która niby robi się bardziej feministyczna, ale jednak wciąż wyznaje zasadę, że oni są z Marsa, a my z Wenus, zatem żeby mogły się spotkać w łóżku i związku te odległe od siebie stworzenia, trzeba przepaść złagodzić manipulacją. Jakby to były podchody, a nie związek osób. Ward patrzy z daleka i mówi: serio, to nie jest normalne.

Więc pragniecie siebie czy nie? – zdaje się pytać heteroseksualne pary, zmęczona słuchaniem wzajemnych narzekań. Przypomina, że pragnienie nie jest wcale oczywiste. Przez wieki małżeństwo było kontraktem pracowniczym i niekoniecznie kojarzyło się z czymś miłym. Przemoc i gwałt małżeński jako powszechna praktyka i kobieca trauma, choroby weneryczne obojga, religijne nerwice i wstyd związany z przyjemnością seksualną... Życie w heteroseksualnej relacji bywało perspektywą tak odstręczającą, że amerykańscy eugenicy, zatroskani o rozrodczość białych par, namawiali do higieny i dbania o siebie. A dziś stało się projektem afektywnym, wymagającym ciągłej podpory w przemyśle upiękniania, poradnikach, szkołach podrywu. Przychodząc z dwóch krańców binarnego, patriarchalnego świata, ciężko się spotkać tak po prostu. Na marginesie: pompowana w katolicyzmie komplementarność płci pochodzi z tej właśnie rzeczywistości.

Mnie samej wydawało się momentami przedsięwzięciem beznadziejnym, by żyjąc w patriarchalnej kulturze, zbudować partnerski, na serio równościowy związek. I to jeszcze gdy wypadnie ci żyć w kraju, w którym *gros* mężczyzn deklaruje, że nie chciałoby być w związku z feministką... A potem, gdy już w takim związku jesteś, to i tak patriarchalny świat nie przestaje napierać od zewnątrz i od wewnątrz. Również z wewnątrz ciebie.

Ward pyta mężczyzn: jak można czuć miłość i pożądanie wobec kobiet, które dominowaliście i dehumanizowaliście przez wieki? Wobec tych, które były własnością jeszcze nie tak dawno? Kobieta jako obiekt, przedmiot jest OK, ale kobieta jako porządna osoba i równy mężczyźnie człowiek? I szczerze powątpiewa, by możliwy był sensowny związek z kimś, kim się pogardza.

Szansę na sensowną przyszłość heteroseksualnych par autorka „Tragedii heteroseksualności" widzi w tym, że mężczyźni polubią kobiety. Kochacie kobiety i ich pragniecie? Więc weźcie odpowiedzialność za to, że to je wybieracie. Los was nie pokarał. Czy interesują was także ich sprawy i prawa, książki, życie emocjonalne? Pociągają was kobiety czy tylko używanie ich dla własnej przyjemności? Bo humanizująca relacja wobec kobiety zakłada, że wiecie, jak działa ich ciało i ich świat.

Krótko mówiąc: musisz zostać feministą. Alternatywą dla tej świetlanej, równościowej, feministycznej przyszłości jest wieczny, brutalny i nieśmieszny sitcom. *Happy Valentine's Day!* ©

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Tadeusz Bradecki

reżyser, aktor, dyrektor Starego Teatru

Tadziu,
dziękuję Ci za dobry czas naszej pracy

Urszula Kenar

# MIASTO MORALNEGO NIEPOKOJU

W razie inwazji Rosjanie panowaliby tu na morzu i w powietrzu. A w głowach i sercach mieszkańców? To już inna sprawa.

MARCIN ŻYŁA Z ODESSY

Zapytanie przyszło z samej góry: Ile w tej Odessie macie schronów przeciwlotniczych?

Gdy nazajutrz czytali odpowiedź, urzędnicy w Kijowie z zadowoleniem kiwali głowami. Sto schronów – nie najgorzej, jak na milionowe miasto. Ale dopytali: a gdyby bomby spadły dzisiaj, w ilu dałoby się ukryć?

Właśnie dlatego Maryna Superson, młoda odeska policjantka, dużo w tych dniach pracuje poza biurem. Ostatnia kontrola schronów odbyła się w 2015 r. Dziś do sprawdzenia ma pięć adresów.

**PATROL** Radiowóz podjeżdża pod pierwszy z nich – posowieckie blokowisko na południowych przedmieściach. Mieszkańcy rozmawiają z Maryną jak z dobrą sąsiadką. Mundur założyła pięć lat temu, tuż po studiach, gdy policja otworzyła się na cywilów. Nie ma w niej nic ze sztywności jej starszych kolegów.

Schron? Jest, lecz wejście otoczono parkanem. Z mapy trzeba go skreślić.

Kilka przecznic dalej, też między blokami, schron numer dwa: za zamkniętą na kłódkę metalową bramą widać betonowy wąski chodnik, który schodzi pod ziemię. Trzeba będzie ustalić, kto ma klucze.

Trzeci schron, wciśnięty między stację transformatorową a mały parking, też zaryglowano, ale na drzwiach jest przynajmniej podany numer telefonu stróża. Czwartego znaleźć nie sposób. Piąty widać tylko po zardzewiałym kominie wentylacyjnym, który wyrasta z nowej kostki brukowej. Administrator sąsiedniego biurowca zapewnia: wejście jest wewnątrz, w środku jest prąd, ale nie ma bieżącej wody. To jedyne z odwiedzonych dziś miejsc, z którego można skorzystać w razie alarmu.

Zrywa się chłodny wiatr, więc do policyjnej czapki Maryna zakłada czarną bandankę. Tęskni za latem. Gdy przyjeżdżają wczasowicze, pracuje przy koordynowaniu koncertów plenerowych. Ale nawet wtedy miewa dość Odessy i jej bałaganu.

Maryna właściwie chciałaby odejść z policji, podjąć pracę jako prawniczka. Ale nie może – trwa stan podwyższonej gotowości.

**MAPA** Położona niedaleko ujścia Dniestru do Morza Czarnego, a także w pobliżu granic z Mołdawią i Rumunią, Odessa jest najważniejszym portem Ukrainy. A odkąd po zajęciu Krymu w 2014 r. Rosja kontroluje cieśninę między morzami Azowskim a Czarnym, blokując wyjście z innego portu, Mariupola – jedynym portem, który zapewnia Ukrainie kontakt ze światem. Przez odeskie terminale oraz sąsiednie porty w Jużnem i Czarnomorsku przechodzi większość ukraińskiego handlu morskiego.

Dlatego Odessa, choć oddalona od Donbasu, gdzie od ośmiu lat toczy się wojna, jest w tych dniach wymieniana jako potencjalny cel rosyjskiego ataku – lub przynajmniej prowokacji, która posłużyłaby za pretekst do inwazji. Miasto jest rosyjskojęzyczne, a od Naddniestrza – od trzech dekad samozwańczego quasi-państwa, gdzie stacjonuje rosyjski kontyngent wojskowy – dzieli je tylko kilkadziesiąt kilometrów.

Lubiący nawiązania do historii Władimir Putin mógłby uznać Odessę za symbol. Założona w obecnym kształcie na przełomie wieków XVIII i XIX, tuż po zdobyciu tych terenów przez Rosję – wcześniej znajdowała się tu turecka osada – Odessa stała się dla carycy Katarzyny Wielkiej i jej imperium czymś więcej niż bramą do Śródziemnomorza. Była zdobyczą strategiczną. „Noworosją" – tak w Pałacu Zimowym nazwano wówczas ten kawałek ziemi.

**JĘZYK** Gdy o niej mówi, Siergiej ścisza głos. Rozmawiamy w małej kawiarni, gdzie słowa niosą się aż za dobrze, a za „Noworosję" można w mieście dostać w zęby. Obecnie tą nazwą propaganda Kremla określa ziemie na wschodzie i południowym wschodzie Ukrainy. Siergiej to zresztą nie jest jego prawdziwe imię – w tekście woli wystąpić pod zmienionym.

– Tylko pod rosyjskim imieniem, dobrze? Nie chcę być żadnym Tarasem czy Bohdanem – prosi.

Urodził się w 1987 r. jako potomek odeskich Niemców, sprowadzonych jeszcze przez Katarzynę. – Tylko my i Żydzi jesteśmy odesytami – podkreśla, używając słowa, które tu oznacza niemal narodowość. – Wszyscy inni to przyjezdni.

Swoją opowieść Siergiej zaczyna od przywołania tamtego dnia w podstawówce, gdy na ławce położono mu podręcznik z tytułem „Ridna mowa". Myślał, że to żart. Był to jego pierwszy kontakt z językiem ukraińskim. I wielka trauma. Odtąd odeski świat stawał się dla Siergieja coraz bardziej ciasny.

– Do 2004 r. dało się jakoś funkcjonować, ale potem ukraiński zaczął być przepustką do kariery – opowiada. – Na uczelni studenci i wykładowcy przełączali się na ukraiński tylko podczas egzaminów. To było absurdalne. A dla mnie przykre. Dlaczego rosyjski, mój język, który w Odessie nigdy nie był obcy, muszę ukrywać w najważniejszych chwilach życia?

**PUSTKA** Gdyby wywodu Siergieja słuchać przez telefon, byłoby łatwo zaszufladkować jego poglądy. – Ukraina nie jest państwem naturalnym – przekonuje bowiem. – Ukraina składa się z niepasujących do siebie części: z Galicji, z ukraińskiego środka oraz z przestrzeni posowieckiej, w tym Odessy. Pod koniec XX w. do Kijowa trafił „desant" polityków ze Lwowa, ukraińskich nacjonalistów, którzy wyostrzyli te różnice. Związek Sowiecki to nie było tylko zło. Częściowo przecież zrealizowano wtedy obietnicę „nowego lepszego świata". Wiesz, jak w tym czasie rozwinęły się Taszkient czy Samarkanda? Słyszałeś o projekcie odwrócenia biegu syberyjskich rzek po to, aby użyźniły Azję Centralną? Nie zdążono go zrealizować, bo Związek Sowiecki upadł.

Mimo wszystko, gdy Siergiej tak mówi, i gdy na jego twarzy widać emocje, jasne jest, że nie jest on stronnikiem Kremla. Twierdzi, że Putin to dyktator, a jeśli do Odessy wkroczą Rosjanie, nie zmieni się nic. Nie upadkiem imperiów, lecz upadkiem ducha martwi się Siergiej. Ma w sobie i melancholię, i pragmatyzm: reprezentuje nierzadki tu typ „codziennego myśliciela", egzystencjalisty, który boi się pustki, w jaką wkracza materializm.

Wychowany na filmach Ryszarda Bugajskiego, potrafi opisać scena po scenie arcydzieła polskiego kina moralnego niepokoju. – Przemiany w waszym kraju pamiętam głównie za sprawą kina – opowiada. – To był szok, jak po pierwszych filmach Kieślowskiego, Holland czy Zanussiego w latach 90. wszystko się zmieniło. Wasze filmy zaczęły opowiadać wyłącznie o doczesności. „Dekalog" to było mistrzostwo. Ale „Trzy kolory"? Za dużo tej zachodniej estetyki.

Po trzech godzinach Siergiej wzrusza ramionami i dopija zimne espresso. ↦

*Odessa, 22 stycznia 2022 r.*

CHRISTOPHER OCCHICONE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

↦ W tym pustym świecie nie ma dobrych rozwiązań. Może poza pracą nad sobą. On wybrał religię. Jest jeszcze sztuka czy nauka. Byle dalej od polityki.

– Żyję w świecie moralnego niepokoju – mówi Siergiej.

**ROZGRYWKA** – To nie czas na bujanie w obłokach – mówi Aleksander Dobrojer, gdy opowiadam mu o spotkaniu z Siergiejem. – Nie da się żyć poza codziennością, być ponad nią. A codzienność to wybory.

Dobrojer przychodzi na spotkanie ze swoim kolegą Aleksandrem Babiczem. Trudno ich przedstawić jednym słowem. Pierwszy jest aktywistą, doradza politykom, pomaga prowadzić biznesy, szkoli z wystąpień publicznych. Drugi z wykształcenia jest historykiem, ale na co dzień prowadzi agencję turystyczną „Tu i tam".

– Trzeba z czegoś żyć – uśmiecha się Babicz. – A tego Siergieja to trochę rozumiem. Trudno o spokój, gdy codziennie, słysząc głośny silnik, zastanawiasz się, czy to traktor, czy czołg.

– Ale teraz rozgrywka toczy się o inną stawkę – wtrąca się Dobrojer. – Ukraina jest jednym z miejsc, gdzie decyduje się przyszły świat. To, na jakich wartościach będziemy budować przyszłość. Nam chodzi nie tylko o nasz kraj. Jeśli Ukraina zostanie rozbita, a Białoruś przestanie istnieć jako niepodległe państwo, Putin się nie zatrzyma. Następne będą kraje bałtyckie i Polska.

Nie pierwszy raz słyszę tutaj, że Odessa zawsze była inna. Nie żyła życiem rosyjskiego imperium. Ani Związku Sowieckiego – choć i wtedy była ważnym portem. Miała swój rytm, rytm kombinatorstwa, cwaniactwa i kontrabandy. Radzenia sobie. Żyła z morza. Marynarze mieli własne sklepy i bony na towary. Miasto nie było ani rosyjskie, ani ukraińskie.

Babicz: – Ta inność do dziś dyktuje miastu swoje zasady. Przeciętny mieszkaniec nie interesuje się polityką czy systemem, w którym żyje. Chce mieć co jeść i żeby na ulicy nie strzelano. Nie zauważają polityki, aż nie przystawisz im pistoletu do głowy.

Pięć lat zajęło Babiczowi przekonanie własnego brata, że na Ukrainie nie toczy się żadna wojna domowa, ale że to rosyjska agresja. W końcu się udało. Niedawno brat zapytał go, co robić, gdy wejdą Rosjanie.

MARCIN ŻYŁA x3

**ALEKSANDER DOBROJER,** *aktywista i biznesmen, Odessa, 1 lutego 2022 r.*

**ALEKSANDER BABICZ,** *historyk i właściciel biura podróży, Odessa, 1 lutego 2022 r.*

Trudniej było z mamą i jej sąsiadkami, bo rosyjska propaganda, jak mówią, jest dziś najskuteczniejsza w świecie. – Moja matka mieszka na wsi. Odwiedzam ją co pół roku i wszyscy mnie tam poznają: „Saszka przyjechał!". Mówią o wszystkim. Kiedyś krytykowali Euromajdan i uważali, że u nas trwa wojna domowa. Ale w 2015 r. w sieciach kablowych zablokowano rosyjskie kanały. Gdy przyjechałem następnym razem, już pytali: „Sasza, jak tam nasi na froncie?".

**OBRONA** Na początku grudnia 2021 r. niemiecki dziennik „Bild", powołując się na własne źródła, informował o planach rosyjskiego desantu na wschód od Odessy, który następnie miał połączyć się z oddziałami z Naddniestrza. Taki manewr odciąłby Ukrainę od morza.

Właśnie taki scenariusz – walkę z oddziałami desantowymi, tworzenie na plaży zapór ogniowych z użyciem haubic i ręcznych wyrzutni rakiet – ćwiczyła kilka dni temu ukraińska 28. Brygada Zmechanizowana. Stacjonująca w Czarnomorsku, na południe od Odessy, ma jedno zadanie: utrzymać port do nadejścia posiłków. Ma też dobrą zaprawę – przez ostatnie lata żołnierze brygady walczyli w Donbasie.

Ale żaden realistyczny scenariusz nie zakłada skutecznej obrony miasta. W razie inwazji rosyjska armia panowałaby na morzu i w powietrzu. Zniszczenie dwóch mostów przy granicy z Mołdawią wystarczy, aby odciąć Odessę od strony zachodniej.

Atakujący bez trudu opanowaliby przedmieścia. Co stałoby się dalej? Zdania są podzielone. W Mariupolu, położonym tuż przy linii frontu w Donbasie, żołnierze od wielu tygodni ćwiczą mieszkańców w rozpoznawaniu ładunków wybuchowych czy zakładaniu opasek uciskowych. Reakcję Odessy przewidzieć trudno. Wielu mieszkańców ma podwójne obywatelstwo, a nad polityką, jak to w miastach portowych, często przeważa bilans zysków i strat. Na początku stycznia kontrwywiad zatrzymał w mieście agenta rosyjskiego wywiadu wojskowego, który, jak twierdzą Ukraińcy, rekrutował tu współpracowników.

2014 – rok zaboru Krymu i początku wojny w Donbasie – to w Odessie szczególny punkt odniesienia. Wtedy, w zamieszkach między zwolennikami i przeciwnikami Majdanu, zginęło tu kilkadziesiąt osób. Z miast, gdzie obroniono wtedy pokój, Odessa była tym, które znalazło się najbliżej wojny.

**DZIENNICZEK** W 2014 r. nie było pewne, czy po Krymie celem Rosjan nie będzie Odessa. Aleksander Babicz dostał wówczas wiadomość ze szkoły syna: nauczycielka prosiła o wpisanie w dzienniczku, dokąd dziecko będzie wysłane na wakacje.

– Zdenerwowałem się. Trwa wojna, Rosjanie u bram miasta, jak można myśleć o kanikule? Napisałem wprost: „Jeśli ten sukinsyn Putin wejdzie dalej na Ukrainę, dołączę do oddziału partyzanckiego i zabieram ze sobą syna. Będziemy razem bronić Odessy. Jeśli Putin się wycofa, Anton spędzi wakacje u swojej babci". Gdy nauczycielka to przeczytała, wybiegła z klasy do dyrektora.

Babicz się śmieje: trzeba grać ostro. Przez 20 lat służył w policyjnym specnazie. I nie ma wątpliwości: jeśli w 2022 r. w Odessie dojdzie do walk, będą zacięte i krwawe.

Pytam o partyzantkę. – Jakoś w 2015 r. zadzwonił do mnie znajomy, który walczył pod Łuhańskiem – wspomina Babicz. – Powiedział: „Tworzymy podziemny oddział partyzancki. Na wszelki wypadek. Wszystko legalne. Wcho-

**MARYNA SUPERSON,** *policjantka, przed wejściem do osiedlowego schronu. Odessa, 31 stycznia 2022 r.*

dzisz?". Dostaliśmy broń, hełmy, wojskowymi dżipami zabrano nas na ćwiczenie do kamieniołomu za miastem.

Podczas pożegnalnego grilla, gdy wszyscy zdjęli czapki, Babicz spostrzegł, że tylko on i jego znajomy nie noszą jarmułki. – Oni byli Żydami! Zapytałem: „Co tu robicie, to nie wasza wojna!". Zdziwili się. Urodzili się tu, emigrowali do Izraela, gdzie służyli w wojsku, ale w Odessie wciąż mają biznesy, bliskich i przyjaciół. Powtarzali: „To nasze miasto".

Babicz nie chce zdradzić, jak liczna była grupa. Mówi: – Takich grup w mieście jest więcej.

**ŁAWROW** Malarz Władimir Kożuchar z Polakami zawsze wita się serdecznie: za czasów sowieckich służył na polskim pograniczu, raz był nawet w Poznaniu.

Idziemy do jego pracowni, na drugim piętrze starej kamienicy przy ulicy Katarzyny Wielkiej.

O malarstwie Władimira Kożuchara krytycy piszą: „Jego wczesne prace charakteryzują się prowokacyjnymi tematami, z widocznym, silnym pulsującym nerwem społecznej nieświadomości. Takie tematy były charakterystyczne dla lat 90., gdy artyści szukali nowych punktów odniesienia i granic tego, co dopuszczalne".

O nim samym: „Jest artystą samotnym, trzymającym się z dala od uznanych grup i ruchów twórczych".

Kożuchar przerzuca swoje obrazy tak szybko, jak pokazuje się zdjęcia w telefonie. – Maluję między innymi na kartonie, ścinkach, na wszystkim, na czym się da – opowiada. Na kilku dziełach powtarzają się te same motywy: ulica, człowiek z małym miejskim plecakiem, najczęściej przedstawiony od tyłu. – A to mój późniejszy projekt: „Mój ZSRS" – na ekranie komputera Kożuchar wyświetla reprodukcje obrazów z wagami towarowymi, sowieckimi samochodami terenowymi, maszerującym oddziałem żołnierzy.

Jego obrazy są jak zdjęcia. Ale tak naprawdę, podobnie jak Siergiej, Kożuchar nie zwraca dużej uwagi na codzienność. Jest czytelnikiem Wittgensteina, Camusa – i za tym drugim powtarza, że w świecie jest tylko jeden prawdziwy problem filozoficzny: samobójstwo.

A polityka? A język? Wpływy? Kożuchar: – Nieważne. To naprawdę nieważne. Istotna jest tylko kultura. A kultura to treść. Dziś treść mogą zaproponować najsilniejsi. Zajęcie Krymu zupełnie mnie nie zdziwiło. Promieniują dziś tylko silne kultury i światy: rosyjski, chiński, arabski.

To do nich, a nie do peryferiów należy przyszłość, zdaje się mówić tutaj jeszcze jeden człowiek, na którego to, co tu i teraz, działa znacznie silniej niż to, co kiedyś i dalej. – Gdzie się pan urodził? – pytam malarza, który swoje życie dzielił dotąd między Odessę i Moskwę. – To nieważne, zupełnie nieważne – brzmi zdecydowana odpowiedź.

Mimo wszystko Władimir Kożuchar, który skupia się na filozofii, namalował niedawno portret Siergieja Ławrowa. Obraz jest jak zdjęcie: w typowej dla siebie pozie, szef rosyjskiej dyplomacji przemawia w ONZ.

**CZAS** Po kolejnym dyżurze Maryna Superson zabiera mnie na spacer po starych odeskich dzielnicach: francuskiej i niemieckiej. Szerokie, przecinające się pod kątem prostym aleje obsadzone są setkami drzew. Gdy kwitną, miasto się przeobraża. Liście i kwiaty zaczynają zasłaniać zaniedbane kamienice, dobudowane kolumnady z gipsu czy zabudowane balkony.

– Zostanie tylko ten wysokościowiec na końcu alei, z nim nie da się nic zrobić. Ukraina zgłosiła stare centrum Odessy na listę dziedzictwa UNESCO. Ale nic z tego nie będzie, bo nowe centrum handlowe Europa sprawia, że dziedzictwa już nie ma – denerwuje się Maryna. Opowiada o „alejce zdrowia" urządzonej przez miasto przy morzu i o tym, że gdy w pewnym jej miejscu postawiono nowy apartamentowiec, spacerowicze i biegacze muszą biec... przez tunel pod nim. – I jak to miasto może być miastem ludzi, jeśli władze są na ludzi ślepi? Przecież to, jeśli dbasz o przestrzeń, jest wyznacznikiem świadomości.

Maryna opowiada o trochę swoim, a trochę obcym mieście, w którym chciałaby żyć spokojnie i nie mieć poczucia, że zagraża jej powtórka z przeszłości.

– To niepojęte – mówi na koniec, gdy czeka na trolejbus linii 10, który zabierze ją do mieszkania na przedmieściach – że w wieku XXI w ogóle mówimy o wojnie, skoro już przez tyle przeszliśmy. Jakbyśmy cofnęli się w czasie o kilkadziesiąt lat.

■■■

Tamtego dnia, w roku 2014, gdy Aleksander Babicz ostrzegł szkołę, że jego syn może spędzić wakacje w antyrosyjskiej partyzantce, odpowiedź przyszła szybko – i także w dzienniczku ucznia.

„Szanowny Aleksandrze Wieczysławiczu! – przeczytał zdumiony ojciec. – Rada Pedagogiczna Szkoły Podstawowej nr 121 wyraża ubolewanie, że zgłaszacie się do partyzantki, a nie bierzecie pod uwagę pedagogów naszej placówki. Przecież nauczyciel wychowania fizycznego niedawno wrócił z wojska. Jego siostra ukończyła studia medyczne. Może się przydać. A nauczycielka historii ma do dyspozycji wolne mieszkanie, mogłaby w nim zorganizować punkt konspiracyjny. Aleksandrze Wieczysławiczu, apelujemy o uwzględnienie nas w swoich planach!".

©℗ MARCIN ŻYŁA

ROBERT F. BUKATY / AP / EAST NEWS

*Trasa zjazdowa ze sztucznym śniegiem do narciarstwa alpejskiego na Zimowych Igrzyskach w Pekinie. Chiny, 2 lutego 2022 r.*

# Olimpiada czarów

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

**Igrzyska zimowe odbywają się w kraju, któremu zarzuca się ludobójstwo wobec ludu Ujgurów. MKOl twierdzi, że trwa na pozycji „neutralności politycznej". Brak naturalnego śniegu to już pomniejszy kłopot.**

Zabiegając o przyznanie organizacji letnich igrzysk w 2008 r., delegacja z Pekinu przekonywała, że wydarzenie to pomoże zliberalizować Chiny. Kiedy siedem lat temu w Kuala Lumpur decydowano o miejscu tegorocznej olimpiady zimowej, takie obietnice nie były już konieczne. Mało kto zresztą by w nie uwierzył.

Prezydent komunistycznych Chin Xi Jinping nadesłał jedynie krótkie wideo, w którym zapewniał, że Chiny wzorowo przeprowadzą imprezę, co obejmować miało także czyste niebo i niską emisyjność dwutlenku węgla. W decydującym głosowaniu Pekin pokonał Ałma Atę stosunkiem głosów 44 do 40. Xi oznajmił teraz, że na czas olimpiady jego kraj stanie się „zaczarowaną krainą sportów zimowych".

Stolica Chin nie była faworytem tej rozgrywki – tym bardziej że poprzednie igrzyska zimowe odbyły się niemal po sąsiedzku, w Korei Południowej. Z pierwotnej listy zgłoszeń wycofywały się jednak kolejne miasta, głównie europejskie, przede wszystkim na skutek sprzeciwu lokalnych społeczności. Autorytarne władze w Pekinie takich problemów nie miały, mogły też wykorzystać częściowo infrastrukturę z 2008 r.

Xi przykazał od początku, by unikać przepychu w przygotowaniach do imprezy, która miała stać się raczej przykładem gospodarności, a w podtekście – dowodem na przewagę chińskiego modelu gospodarczego. Oficjalnie całość wydatków zamknie się sumą ok. 4 mld dolarów. To ponad trzy razy mniej niż koszty poprzedniej olimpiady – nie mówiąc o 50 mld dolarów wydanych przez Rosję na igrzyska w Soczi i symbolizujących korupcję putinowskiego systemu władzy.

### Na sztucznym śniegu

Zawody, na które przyjechało łącznie prawie 3 tys. sportowców, odbywają się tym razem w trzech lokalizacjach. Otwarcie i zamknięcie igrzysk zaplanowano w Pekinie na „ptasim gnieździe", słynnym stadionie wybudowanym z okazji poprzedniej olimpiady. Stolica jest również miejscem rywalizacji łyżwiarzy. Pozostałe dyscypliny ulokowano w pobliżu dwóch nowych ośrodków Yanqing oraz Zhangjiakou, odpowiednio 75 i 180 kilometrów od Pekinu. Dojazd tam zajmował niedawno mieszkańcom Pekinu nawet kilka godzin, teraz dotarcie do najdalszego obiektu sportowego superszybką koleją zamyka się w 60 minutach.

Nie jest to jedyny cud wykreowany przez Chińczyków na igrzyska.

Od początku wiadomo było, że tereny przewidziane na rywalizacje alpejskie, choć mroźne, są pozbawione wody i śniegu. Z oddali poprowadzono więc gęsty system wodociągów, co – za pomocą maszyn śniegowych – umożliwiło pokrycie białym puchem nie tylko obiektów sportowych, ale także pól i zboczy górskich, obsadzonych dodatkowo iglakami. Zagraniczni ekolodzy protestują przeciw tak głębokiej ingerencji w środowisko naturalne, ale obiecany przez prezydenta Xi baśniowy nastrój przybliżył się do rzeczywistości.

Władze nie muszą martwić się o zyskowność igrzysk również dlatego, że angażując się w ich organizację, postawiły na promocję u siebie sportów zimowych. Ostatniego roku przed pandemią górskie ośrodki olimpijskie odwiedziło blisko 3 mln Chińczyków – to sześciokrotny skok w ciągu dwóch lat. Do niedawna narciarstwo uchodziło tam za elitarne hobby, teraz ma się stać pasją 300 mln Chińczyków z klasy średniej. Xi Jinping

zadbał też osobiście, by w czasie olimpiady chińscy sportowcy, gdzie tylko możliwe, korzystali ze sprzętu i strojów rodzimych marek.

Gospodarze mają jednak świadomość, że – inaczej niż podczas letnich zawodów – w dyscyplinach zimowych nie potrafią jeszcze zdominować medalowych klasyfikacji. Liczono więc zwłaszcza na pochwały za organizację igrzysk, a trwająca od dwóch lat pandemia, wbrew pozorom, miała im w tym dopomóc.

### Tokio plus

Jeśli ktoś sądził, że podczas letnich igrzysk w 2021 r. Japończycy wyśrubowali normy bezpieczeństwa przeciw covidowi, to Chińczycy teraz udowadniają, że się mylił.

Przykładowo, w Japonii dziennikarze i inne osoby towarzyszące ekipom mogły, po odbyciu kwarantanny, swobodnie korzystać z uroków miasta. Dziś izolacja obejmuje wszystkich przyjezdnych: przebywać im wolno tylko wewnątrz jednej z trzech „baniek", w których zlokalizowano imprezę.

Przed przyjazdem każdy musiał wykonać dwa antycovidowe testy i kolejny tuż po przylocie, gdy należało też uruchomić w smartfonie aplikację umożliwiającą codzienne monitorowanie stanu zdrowia. Część ekip zaopatrzyła swoich członków w sprzęt elektroniczny (jak telefony) do użytku tylko podczas olimpiady, obawiając się, że Chińczycy zainfekują go w celu inwigilacji. Każdy dzień na terenie wioski olimpijskiej zaczyna się od testu, także dla miejscowego personelu: kelnerów, pokojówek, kucharzy czy wolontariuszy, którym, w przeciwieństwie do Tokio, na czas imprezy nie wolno opuszczać „bańki". Niezaszczepieni goście musieli poddać się najpierw trzytygodniowej kwarantannie.

Tak ostre rygory wpisują się w przyjętą od początku przez Chiny strategię „zero covid". Oprócz obowiązku noszenia maseczek, dystansu społecznego i szczepień, sprowadza się ona do niszczenia w zarodku każdego źródła infekcji. Np. gdy u jednego z odwiedzających Disneyland w Szanghaju zeszłej jesieni stwierdzono po powrocie do domu obecność wirusa, zamknięto cały kompleks rozrywki, poddając testom 34 tys. obecnych wewnątrz gości.

Z kolei w styczniu kilkutygodniowy lockdown objął całe 13-milionowe miasto Xi'an. Decyzja zapadła po wykryciu 1800 przypadków infekcji. Podobnie jak dwa lata wcześniej w Wuhan, ludziom kazano pozostać w domach; pojawiły się też kłopoty z zaopatrzeniem, co zmusiło sąsiadów do barterowej wymiany żywności. Komu udało się wymknąć z mieszkania, aby zrobić zakupy na własną rękę, a został ujęty, musiał potem składać publiczną samokrytykę, rejestrowaną na wideo. Ostatecznie nikt w Xi'an na covid nie umarł.

### Ostrzegawcze wizyty

Tylko państwo totalitarne narzucić może społeczeństwu tak drakoński reżim sanitarny. Dzięki temu jednak liczba zachorowań w Chinach utrzymywała się dotąd na bardzo niskim poziomie. Dlatego, w odróżnieniu od Japonii, planowano wpuścić widzów na zawody sportowe. Gdyby poziom infekcji wciąż pozostał znikomy, chińska propaganda bez problemu udowodniłaby, kto przewodzi światu w zwalczaniu pandemii.

Plany te pokrzyżował jednak wariant Omikron, wdzierając się ostatnio także do Państwa Środka. Wstrzymano zatem sprzedaż biletów, a na trybunach zasiądą prawdopodobnie tylko osoby wskazane przez władze. Co więcej, nie ma już czasu na masowe podanie ludziom dodatkowej szczepionki, większość Chińczyków ma więc dziś niski poziom przeciwciał. W przededniu olimpiady to pandemia na nowo spędzała sen z oczu ludzi władzy.

Nie obawiali się oni natomiast ewentualnych niepokojów społecznych. Impreza pozostaje wyizolowana, poza tym służby bezpieczeństwa złożyły wcześniej krytykom władz ostrzegawcze wizyty. Niektórzy dostali zakaz opuszczania mieszkania, innym zablokowano dostęp do internetu (i tak już poddanego cenzurze).

Pod znakiem zapytania pozostaje jedynie zachowanie sportowców, nie tylko podczas zawodów. W ramach swojej „bańki" mogą oni korzystać z globalnych mediów społecznościowych, a więc – teoretycznie – wyrażać nieprzychylne opinie o gospodarzach igrzysk. Tematów nie brakuje: represje w Sinciangu, Hongkongu i Tybecie, agresywna postawa Pekinu wobec Tajwanu czy kłopoty znanej tenisistki Peng Shuai, która oskarżyła Zhanga Gaoliego – byłego wicepremiera i szefa komitetu organizacji igrzysk – o molestowanie seksualne.

Tymczasem Międzynarodowy Komitet Olimpijski trwa na pozycji „ścisłej neutralności politycznej", podobnie jak zachodnie korporacje sponsorujące imprezę. Z wizerunkowych względów chińskie władze wolą na pewno uniknąć stosowania otwartego przymusu wobec sportowców, stanowczo ostrzegają jednak, że jakiekolwiek zachowanie wbrew prawu „spotka się z reakcją i karą".

### Dyplomatyczny bojkot

Olimpiada odbywa się podczas narastającego konfliktu między Chinami a USA – i w kraju, któremu oficjalnie zarzuca się ludobójstwo wobec islamskiego ludu Ujgurów z Sinciangu. Głównie z tego powodu Stany Zjednoczone i większość krajów anglosaskich ogłosiły „dyplomatyczny bojkot" igrzysk, nie wysyłając na nie polityków. Podobnie postąpiła Japonia, unikając jednak słowa „bojkot". Chiny zdają się tym nie przejmować. Raz wspomniano co prawda o chęci „odpłacenia się", ale dla nich bardziej liczy się bajkowy wizerunek kraju z oficjalnych transmisji i spotów reklamowych, skierowany do wewnątrz, jak i dla zagranicy.

Dotyczy to również ceremonii otwarcia. Tak jak w 2008 r. odpowiadał za nią Zhang Yimou, najsłynniejszy reżyser kraju, i ponownie spodziewano się spektakularnego widowiska.

Sam Zhang Yimou, 71-letni artysta, dobrze personifikuje drogę, którą Chiny przeszły w ostatnich dekadach. Zaczynał z generacją reżyserów, która wykorzystała okres swobód po upadku Mao Zedonga (założyciela komunistycznych Chin), przemycając umiejętnie w twórczości społeczną i polityczną krytykę. Potem zdarzały mu się dzieła sławiące chińską historię, wizualnie porywające. Posłusznie godzi się też na ingerencję cenzury w swoje dzieła, czasem wycofywane odgórnie z zagranicznych festiwali.

Zhang mówi dziś, że przy igrzyskach w 2008 r. chodziło o pokazanie światu Chin na nowo, ich korzeni, ale i współczesnych osiągnięć kraju, natomiast w 2022 r., po zaspokojeniu materialnych potrzeb ludności, priorytety się zmieniły. Reżyser nie ma tu na myśli swobód obywatelskich. Z chińską flagą przypiętą do czapki, twierdzi on w rozmowie z miejscową telewizją, że jego rodacy tęsknią przede wszystkim za „romantycznym wymiarem życia". I taką perspektywę chciał on wprowadzić do swojego przedstawienia, które równocześnie miało pokazać „kulturową pewność siebie Chińczyków". ©

# Wiatr i słońce nie wystarczą

**ANNA VERONIKA WENDLAND, HISTORYCZKA TECHNIKI I ŚRODOWISKA:**

## Obecna polityka energetyczna Berlina uniemożliwi nam osiągnięcie celów klimatycznych.

**ŁUKASZ GRAJEWSKI: Większość niemieckiej opinii publicznej przyjęła krytycznie decyzję Komisji Europejskiej, by uznać atom za energię przyjazną dla klimatu. Dlaczego Niemcy mają taki problem z atomem?**

**ANNA VERONIKA WENDLAND:** Krytyka atomu urosła u nas do rangi cywilnej religii. Niemcy są społeczeństwem coraz bardziej zateizowanym. Jednocześnie wierzą, że atom to największe nieszczęście, jakie nas spotkało. Ta wiara, podobnie jak wiara religijna, budzi emocje i ma swoje reguły. Liturgia ma swój powtarzalny porządek. Również świecka wiara w destrukcyjną moc atomu ma swoje formułki, które brzmią: „bo Czarnobyl, bo Fukushima, bo odpady atomowe, bo promieniowanie". Od dogmatu nie ma odstępstw.

**Czy to nie są uzasadnione lęki?**

Dlaczego nikt nie patrzy na ofiary, jakie ponosimy z racji produkcji różnych źródeł energii? Atom jest zawsze na samym dole listy, nawet uwzględniając tragedię w Czarnobylu. Nie, takich argumentów nie chcemy. Dla mnie jako naukowca to trudne do zrozumienia. Czasem zastanawiam się, po co ładujemy miliardy euro w naukę, jeśli w efekcie dostajemy tak niską świadomość społeczną, że 80 proc. Niemców wierzy, iż z powodu promieniowania wytwarzanego przez elektrownię atomową zachorują na raka.

**Ruch antynuklearny ma w Niemczech długą tradycję. Jak powstał?**

Protesty zaczęły się w latach 70. XX w. Powstał projekt budowy elektrowni atomowej w miasteczku Wyhl na granicy z Francją. Szybko zawiązała się grupa protestujących. To byli nie tylko lewicowi studenci z Fryburga, którzy chcieli w ten sposób protestować przeciw kapitalizmowi. Na demonstracje przychodzili rolnicy i właściciele winnic. Nie chcieli w sąsiedztwie wielkich przemysłowych projektów i bali się, że para, będąca efektem schładzania, skazi ich pola. To były konkretne obawy, które można było rozbroić za pomocą rzeczowej dyskusji. Ale w tamtych latach przemysł i polityka chciały atomu za wszelką cenę i wobec protestujących zachowywano się ekstremalnie arogancko. Przeciwników nazywano długowłosymi hipisami, którzy potrafią tylko szerzyć strach. Zamiast rozładować ten konflikt, sięgnięto po policję i przemoc.

**Studenci i tzw. pokolenie '68 byli motorem tych protestów?**

W tamtych czasach w ochronę przyrody angażowali się właściwie ludzie z bardzo konserwatywnymi poglądami. Nie chcieli miejskiego stylu życia, bali się dynamicznego rozwoju przemysłu. W ruchy antynuklearne angażowało się też wielu chrześcijan: widzieli w tej technologii niedozwoloną ingerencję w ziemię, którą stworzył Bóg. Te protesty były bardzo antymodernistyczne. Obok nich protestowali studenci, komuniści, przeciwnicy kapitalizmu. Oni z kolei nie byli jednoznacznie przeciw elektrowniom atomowym, np. nigdy nie zorganizowano demonstracji przeciw reaktorom działającym w Związku Sowieckim. Dla nich była to okazja, by walczyć – jak mówili – ze zgniłym kapitalizmem i dominacją państwa.

**Postawa antyatomowa wydaje się dziś częścią niemieckiej tożsamości. Kultową już naklejkę „Atomkraft? Nein Danke" można napotkać niemal wszędzie. Negatywny obraz atomu pojawia się często w kulturze masowej. Ostatnio tajemniczy reaktor stał się tłem dla fabuły niemieckiego serialu „Dark", który zdobył światową popularność.**

Jako historyk techniki muszę przyznać, że wyobrażenia odnośnie do atomu zostały częściowo stworzone przez samą branżę. Kilkadziesiąt lat temu po prostu nie inwestowano w ładne pomieszczenia socjalne, lecz w technikę. Stąd te nagie szare ściany i spartańskie warunki wewnątrz elektrowni atomowych, które znamy z seriali. Dodatkowo teren jest zawsze mocno zabezpieczony. Siatki, płoty, zasieki. Jak twierdza lub więzienie. Do tego dochodzi hierarchia. Nie wszyscy mają dostęp do wszystkich obszarów, a do centrum elektrowni tylko nieliczni. To, jak elektrownie są zbudowane, odpowiada ich społecznej percepcji jako coś tajemniczego, wręcz nieludzkiego.

**Pracowała Pani w elektrowniach atomowych. Jakie to było doświadczenie?**

Mało spektakularne. Codzienność kontrastuje z wyobrażeniami, które elektrownie tworzą na zewnątrz. To zwykła praca zmianowa, jak w każdym przemysłowym miejscu pracy.

**Niemcy zdecydowały ostatecznie o zerwaniu z atomem w 2011 r., w reakcji na katastrofę w Fukushimie. Czy Angela Merkel ugięła się wtedy pod naciskiem protestów?**

Warto przywołać nastroje, które panowały jeszcze krótko przed Fukushimą. Niemieckie elektrownie miały wtedy komfortową sytuację. Tuż przed Fukushimą dostały pozwolenie rządu na przedłużenie funkcjonowania. Długo udawało się unikać zainteresowania opinii publicznej: branża stawiała na dyskrecję, pracownicy mieli zakaz kontaktów z mediami. Na dłuższą metę okazało się to błędem. Bo jak można mieć taką strategię, gdy prowadzi się zakład z wysokim na kilkadziesiąt metrów kominem, który stoi np. blisko jezior? Co gorsza, taką strategię kontynuowano także po awarii w Fukushimie. A wtedy trzeba było tłumaczyć, że taki wypadek jak w Japonii u nas jest niemożliwy.

Po Fukushimie Merkel zdecydowała się na polityczną woltę o 180 stopni. Bo też nastroje były mocno histeryczne. Spo-

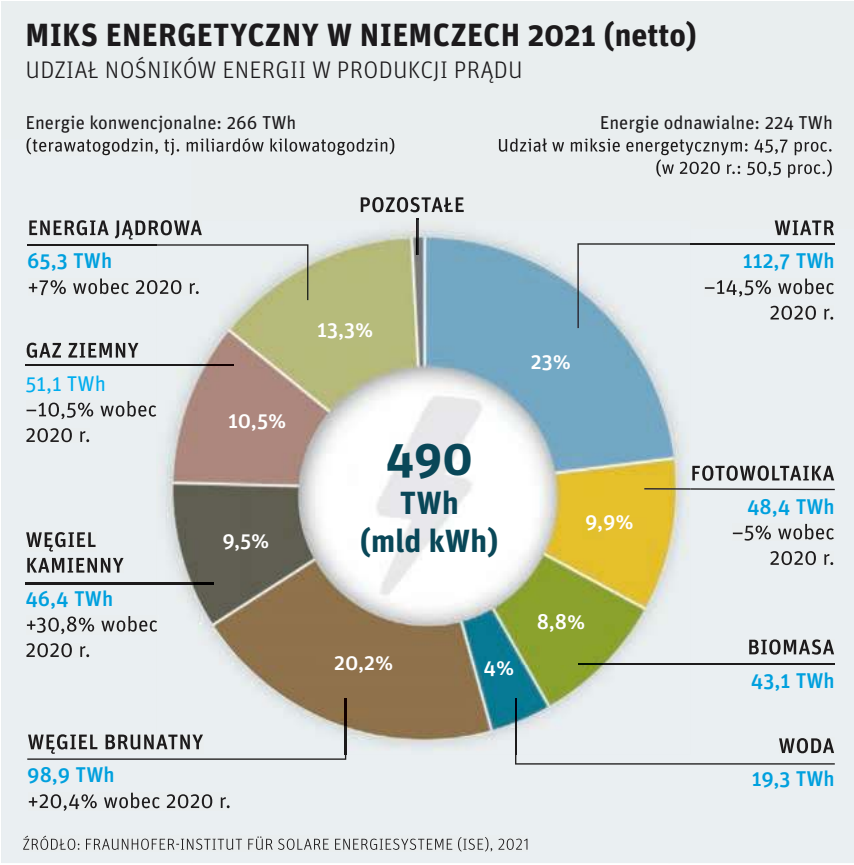


STROM-REPORT / TP-ONLINE

łeczność antyatomowa sprawnie się zmobilizowała. Na ulice wychodziło nawet sto tysięcy ludzi. Ich argumenty były cały czas obecne w mediach. Merkel miała na głowie również wybory landowe w Badenii-Wirtembergii, bała się je przegrać. Podpisała więc decyzję o odejściu od atomu, a wybory i tak przegrała. Patrząc strategicznie, pewnie chciała też raz na zawsze zakończyć ten wielki zachodnioniemiecki spór na temat atomu i dodatkowo otworzyć sobie drzwi do utworzenia koalicji z Zielonymi, zdeklarowanymi przeciwnikami atomu.

**Dziś Zieloni współtworzą rząd w Berlinie. Jego przekaz jest jasny: energetyczny miks ma opierać się na odnawialnych źródłach, fotowoltaice i farmach wiatrowych. To się uda?**

Budując tylko więcej wiatraków i paneli słonecznych, nie osiągniemy naszych celów klimatycznych. Musielibyśmy wybudować olbrzymią infrastrukturę, a w jej budowę zainwestować mnóstwo energii, z węgla i gazu. I wyznaczyć dla tej infrastruktury wielkie obszary. Kraj zostanie pokryty parkami wiatrowymi, a żeby je połączyć, trzeba będzie zbudować ogromne ilości sieci przesyłowych. Dzisiaj, w chwili gdy atom mógłby działać jako *back-up* dla transformacji energetycznej, politycy stawiają na rozwiązania przypominające sowieckie plany zawracania rzek. Zanegowano funkcjonalny system i buduje się zupełnie nową infrastrukturę, która wymaga wielkich nakładów.

Atom zniknie w Niemczech do końca 2022 r. Od węgla mamy odejść najwcześniej w 2030 r., a najpóźniej do 2038 r. Tylko że nikt nie może mi wytłumaczyć, jak od technicznej strony ma to wyglądać. W dni, gdy nie świeci słońce albo nie wieje, trzeba przecież czymś zastąpić tych kilkadziesiąt gigawatów energii, które przy sprzyjającej pogodzie pozyskujemy z odnawialnych źródeł.

**Czy kraj, który lubuje się w długoterminowym planowaniu i ma rozbudowany przemysł, może pozwolić sobie na takie ryzyko w sferze bezpieczeństwa energetycznego?**

Jeśli w ogóle słychać krytykę *Energiewende* [transformacji energetycznej – red.], są to tylko głosy, że idzie ona za wolno, że buduje się za mało wiatraków. I że trzeba jeszcze szybciej zrezygnować z węgla. Większość ludzi ma naiwne wyobrażenie, jak funkcjonuje infrastruktura energetyczna. Wierzą, że jak będziemy mieć więcej turbin wiatrowych, to będziemy mieć więcej prądu. Gdyby jednak z farm wiatrowych można było uzyskiwać stały poziom energii, to już obecna infrastruktura by wystarczyła. Problem polega na tym, że raz wieje, a raz nie. Tylko ludzie o tym nie myślą. Wychodzą z założenia, że prąd zawsze był w gniazdku i to się nigdy nie zmieni. Gdy widzą, że wiatraki się kręcą, sądzą, że wszystko działa jak należy. Nie rozumieją, że to konwencjonalne stałe źródła energii – węgiel, atom, gaz, ale też elektrownie wodne i biomasa – wciąż utrzymują cały system. Że pozyskiwanie energii z tych źródeł da się zaplanować, a pozostałe źródła odnawialne wciąż są dla nich tylko uzupełnieniem.

**W Niemczech może za parę lat zabraknąć energii?**

Rządzący zakładają, że jeśli zabraknie krajowych źródeł, będziemy kupować energię od sąsiadów.

**Czyli np. z Francji, gdzie będzie to energia atomowa, bo tam atom odgrywa kluczową rolę.**

To jest pierwsza możliwość. Druga to postawienie na ogromne dostawy rosyjskiego gazu. Jestem członkiem forum Dialogu Petersburskiego, to coroczne spotkania przedstawicieli Niemiec i Rosji. W 2019 r. Armin Laschet [w ostatnich wyborach kandydat chadecji na kanclerza – red.] zachwalał Nord Stream 2, twierdząc, że ten gazociąg jest Niemcom niezbędny do transformacji energetycznej. Bo Niemcy *de facto* nie mają innej możliwości. Jeśli wyrzuca się z miksu energetycznego atom i równocześnie decyduje się zamknąć elektrownie węglowe, to nie pozostaje wiele innych możliwości. Rosyjski gaz okazuje się niezbędny.

**Mówi się coraz głośniej, że Niemcy będą musiały budować nowe elektrownie gazowe.**

Można budować dodatkowe elektrownie na rosyjski gaz i mówić: tak, to jest nasza transformacja energetyczna. Ale będziemy wtedy zależni od obcego mocarstwa, a sam gaz oczywiście nie jest czystym źródłem energii. Wystarczy spojrzeć na łańcuch produkcji, by ujrzeć duży ↦

↦ bilans wytwarzania gazów cieplarnianych. Stawianie na gaz to okłamywanie samego siebie. W ten sposób nie walczy się z problemem trujących emisji, tylko przerzuca się problem gdzie indziej. Nasze koncerny energetyczne zdążyły zamknąć część infrastruktury gazowej, bo uznały ją za nieopłacalną. Jeśli ruszy Nord Stream 2, potrzebne będą państwowe subwencje na jej odbudowę.

**Gaz jawi się w Niemczech jako bezalternatywny także z powodu protestów obywateli, którzy coraz częściej nie chcą, by w ich sąsiedztwie budowano farmy wiatrowe i tzw. korytarze energetyczne.**

Wcześniej, w początkowej fazie, turbiny wiatrowe budowano względnie daleko od miejsc zamieszkania. Obecnie z braku miejsca trzeba je budować coraz bliżej. Np. w Saksonii-Anhalt zbudowano wielkie farmy wiatrowe, które już nie wyglądają tak przyjaźnie. Przeciwnie, budzą strach. Ludzie protestują, nie chcą koło siebie takich wielkich farm. Jeśli *Energiewende* oznacza tworzenie parków przemysłowych blisko ich domów, to już nie jest dla nich tak świetnym pomysłem, jak w teorii. Zaczyna się czysto ludzkie myślenie: „Nie mam nic przeciw odnawialnej energii, ale proszę tego nie budować u mnie za podwórkiem".

Partia Zielonych nie była na to przygotowana. Usiłuje zniesławiać te protesty, przykleić im łatkę skrajnej prawicy. Jest oczywiście problemem, że Alternatywa dla Niemiec (AfD) faktycznie bierze udział w tych protestach, licząc na pozyskanie wyborców. AfD opowiada się też za dalszym pozyskiwaniem energii z atomu i ma w tym punkcie rację. Jednocześnie w innych obszarach opowiada się za polityką, na którą nie ma mojej zgody.

Poparcie AfD dla atomu jeszcze bardziej utrudnia debatę, bo w społeczeństwie istnieje mechanizm, że jak AfD coś powie, od razu staje się to tabu i należy to potępić. Tak jest też z energią jądrową. Jeśli ktoś w Niemczech przekonuje dziś do elektrowni atomowych w celu zastąpienia węgla, może się spodziewać takich spojrzeń, jakby chciał wprowadzić prawo szariatu.

**Żadna inna siła polityczna nie zdecydowała się na bardziej merytoryczne podejście do tematu atomu?**

STEPHAN ROEHL / WIKIPEDIA

**DR HAB. ANNA VERONIKA WENDLAND** (ur. 1966) jest niemiecką historyczką techniki i środowiska; zajmowała się też dziejami Europy Wschodniej. Prowadziła badania naukowe w elektrowniach jądrowych w Niemczech i Europie Wschodniej. Razem z historykiem Eckartem Conzem kieruje projektem Niemieckiego Towarzystwa Badawczego na temat tzw. rozszerzonego bezpieczeństwa.

Istnieje mała partyjka Humaniści, która opowiada się za polityką opartą na nauce i rozwiązaniach tworzonych na bazie rzeczowych i mierzalnych dowodów. To na wskroś pragmatyczna partia i jako ekomodernistka pewnie bym na nich głosowała, gdyby nie pewność, że to głos stracony. Ja krytykuję *Energiewende* z pozycji lewicowych, a nie prawicowych, bo – powtórzę – obecna polityka energetyczna rządu uniemożliwi nam osiągnięcie celów klimatycznych. Mimo to z powodu mojego zaangażowania na rzecz energii atomowej dostaję regularnie listy, w których przedstawia się mnie jako prawicowego oszołoma i faszystę. Pytam się wtedy, czy Willy Brandt i Helmut Schmidt [kanclerze z SPD – red.] też byli faszystami, bo za ich czasów budowano elektrownie atomowe?

**Skąd Pani decyzja, by pełnić niewygodną funkcję Kasandry w kwestii skutków odejścia od atomu?**

Przez długi czas byłam aktywna w ruchu antynuklearnym. Z perspektywy czasu widzę, że dominowały tam podobne narracje do tych, którymi dziś w innych dyskusjach posługuje się populistyczna AfD. Powtarzano, że jesteśmy okłamywani przez tych na górze, że polityka nami manipuluje, że jesteśmy po cichu truci. Regularnie brałam udział w niedzielnych protestach antyatomowych. Byłam młoda i lewicowa, a lewicowa młodzież jest w Niemczech z definicji przeciw atomowi. O tym się nie myśli krytycznie, tak po prostu jest.

W pewnym momencie te dogmaty zrobiły się dla mnie zbyt toporne. Skupiłam się na nauce. Zaczęłam dużo czytać na temat energii atomowej. W czasie studiów na Ukrainie pojechałam zobaczyć Czarnobyl. Rozmawiałam z ludźmi, którzy tam pracowali. Moja antyatomowa retoryka zaczęła się walić, gdy wielu rozmówców z dużym ciepłem opowiadało o pracy w elektrowni. Dla nich to nie była zła technologia, tylko sposób, w jaki się z nią w Związku Sowieckim obchodzono, był niewłaściwy. Wtedy zdecydowałam, że w podejściu do atomu odrzucę strach, który jest narzucany w dyskusji w Niemczech.

**Jeśli energetyczna przyszłość Niemiec jest tak napięta, dlaczego brakuje poważnej dyskusji na temat wszystkich możliwych rozwiązań?**

W tej sprawie brakuje umiejętności krytycznego myślenia. A płyniemy w kierunku góry lodowej.

**Co mówią inni eksperci?**

Sprawa często zahacza o prestiż i lukratywne stanowiska doradców. Warto pokazać, jak działa system gratyfikacji w niemieckiej nauce. Instytuty badawcze należą do różnych stowarzyszeń, które ewaluują ich pracę. Podczas oceny liczy się, ile ekspertyz dla rządu się napisało, jak często gościło się w mediach i jak często opublikowany raport był cytowany. Za to wszystko można otrzymać dodatkowe punkty. Dobrą ocenę można uzyskać przez afirmację *Energiewende*. To otwiera także drzwi do funkcji doradców. Politycy nie chcą ekspertów, którzy krytycznie analizują decyzje rządu i mówią: „Ludzie, to tak nie zadziała". Politycy wolą upewniać się we własnym przekonaniu.

**Pod koniec 2021 r. zamknięto trzy reaktory. Ostatnie trzy czeka ten sam los z końcem tego roku. To definitywny koniec niemieckiego atomu?**

Na pewno będzie to moment, w którym zobaczymy, że nasze cele klimatyczne są nie do osiągnięcia. Im mniej będzie energii z atomu, tym więcej $CO_2$ będziemy produkować. Rozmawiam z wieloma profesorami. Za kulisami przyznają mi rację, ale równocześnie dodają, że system dotacji jest skonstruowany pod odpowiednią liczbę doktorantów zajmujących się odnawialnymi źródłami energii, i że ze względu na opłacalność na tym trzeba się skupić. Jeśli nikt z kompetentnych rozmówców nie jest w stanie otwarcie zgłaszać wątpliwości, nic się nie zmieni.

**W Niemczech coraz częściej pojawia się temat możliwych blackoutów.**

Problem polega na tym, że rząd postawił się teraz przed dylematem. Musi wybierać między bezpieczeństwem dostaw a celami klimatycznymi. Ponieważ nie chce ryzykować blackoutów, zamierza teraz budować elektrownie na gaz ziemny i prawdopodobnie dłużej pozostanie przy węglu. Jeśli jednak w 2030 r. dojdzie do odejścia od węgla, to widzę zagrożenie dla bezpieczeństwa dostaw. Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że w obawie przed blackoutem rządzący będą po prostu utrzymywać stare elektrownie węglowe w ruchu.

**W Polsce toczy się dyskusja na temat budowy elektrowni atomowej. Czy to się nam wciąż może opłacać?**

Ja bym bardzo to polecała. Jeżeli energii wystarczy, będzie można eksportować ją do Niemiec jako prąd z czystego źródła i zarobić. Niemcy stale importują prąd z francuskich elektrowni atomowych. Powtarzam polskim znajomym, że jak w końcu tę elektrownię zbudujecie, to przyjadę na otwarcie z bukietem kwiatów z szarfą w niemieckich barwach. Budujcie, bez pośpiechu i wybierając właściwe technologie. Poza tym potrzebujecie atomu, żeby odejść od węgla i zmniejszyć emisję.

© Rozmawiał ŁUKASZ GRAJEWSKI

*Kościół pw. Matki Bożej Miłosierdzia przy Plaza Mayor w Benitagli, 20 stycznia 2022 r.*

# Znikające gminy

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI (HISZPANIA)

**Choć hiszpańskie społeczeństwo jest coraz liczniejsze, wsie i miasteczka pustoszeją. Hiszpania jest dziś czwartym krajem w Europie – po Estonii, Finlandii i Łotwie – z największą liczbą gmin zagrożonych wyludnieniem.**

Benitagla, Miasteczko Czterech Kotów, tak się przyjęło. Andaluzyjska telewizja zrobiła nawet o nas materiał i właśnie tak nazwała naszą miejscowość. Kiedy ktoś nas pyta, ilu was tutaj jest, to odpowiadamy krótko: cztery koty i nikt więcej – śmieje się 61-letni Manuel Padilla Sánchez. Mężczyzna ma na sobie koszulę w kratę i maseczkę z napisem „Benitagla".

Manuel siedzi na niskim murze, który ogradza trawnik naprzeciwko Urzędu Miasta. Tuż obok jest dom jego sąsiadki Isabel i jej męża. Manuel wypatruje ich samochodu, bo pojechali po zakupy. Umówili się, że jak wrócą, to rozpalą ogień u nich w kominku, bo wieczorami robi się zimno, i wspólnie pograją w karty.

Imiona wszystkich swoich sąsiadów Manuel potrafi wymienić niemalże na jednym oddechu: – Gabriel, małżeństwo Mercedes i Julio, kolejny Manuel, Francisco, Antoni... – zaczyna wyliczać. Twierdzi, że w całej Benitagli pozostało już tylko 14 mieszkańców, choć oficjalny spis ludności mówił jeszcze o 59 osobach. Sto lat temu w gminie żyło 400 osób – w tym czasie populacja spadła do obecnego poziomu. Tym samym ich miejscowość jest drugą najmniejszą pod względem liczby ludności w regionie Andaluzja – i jedną z najmniejszych w całej Hiszpanii. ↦

### Pozostał tylko kościół

Rodzina Manuela pochodzi z Benitagli, on sam tu się urodził i chodził do szkoły. Wspomina czasy, w których w miejscowej szkole – jeszcze istniała – był jeden nauczyciel dla chłopców i jedna nauczycielka dla dziewczyn. Po kilku latach to się skończyło, a Manuela i jego rówieśników przeniesiono do większych szkół w regionie. On sam trafił do szkoły z internatem w oddalonej o blisko 70 kilometrów Almerii, stolicy prowincji.

Po szkole wyjechał do Francji, gdzie pracował jako elektryk i stolarz, a w sezonie zbierał owoce. – Tęskniłem wtedy bardzo za Hiszpanią – wspomina. – Kiedy widziałem samochód na hiszpańskich rejestracjach, chciałem rzucić wszystko i wrócić z moimi rodakami do kraju.

Wrócił dopiero po 11 latach, kiedy u kuzyna z Walencji pojawiło się miejsce pracy. Tam poznał przyszłą żonę i założył rodzinę. Ich dzieci dorastały w Almerii, gdzie do teraz stoi ich dom, dziś już pusty. Po rozwodzie i przejściu na emeryturę Manuel spakował swoje rzeczy i wrócił do Benitagli.

– Nie ma tu niczego. Dosłownie niczego. Ale tęskniłem za miejscem mojego dzieciństwa – wyjaśnia powód swojego powrotu.

Manuel nie przesadza. W gminie jest wprawdzie kościół, ale msze odbywają się tylko raz w miesiącu. Brakuje apteki, lekarza, sklepu, banku czy kawiarni.

– Po najbliższe zakupy trzeba jechać kilkanaście minut samochodem, a ja swój oddałem synowi, bo on ma czwórkę dzieci i na pewno bardziej go potrzebuje. Kiedy chcę coś kupić, proszę sąsiadów o pomoc – mówi Manuel.

### Migracja do miasta

Manuel Padilla Sánchez ma 32-letniego syna i 29-letnią córkę, którzy za pracą wyjechali do sąsiedniego miasta i odwiedzają ojca tylko w weekendy. – W Benitagli mam dom po rodzicach i spory kawałek ziemi. Powiedziałem synowi, żeby go przejął. Ale on, żeby utrzymać żonę i czwórkę dzieci, pracuje w fabryce i jest za bardzo zmęczony – opowiada.

Kiedyś Benitagla znana była z przemysłu jedwabniczego, z wina domowej roboty, młynów, drzew oliwnych i migdałowych oraz z uprawy pszenicy. Dziś coraz rzadziej pada tu deszcz, a dotkliwa susza powoduje, że praca w rolnictwie nie jest już opłacalna. Stąd próżno szukać młodych ludzi. Według oficjalnych statystyk średnia wieku w gminie to 62 lata.

W całej Hiszpanii takich miejscowości jak Benitagla jest znacznie więcej. Z danych Narodowego Instytutu Statystycznego wynika, że wprawdzie od lat 80. XX stulecia populacja kraju wzrosła o 38 proc. (obecnie Hiszpania ma ponad 47 mln mieszkańców), ale ludność skupia się w dużych miastach.

W efekcie Hiszpania jest dziś czwartym krajem w Europie – po Estonii, Finlandii i Łotwie – z największą liczbą gmin zagrożonych wyludnieniem. Stanowią one ponad 42 proc. wszystkich gmin. Najtrudniejsza sytuacja jest zwłaszcza we wspólnotach autonomicznych: Kastylia-León, Extremadura, Asturia i Aragonia. W gminach gwałtownie spada zwłaszcza liczba kobiet, bo te chętnie szukają pracy w usługach, a jeśli w małych miasteczkach nie ma np. sklepu czy fryzjera, to jedyną drogą do znalezienia zajęcia pozostaje migracja do miasta.

– Kiedyś nawet małe gminy były pełne ludzi, ale wtedy nie było obowiązku edukacji ani takiego jak dziś dostępu do lekarza czy do różnych usług. Na wsi żyło się z rolnictwa, wiodło się spokojne życie na łonie natury, ludzie byli samowystarczalni. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby chcieli tam mieszkać młodzi. Doszło do zmian społecznych, kulturowych i technologicznych – mówi mi prof. José Luis Rojo García z Katedry Ekonomii Stosowanej Uniwersytetu w Valladolid.

### Przeprawa do supermarketu

Do Benitagli niełatwo dostać się nawet z Almerii, stolicy prowincji. Nie ma pociągów, a autobus kursuje na tej trasie jeden, i to tylko trzy razy w tygodniu.

Nie wszyscy mają samochody, a wycieczka pieszo do najbliższego miasteczka, gdzie jest większy supermarket, zajmuje ponad trzy godziny. Trasa jest piękna, malownicza, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy kwitną drzewa migdałowe, ale też trudna, bo prowadzi przez góry.

Co uderza w Benitagli, to cisza – wszechobecna wśród licznych budynków i wąskich, ciasnych uliczek. Gdzieniegdzie przechadzają się koty, słychać wydobywające się z domów odgłosy telewizora. I kościelny zegar, który co pół godziny przypomina o mijającym czasie.

Przy takiej ciszy każdy odgłos przykuwa uwagę. Kiedy spoglądam na nowo wybudowany plac zabaw dla dzieci (po-

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" DODATEK SPECJALNY

100. rocznica urodzin prof. Władysława Bartoszewskiego

W dodatku m.in.
- MICHAŁ KOMAR przedstawia poczet przyjaciół Władysława Bartoszewskiego
- MAREK ZAJĄC opowiada o dziesięciu punktach zwrotnych w jego życiu
- TOMASZ FIAŁKOWSKI wspomina długoletnią współpracę profesora z „Tygodnikiem Powszechnym"
- Przypominamy również nagrany w 2007 r. wywiad ks. Adama Bonieckiego, w którym prof. Bartoszewski m.in. wyjaśnia, czy wybiera się na emeryturę

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY
Ambasada Republiki Federalnej Niemiec Warszawa
Kraków
Wrocław miasto spotkań
GDAŃSK
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

WSPÓŁWYDAWCA
Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNER DODATKU
KONRAD ADENAUER STIFTUNG

DOFINANSOWANO Z FUNDUSZU POPIERANIA TWÓRCZOŚCI
zaiks sprzyjamy wyobraźni

„Tygodnik" z dodatkiem w sprzedaży od środy 16 lutego

*61-letni Manuel Padilla Sánchez. Benitagla, 20 stycznia 2022 r.*

*82-letni Francisco Pérez Prior przed swoim domem w Benitagli. 20 stycznia 2022 r.*

wstał, choć prawdopodobnie nie mieszka tu dziś na stałe żadna rodzina z dzieckiem), moją uwagę zwraca dyskusja dwóch starszych mężczyzn tuż przy przystanku autobusowym.

– Tam ją widziałem ostatnio! Nie, mnie się wydaje, że poszła tamtędy! – przerzucają się uwagami. Jak się okazuje, to rozmowa o kozie, która uciekła sąsiadowi. Korzystając z okazji, pytam ich, jak im się żyje w miasteczku.

Mówią o ciszy, o spokoju, o pięknych widokach i braku zanieczyszczeń. Chwalą się, że do tej pory do ich gminy nie dotarł w ogóle koronawirus. 82-letni Francisco i 72-letni Manuel – tak się przedstawiają – mówią, że urodzili się w Benitagli, i że po latach życia w dużych miastach wrócili na stałe w rodzinne strony.

### Walka o przetrwanie

– Kiedyś było tu sto domów, a w prawie każdym mieszkała wielodzietna rodzina. Nie było dróg ani prądu. Po wodę chodziliśmy do studni, a żeby ugotować obiad, trzeba było zebrać drewno. Mimo że w znacznie gorszych warunkach, to mieszkało dużo ludzi – Manuel wspomina dawne czasy. Francisco ubolewa, że brakuje mu teraz klubu seniora. Liczy, że został zamknięty tylko tymczasowo, profilaktycznie, ze względu na pandemię.

Kluby seniora to nie tylko okazja do spotkań, gry w karty czy obejrzenia meczu, jak wyjaśnia mi Lidia Díaz ze stowarzyszenia Hiszpania Przeciw Wyludnianiu. – Odgrywają one ważną rolę w małych społecznościach. W niektórych miejscach organizowane są tam raz na miesiąc wizyty fryzjera z regionu czy podologa. W ten sposób generuje się miejsca pracy, a mieszkańcom zapewnia dostęp do usług – mówi Lidia.

Jej stowarzyszenie walczy o to, aby wsie i małe miasteczka przetrwały i się rozwijały. Ogromnym problemem jest to, że pomimo dofinansowań z Unii Europejskiej czy z budżetu państwa, w małych gminach nie ma kto wprowadzać i nadzorować projektów. Pieniądze albo w ogóle tam nie trafiają, albo trafiają, lecz później trzeba je oddać, gdy nie uda się ich wykorzystać.

Stowarzyszenie stara się więc pośredniczyć przy tych projektach, uruchomiło także formularze na swojej stronie internetowej, dzięki którym pomaga ludziom z miast przeprowadzić się do małych gmin odpowiadających ich potrzebom. W ciągu trzech lat z pomocy skorzystało 26 tys. osób.

### Pusta Hiszpania

Problem ten, nazwany już oficjalnie *España vacía* (pusta Hiszpania), coraz częściej dostrzegają także politycy. Ministerstwo Finansów i Administracji Publicznej w odpowiedzi na spadającą liczbę mieszkańców wsi i miasteczek przygotowało projekt pracy zdalnej dla pracowników administracji. Urzędnicy, którzy uzyskają zgodę swoich przełożonych, będą mogli przez dwa dni w tygodniu pracować tradycyjnie, a w pozostałe zdalnie. Projekt jest dobrowolny i, jak szacuje ministerstwo, może objąć nawet 340 tys. pracowników. Miał obowiązywać od 1 stycznia, ale ciągle nie udało się go wprowadzić w życie. Rzeczniczka ministerstwa twierdzi, że stanie się to w pierwszych miesiącach tego roku.

Aby zachęcić Hiszpanów do przeprowadzki na prowincję, rząd planuje też stworzyć nowe budynki administracji w mniejszych miastach. Jest m.in. pomysł na centrum do przetwarzania danych w Sorii oraz centrów kompetencji cyfrowych w Miranda de Ebro, Alcázar de San Juan, Linares, Mérida czy Teruel.

– Czy ktoś naprawdę myśli, że centrum kompetencji cyfrowych powstanie w okolicach Teruel? Tam, gdzie nie ma internetu i prawie niczego? Kto pójdzie tam pracować? Młoda osoba, która chce się rozwijać i mieć dzieci? Będzie przecież potrzebować szkoły i lekarza dla nich – mówi prof. José Luis Rojo García.

Rojo García uważa, że wielu małych gmin nie da się już uratować. – Nie ma żadnego rozwiązania, aby miejscowość, która ma teraz 50 czy 70 mieszkańców, jeszcze przetrwała – przekonuje. – Wyjątkiem są miejsca o jakimś szczególnym znaczeniu turystycznym, np. z prehistorycznymi jaskiniami. Innym wyjątkiem są małe miejscowości położone na obrzeżach dużych miast, bo zapewniony jest tam dostęp do szkół, opieki zdrowotnej, sklepów czy rozrywki.

■■■

Mieszkańcy Benitagli, z którymi rozmawiam, mówią zgodnie, że ludzi młodych do ich gminy mogłaby przyciągnąć farma ze zwierzętami. – W okolicy jest jedna ze świniami, która zapewnia pracę dwustu osobom. Każdy pracownik ma rodzinę, dzieci, i tak rozrasta się miejscowość, jest gwarancja pracy – przekonuje Manuel Padilla Sánchez.

I dodaje ze smutkiem: – My nie możemy nic zrobić. Ale jeśli rząd nic nie zrobi, to za 10 lat nikogo już tutaj nie będzie.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

## „Ludzkie zoo"

**WYSTAWIANI NA POKAZ,** oglądani jak egzotyczne ciekawostki, a nie ludzie: tak w powszechnej pamięci zapisali się Syngalezi, Zulusi czy Pigmeje zwożeni do Europy w ramach „pokazów etnograficznych", mających zaprezentować Europejczykom życie na rubieżach kolonialnych imperiów. Wystawy, do których przylgnęła nazwa „ludzkich zoo", uchodzą za jedną ze wstydliwych kart kolonialnej Europy, która z wyzysku nie-Europejczyków uczyniła źródło nie tylko bogactwa, ale też rozrywki dla mas.

Ale rzeczywistość nie jest tak prosta. Faktycznie, poczynając od połowy XIX w. dziesiątki „egzotycznych" zespołów przemierzały przez kilkadziesiąt lat Europę, przyciągając widzów spragnionych wrażeń. Początkowo ich przedstawienia prezentowano w kolonialnych metropoliach, ale potem pokazy odbywały się także w naszej części kontynentu. Można tu wspomnieć grupę legendarnego Buffalo Billa, który w 1906 r. zawitał do Lwowa, Stanisławowa i Krakowa [patrz „TP" nr 25/2019 – red.]. Na krakowskich Błoniach reprezentacja Buffalo Billa rozegrała mecz piłkarski z krakowskimi studentami, uchodzący za jeden z pierwszych w historii międzynarodowych meczów na polskich ziemiach.

Dzieje podobnych pokazów w Europie Środkowo-Wschodniej, w tym na ziemiach polskich, pozostawały w ogromnym stopniu niezbadane. Aż do teraz: Dagnosław Demski i Dominika Czarnecka, badacze z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, wraz z międzynarodowym zespołem przez ostatnie pięć lat gromadzili dane na temat pokazów etnograficznych w naszej części kontynentu. Rezultatem są: wydana w 2021 r. książka „Staged Otherness. Ethnic Shows in Central and Eastern Europe, 1850-1939" („Inność inscenizowana. Etnograficzne pokazy w Europie Środkowo-Wschodniej, 1850-1939") i wystawa wirtualna Staged Otherness – w sieci: stagedotherness.eu – pokazujące złożoność procesów, które doprowadziły do rozwoju tego zjawiska. © WB

# POKAZ Z CZŁOWIEKIEM

DOMINIKA CZARNECKA, DAGNOSŁAW DEMSKI:

Pod koniec wieku XIX i na początku XX we Wrocławiu, Pradze czy Budapeszcie na takie spektakle przychodziły tłumy, przyciągane egzotyką i rozrywką.

**WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Gdy mówi się o takich pokazach, zwykle używa się nazwy „ludzkie zoo". Wy się od tego odżegnujecie. Dlaczego?**

**DOMINIKA CZARNECKA:** Staraliśmy się nie używać tego terminu. Stosowaliśmy inne, jak „pokazy etnograficzne" czy „żywe wystawy". Wprawdzie termin „ludzkie zoo" funkcjonuje w kulturze popularnej i środowisku akademickim, ale nie jest adekwatny do opisu tego zjawiska. Użycie go to ponowne wejście w kolonialne wyobrażenia, bo sugeruje on, że Europejczycy organizujący te pokazy mieli całkowitą władzę nad występującymi w nich ludźmi, którzy nie mieli nic do powiedzenia i byli bezwolnymi ofiarami. A to, jeśli spojrzymy na cały tzw. przemysł etnograficzny, nie zawsze było prawdą.

**Jak ci ludzie trafiali do Europy?**

**DAGNOSŁAW DEMSKI:** Są tu różne historie. Antropolog Jan Czekanowski wspomina w swoich dziennikach, opublikowanych w latach 50. XX w., angielskiego badacza Harrisona, który prowadził w Londynie wystawy z Pigmejami. Czekanowski pisze, że spotkał w Kongo jedną z jego grup. Gdy jej członkowie zorientowali się, że nie są pilnowani, zrzucili ubrania i uciekli. To przykład wykorzystywania tych ludzi. Ale mamy też inne.

**DC:** Jednym z najsłynniejszych organizatorów tego przemysłu był Carl Hagenbeck, a wraz z nim cała rodzina Hagenbecków, która stworzyła etnograficzno-zoologiczne imperium. Oni zorganizowali najwięcej pokazów w Europie Środkowo-Wschodniej i po nich pozostało najwięcej źródeł. Wynika z nich, że rekrutacja była bardzo sformalizowana. Z wszystkimi, którzy mieli brać udział w pokazach, podpisywano kontrakty, z czasem coraz bardziej szczegółowe. Bywało, że nawet władze kolonialne w Afryce wymagały podpisywania takich umów, a także by organizatorzy zostawiali depozyt na podróż powrotną i pokrycie zakontraktowanych zarobków. Dzięki temu uczestnicy byli w pewien sposób zabezpieczeni.

Trzeba tu zastrzec, że konkretne sytuacje były zróżnicowane i nie wszystkie osoby podpisujące takie kontrakty wiedziały, o co chodzi. Mogły nie zdawać sobie sprawy, jak będą się czuć w Europie. Mamy historie osób, które popadały w depresję i chciały wrócić. Z kolei z badań Bodhariego Warsame'a, który zajmuje się pokazami z udziałem mieszkańców dzisiejszej Somalii i opiera

*Aszantowie w cyrku warszawskim. Rysunek Stefana Mucharskiego w piśmie „Wędrowiec", nr 4, 26 stycznia 1888 r.*

się także na wywiadach z potomkami uczestników takich spektakli, wynika, że Somalijczycy chętnie w nich uczestniczyli i traktowali to jako znakomite źródło zarobku. W pewnym momencie zmonopolizowali ten przemysł w tej części Afryki i występowali również jako mieszkańcy Etiopii czy Abisynii, w zależności od tego, co mogło przyciągnąć widzów. Somalijczyk Hersi Egeh, który brał udział w pokazach przez kilkadziesiąt lat i zaangażował w nie wielu członków własnej rodziny, wrócił do swego kraju i zaczął rozwijać własny biznes. Stał się jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w kraju. To jeden z przykładów ich sprawczości, tego, że nie zawsze byli bezwolnymi ofiarami, lecz potrafili wykorzystać ówczesne warunki na swoją korzyść.

**DD:** Hagenbeck początkowo zajmował się dostarczaniem zwierząt do ogrodów zoologicznych i część tych grup zarabiała także na tym. To był duży interes. Z czasem Hagenbeck rozwinął go o sprowadzanie do Europy ludzi na pokazy.

**DC:** Handlując zwierzętami, Hagenbeck rozwinął sieć współpracowników na całym świecie. Ci ludzie opierali się na lokalnej sieci powiązań, korzystali z pomocy przedstawicieli poszczególnych grup etnicznych. Istniały więc lokalne sieci, które odgrywały istotną rolę w rozwoju tego przemysłu.

**Gdybyśmy mieli opisać to, co działo się na pokazach, byłoby to bliższe National Geographic czy Disney Channel? Na ile była to próba pokazania rzeczywistości na innych** ↦

**kontynentach, a na ile czysta rozrywka?**

**DD:** To zmieniało się w czasie. Pierwszą sprowadzoną przez Hagenbecka do Europy grupą była rodzina Saamów z Laponii. Oni po prostu siedzieli i byli oglądani. To był początek. Potem zaczęły się pojawiać grupy, które coś przedstawiały. Sprowadzano np. Zulusów, w kilka lat po wojnie, którą prowadzili z Anglikami. Przedstawiano ich jako dzielnych wojowników, potomków wielkiego wodza, którzy przyjeżdżają odwiedzić Europę. Pokazy zaczęły nabierać charakteru wędrownych trup teatralnych, które miały łączyć wiedzę etnograficzną z coraz większą dawką rozrywki. Taka mieszanka okazała się popularna, tysiące ludzi przychodziły na spektakle we Wrocławiu, Poznaniu, Warszawie, Petersburgu, Pradze czy Budapeszcie.

**DC:** To były przede wszystkim imprezy komercyjne. Miały przynosić zysk. Często były rozbudowane: pokazywano nie tylko ludzi, ale starano się odtwarzać całe światy pozaeuropejskie. Sprowadzano więc lokalne zwierzęta i artefakty, starano się budować tradycyjne domostwa z materiałów sprowadzonych z Afryki i innych części świata.

Hagenbeckowie nazywali swoje pokazy „wystawami antropologiczno-zoologicznymi" i starali się legitymizować je przez kojarzenie ich z wartością edukacyjną. Carl Hagenbeck od początku współpracował z naukowcami i po jakimś czasie został członkiem Berlińskiego Towarzystwa Antropologii, Etnologii i Prehistorii. Hagenbeckowie pilnowali, przynajmniej do końca XIX w., aby ich pokazów nie łączono z *freak shows*, czyli „pokazami odmieńców".

Było jednak wielu innych impresariów, którzy kierowali się własnymi pomysłami w organizacji pokazów i łączyli je z różnymi innymi imprezami pobocznymi. Tu przykładem jest Buffalo Bill, który w 1906 r. odbywał swoją drugą europejską trasę, mającą bardzo teatralizowaną oprawę. O ile więc w latach 70. XIX w. próbowano odwzorowywać pozaeuropejską rzeczywistość, utrzymywano iluzję, że ci ludzie przeniesieni z innego kontekstu „normalnie" żyją, jak gdyby nic się nie zmieniło, o tyle później doszło do ewolucji w bardziej złożone scenariusze i teatralizowane formy.

**DD:** Dodałbym jeszcze jeden typ pokazów: w 1914 r. w Poznaniu i Wrocławiu zebrano sześć różnych grup etnicznych z doliny Nilu. Od fellachów, rolniczego ludu z pogranicza Egiptu, aż po Dinka z Południowego Sudanu. Celem wystawy było zaprezentowanie różnic rasowych związanych z kolorem skóry.

**Jak duży to był biznes?**

**DC:** Szczytowa epoka rozwoju takich pokazów to okres od lat 80. XIX w. do wybuchu I wojny światowej, ale rozwijały się one mniej więcej od połowy XIX stulecia. Tu, w Europie Środkowej, ostatnie pokazy, na ślady których trafiliśmy w naszych badaniach, miały miejsce w 1930 r. w niemieckim Wrocławiu. W Polsce ostatni pokaz odbył się w 1928 r. w Poznaniu. Na Zachodzie zdarzały się jeszcze w latach 50. Musimy jednak pamiętać, że pokazy z połowy XIX w. i te z wieku XX to nieco inne zjawiska. Także pod względem sposobu ich organizacji.

Tylko w ramach działalności Hagenbecków w Europie w latach 1875-1932 zorganizowano ok. 70 pokazów etnograficznych. Operujemy jednak na fragmentarycznych źródłach. Np. nie wiemy, czy wszystkie pokazy odnotowano w ówczesnej prasie. Na pewno miały one miejsce w każdym z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, może z wyjątkiem Rumunii, bo tam dotarliśmy na razie tylko do wzmianek dotyczących pokazów Buffalo Billa i pewnych pokazów cyrkowych zawierających elementy etniczne.

Pokazy były zróżnicowane, gdy idzie o skalę i stopień nagłośnienia. Mamy tu wielkie trasy z rozbudowaną reklamą, ale też pokazy skromne, impresario z jednym czy dwojgiem ludzi. Mamy przykład Vojtěcha Friča, który sprowadził do Czech Cherwisha Mendozę z Ameryki Południowej i robił z nim takie dwuosobowe wystąpienia.

**DD:** W naszych badaniach skupialiśmy się na Europie Środkowej, więc mogę powiedzieć, że w całym badanym okresie we Wrocławiu było co najmniej 20 takich występów, w Gdańsku 4-5, a w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Petersburgu czy Rydze było ich od dziesięciu do kilkunastu.

**Jak takie pokazy były odbierane w naszej części Europy? Czy wyglądało to inaczej niż na Zachodzie, gdzie imperia prezentowały to, co się dzieje w ich koloniach?**

**DD:** W przypadku Wrocławia i Poznania, należących do imperium niemieckiego, trzeba pamiętać, że Niemcy pierwsze kolonie zdobyli dopiero w latach 80. XIX w. To był czas wielkiej modernizacji tego kraju i pokazy ludów nieeuropejskich miały m.in. przedstawiać wyższość „naszej" cywilizacji. Ale wiemy, że relacje z takich imprez nieco się różniły w wychodzącej w Poznaniu prasie niemieckiej i polskiej. Np. w relacji z wizyty Nubijczyków w prasie niemieckiej pojawia się informacja, że złożyli hołd pod pomnikiem cesarza. W polskiej tego nie było.

**DC:** Ludność polska bojkotowała w 1911 r. Wschodnioniemiecką Wystawę Przemysłu, Rzemiosła i Rolnictwa w Poznaniu, której częścią była afrykańska wioska, ale głównie z powodu trwającej silnej polityki germanizacyjnej. Na Łotwie, gdzie rdzenni Łotysze mieli pozycję zdecydowanie słabszą niż Rosjanie i Niemcy, wyraźniej widać było zróżnicowanie podejścia do podobnych wystaw. Z badań współpracującej z nami dr Ilze Boldāne-Zeļenkovej wynika, że Łotysze w pewnym stopniu odczuwali współczucie dla pokazywanych na wystawach ludzi, co nie zmienia faktu, że czuli się cywilizacyjnie bardziej rozwinięci.

**Jak duży był w tych pokazach element rasizmu? Utwierdzania się w przekonaniu, że my w Europie jesteśmy „cywilizowani", a „oni" biegają z włóczniami?**

**DC:** To, że dane państwo nie posiadało kolonii zamorskich, nie znaczy, że nie było w nim jakiejś wyobraźni kolonialnej – i tu pokazy były doskonałym instrumentem transmisji pewnych kolonialnych idei czy wyobrażeń dotyczących ludów pozaeuropejskich. Dla większości mieszkańców Europy były pierwszym kontaktem z mieszkańcami Afryki, Azji czy Ameryki, ale przychodząc na nie, mieli oni już pewne wyobrażenia, choćby płynące z popularnej literatury podróżniczej. Widzieli tych ludzi przez pewien filtr. Ta wyobraźnia kolonialna działała także w państwach, które nie miały kolonii.

ILUSTRACJE ZE ZBIORÓW DAGNOSŁAWA DEMSKIEGO I DOMINIKI CZARNECKIEJ

*Reklama występów Karawany Syngalezów i Tamilów we Lwowie. „Kurier Lwowski", nr 128, 9 maja 1891 r.*

Sam termin „rasa" nie był często używany, jednak opisy podkreślały wszelkie różnice rasowe. Ogromną uwagę poświęcano zróżnicowaniu odcieni skóry: nie tylko „biały" i „czarny", ale też „czekoladowy" czy „cynamonowy". To pokazuje, że kwestie rasowe w kontekście pokazów miały duże znaczenie. Ale musimy też sobie zdawać sprawę, że operujemy dziś w zupełnie innym kontekście. Ówczesna antropologia bardzo skupiała się na kwestiach ras i ich klasyfikacji, ta terminologia funkcjonowała więc też w mainstreamie i wpływała na to, jak mówiono o ludziach biorących udział w pokazach.

**Skoro przy nich jesteśmy, co wiemy o ich życiu tutaj?**

**DC:** Źródeł, które opowiadałyby historię pokazów z punktu widzenia ludzi spoza Europy, jest niewiele. Wiemy, w jakich warunkach mieszkali. Były bardzo zróżnicowane i zależały od organizatora i jego relacji z tymi ludźmi. Byli tacy, którzy traktowali swoje grupy brutalnie. Mamy materiał źródłowy z Rosji, gdzie impresario, bojąc się, że członkowie grupy uciekną, zamknął ich w stodole przy ujemnej temperaturze, nie zapewniając im ciepłej odzieży. Mimo ich krzyków pozostali zamknięci przez całą noc. Gdy nad ranem uwolniła ich policja, okazało się, że jedna osoba zmarła. Takie sytuacje się zdarzały, ale wiemy też z innych źródeł, że ci ludzie w zależności od warunków pogodowych mogli mieszkać albo w domostwach wykonanych przez siebie w obrębie wiosek etnograficznych, albo, gdy temperatura była zbyt niska, w wynajętych pokojach. Tak było np. w Warszawie.

Szacuje się, że w pokazach Hagenbecków śmiertelność wśród uczestników na przestrzeni lat wynosiła ok. 5 proc. Z dzisiejszego punktu widzenia to dużo, ale jeśli rozpatrujemy to w kontekście ówczesnej medycyny czy śmiertelności Europejczyków pracujących w przemyśle rozrywkowym, np. w cyrkach, znacząco zmienia to perspektywę.

**DD:** Liczne grupy, przyjeżdżające ze zwierzętami, rzeczywiście czasami nocowały na terenie ogrodów zoologicznych albo poza miastem. To wynikało z konieczności ulokowania gdzieś zwierząt takich jak słonie. Ale pamiętajmy, że ówczesne ogrody zoologiczne, poza częścią ze zwierzętami, miały także część rozrywkową z kawiarniami i innymi atrakcjami. To nie jest tak, że ci ludzie mieszkali zamknięci w klatkach, lecz mieli do dyspozycji swoją przestrzeń.

**DC:** John Hagenbeck, przyrodni brat Carla Hagenbecka – twórcy imperium – miał silne relacje z członkami grup z Cejlonu, dzisiejszej Sri Lanki, których pokazy organizował. Sam przez wiele lat tam mieszkał, poślubił kobietę stamtąd, żył w tej społeczności. To przekładało się na to, że bardzo dobrze traktował ludzi, z którymi podróżował.

**DD:** Wiemy, że wielu uczestników tych pokazów zostawało w Europie. Czekanowski wspomina o mieszkańcu Konga pracującym w muzeum w Belgii. W Berlinie kilka lat temu była wystawa pokazująca twarze potomków tych ludzi, którzy do dziś tam mieszkają. Jednak w przypadku Europy Wschodniej mamy na ten temat niewiele danych. Wiadomo, że jeden z uczestników pokazów mieszkał potem w Gdańsku. Ale to wymaga dalszych badań.

**Czy dziś zostały jakieś ślady tych pokazów?**

**DC:** To temat projektu badawczego, który właśnie przygotowujemy. Bo to dziedzictwo w dużym stopniu zapomniane, choć odnajdujemy jego ślady. Nie chodzi tylko o dzieła, które pojawiły się w momencie odbywania się tych pokazów – jak obrazy Pantaleona Szyndlera, który namalował portrety „Syngalez" i „Syngalezka", czy utwory wykorzystujące motywy mające odniesienie do pokazów, jak sztuka „Aszantka" Włodzimierza Perzyńskiego. Te motywy widoczne są również w kulturze współczesnej. Wspominaliśmy o Vojtěchu Friču i, jak mówiono, „jego Indianinie". W Czechach ukazuje się popularna seria komiksowa Lucie Lomovej pt. „Divoši" („Dzicy") o przygodach tego tandemu. Ich historia stała się też podstawą sztuk teatralnych i audycji telewizyjnych. Nasze kolejne badania mają udokumentować ślady tych pokazów w kulturze naszego regionu do dziś.

**Co sprawiło, że takie pokazy zniknęły?**

**DC:** Z pewnością jedną z ważniejszych przyczyn było upowszechnienie się kina jako nowej formy rozrywki. W efekcie organizacja pokazów dla wielu instytucji, takich jak ogrody zoologiczne, stała się nieopłacalna. Pokazy stopniowo przyciągały coraz mniej widzów, nie były już „nowością". Ludzi zaczynały fascynować obrazy filmowe i nowe media.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

# RYBY MAJĄ GŁOS

**TIMOTHY A.C. LAMONT, BIOLOG MORSKI:**

Na obumarłej rafie koralowej zainstalowaliśmy głośniki i odtwarzaliśmy dźwięki zdrowego ekosystemu. To była reklama dla ryb. Chcieliśmy je zwabić, by to miejsce odżyło.

**MARIA HAWRANEK: Znasz angielską książkę dla dzieci o ślimaku i humbaku?**
**TIMOTHY A.C. LAMONT:** Tak!

**W pewnym momencie humbak ląduje na plaży w czasie odpływu. Dzieje się tak dlatego, że oszałamia go hałas motorówek... Co właściwie słychać pod wodą?**

Bezmiar dziwnych i pięknych naturalnych dźwięków, które zwierzęta wydają z rozmaitych powodów. Krewetki, ryby, wieloryby czy delfiny nadają na różnych falach. Brzęczenie, pstrykanie, strzelanie, gwizdy, śpiewy, ćwierkanie, mruczenie, pukanie – czego tam nie ma! Jednak im dłużej słuchamy oceanu, tym więcej wyławiamy zanieczyszczeń dźwiękiem. To hałas produkowany przez człowieka, pochodzący ze statków, odwiertów na platformach wiertniczych, sejsmicznych metod poszukiwania złóż ropy i gazu, przemysłu budowlanego, motorówek rekreacyjnych, samolotów lecących nad wodą. To oczywiście problem dla zwierząt.

Hałas emitowany przez człowieka wchodzi im w drogę, może sprawić, że przestaną się ze sobą komunikować. Czasem ogromnie je stresuje, może nawet uszkodzić ich narządy słuchowe. Mamy coraz więcej dowodów na to, że hałas pod wodą może mieć skutki śmiertelne dla przedstawicieli wielu gatunków morskich stworzeń. Np. wywołany hałasem stres może sprawić, że delfiny lądują na

TIM LAMONT / UNIVERSITY OF EXETER

*Ustawianie hydrofonu na rafie koralowej w Sulawesi, Indonezja. Czerwiec 2019 r.*

brzegu, a ryby są tak rozproszone, że zbyt łatwo dają się zjeść innym zwierzętom.

**Widoczność pod wodą jest ograniczona, za to dźwięk podróżuje kilkukrotnie szybciej niż w powietrzu. To czyni zmysł słuchu chyba najważniejszym ze wszystkich?**

To potężne narzędzie sensoryczne, zwierzęta pod wodą posługują się dźwiękiem na co dzień: nawigują na długie dystanse, komunikują się, używają go, by znaleźć pożywienie albo uciec przed drapieżnikiem, z pomocą dźwięku bronią terytorium. Pod wodą można usłyszeć, jak jedna ryba krzyczy na drugą, żeby ją odstraszyć.

**Pamiętasz, kiedy usłyszałeś zgiełk rafy koralowej po raz pierwszy?**

Tak dokładnie to nie, bo działo się to stopniowo. Oswajanie się z podwodnym słuchaniem to proces. Nasze uszy są zaprojektowane do działania w powietrzu, trzeba się go z uszu pozbyć przez ugniatanie palcami, by wyrównać ciśnienie. Poza tym, kiedy zaczynasz nurkować ze sprzętem, to dość stresujące doświadczenie. Słyszysz wtedy głównie swój własny oddech i szum bąbelków wokół siebie. Dopiero po jakimś czasie możesz pod wodą być spokojny, w bezruchu i nastawić uszu. Kiedy zacząłem słuchać, byłem oszołomiony tym, jak wiele wcześniej nie zauważałem.

**Jak z tej orkiestry na rafie można wyłowić jakieś konkretne dźwięki i ustalić, kto je wydaje?**

Czasem możemy się zorientować, skąd pochodzi dźwięk, na podstawie synchronizacji nagrania dźwięku z obrazem nakręconym w konkretnej lokalizacji i wówczas da się go przypisać konkretnej rybie. Bardzo często pozostaje to jednak tajemnicą – na rafie widzisz naraz tyle ryb, że często nie sposób stwierdzić, która z nich mruczy, stuka czy gwiżdże. Inne grupy badawcze na świecie robią rybom tzw. przesłuchania: łapią jakiś gatunek ryby, umieszczają w akwarium, gdzie jest tylko ona, i nagrywają dźwięk, który wydaje, a potem ją wypuszczają. Myślę, że poznaliśmy niewielki procent dźwięków, jakie wydają ryby. Istnieją tysiące ich gatunków!

**W swoich wystąpieniach opisujesz cykl życia ryb na rafie: składają tam jaja, a gdy wykluwają się z nich maleńkie rybki, od razu płyną na głębokie wody, by tam podrosnąć z dala od drapieżników. Wszystkie tak robią? Wracają dopiero, by się rozmnożyć?**

Zdecydowana większość wypływa na morze, wracają jako małolaty, niewiele większe od ziarna ryżu. Ale są już po transformacji z narybku, stanu larwalnego, do stadium małej rybki. Zmieniły się mięśnie w ich ciałach i kolory, zaczęły odżywiać się innym pokarmem. Wtedy wracają.

**Do miejsc, z których się wywodzą?**

Sądzimy, że niektóre ryby to potrafią, ale wciąż nie wiemy tego na pewno. Nie wiemy też, do jakiego stopnia może działać ten instynkt domu. Ryby mogą też popłynąć do innej rafy.

**Jeśli nie zatrzymamy tempa katastrofy klimatycznej, rafy koralowe znikną w 90 proc. do 2050 r., a tym samym stracimy 25 proc. morskiej bioróżnorodności. Jakie są główne powody ich degradacji?**

Warto podzielić stresy, jakim poddawane są rafy koralowe, na globalne i lokalne. Globalne są napędzane przez zmianę klimatu – morze się ociepla, co stanowi bardzo poważne zagrożenie dla raf, które w wysokich temperaturach ulegają blaknięciu – a w efekcie śmierci. Glony, z którymi koralowce żyją w symbiozie, i którym zawdzięczają swój kolor oraz sporą część pożywienia, nie lubią zbyt wysokich temperatur. A opuszczone przez partnerów koralowce głodują.

Wzrosła też liczba cyklonów, huraganów, silnych tropikalnych zdarzeń, które również niszczą rafy. Przewiduje się, że za jakiś czas zakwaszenie oceanów osiągnie taki poziom, w którym koralowcom trudno będzie się rozwijać. Na to nakładają się lokalne stresy w poszczególnych miejscach planety – nadmierne połowy ryb sprawiają, że na rafach jest ich zbyt mało i cały ekosystem zaczyna podupadać. Zanieczyszczenie wody, np. chemikaliami stosowanymi w rolnictwie, powoduje choroby u koralowców. Jest też rodzaj rozgwiazdy – korona cierniowa, która zjada koral – jak już się pojawia, to jak morska szarańcza pożera wszystko. Rafy degraduje mieszanka globalnych i lokalnych stresów, więc ważne jest, byśmy potrafili zarządzać jednymi i drugimi.

**Wierzysz, że uda się powstrzymać zagładę raf?**

Lubię myśleć, że do jakiegoś stopnia nam się to uda, inaczej nie robiłbym tego, co robię. Jednocześnie jestem przekonany, że część szkód jest nieodwracalna. Kolejne straty są właściwie zagwarantowane, bo rozwiązanie wymienionych wcześniej problemów zajmie trochę ↦

↦ czasu. W pewnych miejscach rafy się zmienią i nic nie możemy z tym zrobić. A jednak nie jest to takie proste, że albo będziemy mieć rafy, albo ich mieć nie będziemy, nie można ich tak po prostu włączyć i wyłączyć. To złożony ekosystem, który będzie się zmieniał. Czy sądzę, że możemy zachować rafy koralowe w tej formie, w jakiej znamy je dzisiaj? Nie, nie sądzę. Czy uważam, że stracimy je zupełnie? Również tak nie myślę. Sądzę, że poniesiemy pewne straty, ekosystemy ulegną zmianie. Ale wciąż mamy wystarczająco dużo wpływu na to, jak się zmienią – czy uda się zachować dużo bioróżnorodności, piękna i wartości, jaką stanowią.

**W 2016 r. słuchałeś odgłosów Wielkiej Rafy Koralowej w Australii. Od 2012 r. uległa totalnej degradacji. Wcześniej była pełna dźwięków, później – cicha i smutna.**

Te cztery lata przyniosły silne sztormy, cyklony i blaknięcie raf, szkody były ogromne. Z bardzo zdrowej, pełnej życia rafy stała się bardzo chora.

**Brałeś też udział w projektach rekonwalescencji rafy. W miejscu zdegradowanej rafy stawia się pod wodą stalowe gwiazdy, specjalne stelaże, a potem pokrywa się je piaskiem i żywymi koralowcami. Jak gwiazdy pomagają w odbudowie ekosystemu?**

Zastosowana technologia najlepiej działa w habitacie, w którym rafa uległa zniszczeniu i zostało tzw. rumowisko. Połamane cząstki martwych szkieletów koralowców unoszą się nad dnem morza. Taki pejzaż uniemożliwia regenerację – jeśli nowy koralowiec wyląduje w tej okolicy, nie ma się do czego przyczepić. Ląduje na martwym kawałku szkieletu i wraz z następną falą zostaje wyrzucony. W takich warunkach nic nie może urosnąć.

Metalowe struktury stabilizują przestrzeń. Koralowiec przytwierdzony do nich rośnie bardzo szybko, bo znajduje się w optymalnych warunkach i ma podstawę. A nowe koralowce, które pojawiają się w okolicy, lądują na stabilnym gruncie, na którym mogą rosnąć.

**Skąd brać żywe korale do tych konstrukcji?**

Można je pozyskać na trzy sposoby. Po pierwsze, kiedy coś uszkodziło koralowca – np. uderzyła w niego łódź albo sztorm go połamał, więc niebawem umrze, możesz zebrać jego jeszcze żywe fragmenty i przytwierdzić je do stelaża. Drugi sposób nazywamy „żłobkiem koralowym". Hoduje się koralowce albo w płytkiej wodzie, albo w laboratoriach na lądzie. A kiedy stają się wystarczająco duże, umieszcza się je w rafie. Trzeci sposób to oderwanie fragmentu żyjącego koralowca z niedalekiej rafy. Koralowce są jak rośliny – można odciąć kawałek, który zacznie rosnąć na własną rękę. Dzieje się to bez szkody dla całego organizmu, ponieważ oderwany fragment odrośnie.

ARCHIWUM PRYWATNE

**DR TIMOTHY A.C. LAMONT** jest biologiem morskim specjalizującym się w ekologii raf koralowych. Pracuje na Uniwersytecie w Lancasterze. Działania w zakresie ochrony przyrody realizował w ramach projektów finansowanych przez firmę Mars.

**W odbudowywanych rafach zamontowaliście mikrofony, by monitorować proces zdrowienia – sprawdzać, czy robi się coraz głośniej.**

Były też głośniki – odtwarzaliśmy przez nie odgłosy zdrowej rafy, by przyciągać ryby i przyspieszać regenerację całego systemu.

**To etycznie w porządku – oszukiwać ryby, wabić je odgłosami wspaniale funkcjonującej, zdrowej rafy do miejsca, które wcale takie nie jest?**

Nie można po prostu puszczać im takiego dźwięku, jeśli nie zamierzasz rekonstruować ich habitatu. Przyciągamy więc ryby tylko tam, gdzie naprawdę chcemy coś zmienić.

Możesz spojrzeć na dźwięki jak na reklamę miejsca, które dla nich przygotowałeś. Ludzie robili to wcześniej w innych ekosystemach – choćby przy odnawianiu kolonii ptaków morskich, np. nawałników burzowych czy rybitwy brunatnogrzbietej. Przygotowali środowisko, pozbywając się czynnika, który pierwotnie spowodował wyginięcie kolonii. I kiedy chcieli je przyciągnąć, zaczęli odtwarzać odgłosy tych zwierząt.

**Rybki zwabione reklamą przypływają i zostają?**

Tak. Zaskoczyło nas to. To kolejny dowód na to, że dźwięk to ważne źródło informacji, na którego podstawie zwierzęta podejmują decyzje. W naszym eksperymencie w Australii przypłynęło dwa razy więcej ryb niż do rafy bez głośnika. Choć pewnie nie wszędzie tak by się zdarzyło.

**Czy to były bezdomne rybki, które nie miały rafy koralowej do życia? Czy te dopiero co podrośnięte młode?**

To były młodzieniaszki, które szukały miejsca do osiedlenia i napotkały nasze. Nie przeprowadzały się do nas starsze ryby.

**Gdyby nie trafiły do waszej nagłośnionej rafy, miałyby gdzie pójść?**

Nie wiemy. Może tak, a może nie. Wówczas zostałyby na otwartym oceanie, gdzie umarłyby przedwcześnie.

**Coś by je zjadło?**

Umarłyby z głodu. Te ryby mają okno żywieniowe, w które muszą się zmieścić, by nie zginąć. Kiedy zmieniają się z narybku w rybę, mają określoną liczbę dni lub tygodni, w których muszą się znaleźć na rafie koralowej, gdzie znajdą pożywienie. Jeśli są tam zbyt wcześnie – zostaną zjedzone przez drapieżniki, jeśli zbyt późno – umrą z głodu.

**Gdy są na otwartym oceanie, to nie jedzą?**

Nie jestem ekspertem od stanu larwalnego ryb, pewnie wygląda to inaczej dla każdego gatunku. Ale z grubsza jest tak, że przed przemianą jedzą plankton, a potem żywią się tym, co znajdą na rafie. Np. jeśli rybom motylom po przemianie dasz do akwarium mnóstwo planktonu, którymi żywiły się przed przemianą, umrą.

**O tym eksperymencie zrobiło się głośno w mediach. W świecie naukowym był to przełom?**

I tak, i nie. Choć był to pierwszy raz, kiedy ktoś użył dźwięku do przyspieszenia wzrostu społeczności ryb, jak już wspomniałem, często robiono to w innych ekosystemach. Nazywa się to akustycznym zakotwiczeniem i jest to dobrze ugruntowana technika. Zdziwił mnie entuzjazm wobec tego pomysłu, myślę, że jego nowatorstwo jest przeceniane.

**Tamte badania prowadziliście dwa lata temu. Kontynuujecie je?**

Covid uniemożliwił nam dalsze prace w terenie. Nie byłem na rafie od tamtego czasu. Inne grupy badawcze w Australii i na Karaibach działają i obserwują kolejne etapy. W laboratorium przyglądamy się reakcjom bezkręgowców na dźwięk, być może nawet same larwy koralowców są w stanie go wychwycić. Współpracujemy też z naukowcami, którzy pracują nad odbudową siedlisk ostryg – okazało się, że ich larwy też reagują na dźwięk. Pracujemy też nad tańszymi podwodnymi mikrofonami i głośnikami – mamy sprawdzoną technologię, ale na razie jest bardzo droga i trudna w użyciu.

**Potraficie opracować przepis na odnowę rafy? Np. jak długo trzymać głośniki?**

Jeszcze tego nie wiemy. W eksperymencie mieliśmy pozwolenie na 40 dni. Efekty w każdym miejscu mogą być nieco inne. Rafy różnią się od siebie na tej samej zasadzie jak lasy – ten w Polsce różni się od tego w Wielkiej Brytanii, rosną w nim inne drzewa, żyją inne zwierzęta.

Nie da się stworzyć jednej sztywnej receptury postępowania ani dla lasów, ani dla raf, raczej dobre praktyki.

**Jak trafiłeś na rafę?**

W dzieciństwie mieszkałem w różnych częściach świata, m.in. w Afryce Wschodniej, w Malawi, gdzie nurkowałem z maską w jeziorze. Na wakacje jeździliśmy do południowej Afryki, raz pojechaliśmy do Kenii. Tam po raz pierwszy zobaczyłem rafę koralową, miałem może siedem, osiem lat.

Trudno określić, dlaczego robisz to, co robisz. Po prostu chciałem lepiej poznać i rozumieć piękno świata przyrody, a także je chronić.

**Dla ludzi żyjących blisko raf to oczywiste. A co byś powiedział Brytyjczykom lub Polakom?**

Rafy koralowe są dla mnie najpiękniejszym ekosystemem na świecie. Jednocześnie jednym z najcenniejszych. Zwykle tam, gdzie są rafy, są też ludzie żyjący w ekstremalnej biedzie. Rafa zapewnia im pożywienie, zarobek, chroni ich wyspę przed sztormami. Kiedy jej zabraknie, zostaną uchodźcami.

Jeśli troszczysz się o ochronę świata naturalnego, a wszyscy powinniśmy, musisz wiedzieć, że rafy są jednocześnie jednym z ekosystemów najbardziej podatnych na zniszczenia. Dlatego je badam.

Możemy używać rafy jako inspiracji do działania w naszych środowiskach, naszych krajach, tak by na swój sposób ograniczyć skutki globalnego ocieplenia, co oczywiście przyniesie korzyść wszystkim na świecie, nie tylko rafom.

Rafy są cudowną reprezentacją środowiska, pokazują, że jest piękne, wartościowe i powinniśmy je chronić.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

REKLAMA

Prestige MJM · BILET SERWIS · PGE NARODOWY · REGENT WARSAW HOTEL · BUKOVINA RESORT · Radio złoteprzeboje

Tygodnik Powszechny · Do Rzeczy · Przewodnik Katolicki · PANI · Gala · Viva! · onet · HELIOS · pap · VIXON · ams · PRESS SERVICE

# Życzliwość kontrolowana

ŁUKASZ KWIATEK

**Pielęgnice zebry, niewielkie rybki akwariowe, okazują się zdolne do prospołecznych zachowań. Ale nie zawsze się z nimi obnoszą.**

Przed tobą dwa przyciski. Jeśli naciśniesz czerwony, będziesz mógł zjeść znajdującą się przed tobą porcję słodyczy. Dotkniesz niebieskiego – też dostaniesz swoją nagrodę, ale dokładnie taką samą porcję słodyczy otrzyma druga, nieznana ci osoba, siedząca za szybą. Który przycisk wybierasz?

Postawieni w takiej sytuacji ludzie najczęściej decydują się na opcję nieegoistyczną – co łatwo zrozumieć, w końcu nic nas taka decyzja nie kosztuje, a możemy sprawić komuś przyjemność. Może nawet poczujemy się po takim zachowaniu lepiej. Większość z nas musiałaby mieć powód, by wybrać nagrodę jedynie dla siebie. Wiele podobnych badań psychologicznych dowodzi, że ludzie potrafią spontanicznie zachowywać się „prospołecznie", co zresztą może tłumaczyć fakt, że nasz gatunek stworzył kooperujące na wielu poziomach społeczeństwo. Gdybyśmy na każdego nieznajomego patrzyli wilkiem i starali się na każdym kroku utrudniać mu życie, bylibyśmy dziś po prostu dużymi, antypatycznymi małpami.

Zachowania prospołeczne wydają się rzadkie w świecie zwierząt. Z klasycznego eksperymentu z udziałem szympansów opisanego przez zespół Joan Silk w „Nature" w 2005 r. wynika, że małpom tym nie robi wielkiej różnicy, czy drugi osobnik dostanie nagrodę, czy nie, o ile nie jest to ich bliski krewny. Późniejsze badania pokazały jednak, że z małpią życzliwością nie jest aż tak źle. Np. Felix Warneken i współpracownicy ustalili w 2017 r., że szympansy potrafią spontanicznie pomagać obcym (podawać patyk, dzięki któremu będą mogły sięgnąć po wysoko zawieszone jedzenie), nawet wtedy gdy osobnik pomagający zupełnie nic z tego nie ma. Zatem przynajmniej w pewnych sytuacjach szympansy bywają spontanicznie życzliwe i pomocne. Podobnie zresztą jak kapucynki, których tendencje prospołeczne były wyraźne, dopóki obie małpy uczestniczące w badaniu otrzymywały takie same nagrody. Jednak jeśli osobnik podejmujący decyzję miał świadomość tego, że druga małpa dostanie większą porcję jedzenia niż on sam, to najczęściej zachowywał się już wtedy antyspołecznie. Taką rozszerzoną wersję eksperymentu opisał w 2008 r. w „PNAS" zespół Fransa de Waala.

GALINA BONDARENKO / ADOBE STOCK

*Pielęgnica zebra (Amatitlania nigrofasciata) w akwarium*

Żeby jakieś zwierzę mogło zdać egzamin z postaw prospołecznych, musi być w stanie zrozumieć całą sytuację, przed którą jest stawiane, i musi mieć motywację do nagradzania drugiego osobnika. Łatwo ocenić, czy danemu zwierzęciu brakuje zdolności albo skłonności do zachowań prospołecznych – w takim przypadku zwierzę będzie naciskać przyciski losowo (jeśli będzie wybierać nagrodę wyłącznie dla siebie, to zdradzi wybitnie antyspołeczne nastawienie). Ponieważ kapucynki i szympansy mają rozwinięte umysły i wiodą bogate życie towarzyskie, to występowanie u nich postaw prospołecznych nie jest przesadnie zaskakujące.

Tego samego nie da się jednak napisać o umysłach ryb – a okazuje się, że także u nich mogą pojawiać się zachowania prospołeczne.

Przełomowy eksperyment przeprowadzili w ubiegłym roku Shun Satoh i współpracownicy. Uczestnikami badania były pielęgnice zebry – niewielkie (długości 8-10 cm) rybki akwariowe, które tworzą silne, monogamiczne związki, mocno konkurujące o zasoby z innymi parami, a w opiekę nad potomstwem angażują się oboje rodziców.

Badacze wybrali 31 par rybek, które przynajmniej raz spłodziły już potomstwo, a następnie nauczyli samce, na czym polega zadanie. Rybki miały podpłynąć do jednego z dwóch symboli, oznaczającego prospołeczny i antyspołeczny wybór; w tym czasie drugi osobnik znajdował się w oddzielnej części akwarium, choć dobrze widocznej. Potem badacze sprawdzali, jak samce będą decydować w różnych okolicznościach. W pierwszej wersji eksperymentu samce wybierały, czy porcję pożywienia oprócz nich dostanie także ich partnerka – i wówczas większość z nich zachowywała się prospołecznie. Gdy zamiast partnerki danego samca beneficjentką jego decyzji miała być obca samica, to samce także decydowały się na opcję prospołeczną. Ich zachowanie całkowicie się zmieniało, gdy odbiorcami nagrody miał być inny samiec. On najwyraźniej traktowany był jako konkurent, bo przeważało wtedy zachowanie antyspołeczne.

Na koniec badacze wprowadzili jeszcze jeden warunek: odbiorcami mogły być obce samice, ale wszystko działo się na oczach partnerek samców podejmujących decyzję. I w takiej sytuacji samce zmieniały swoje zachowanie – wówczas obce samice także traktowane były jako konkurentki, bo samce rezerwowały nagrodę wyłącznie dla siebie.

Wygląda więc na to, że nawet małe, rybie mózgi mogą generować złożone zachowania społeczne, jeśli zwierzę poddawane jest odpowiednim presjom. I możemy sądzić, że gdy dopracujemy nasze eksperymenty, dostrzeżemy podobną złożoność jeszcze u wielu innych gatunków. ©℗

TOMASZ

# Stawiszyński:
## *Złoto przeciw śmierci*

Starożytni chińscy alchemicy, uważnie studiujący zmienną naturę wszechświata, byli szczerze przekonani, że złoto przyjmowane w odpowiednich dawkach zapewnia nieśmiertelność. „Jeśli artysta (alchemik) włączy je do swojej diety, trwanie jego życia będzie wieczne" – pisał w II wieku naszej ery Wei Boyang, jeden z niekwestionowanych mistrzów szlachetnej sztuki transmutacji (przeł. Ireneusz Kania). Oczywiście nie nadaje się do tego celu pierwsze lepsze złoto. Sprawa byłaby wówczas – przyznajmy – zbyt prosta. Bazą efektywnego eliksiru nieśmiertelności może się stać wyłącznie złoto pozyskane w żmudnym procesie alchemicznej sublimacji. To zaś, jak dotąd, nikomu się niestety nie udało.

Starożytni (nowożytni zresztą też) alchemicy pojmowali swoją dyscyplinę w sposób dosłowny. Współczesne interpretacje alchemii – wyłączając scjentystyczną jej redukcję do niewydarzonej poprzedniczki chemii – starają się jednak akcentować metaforyczny wymiar *magnum opus*. Nie o procesy materialne ma tu chodzić, lecz o symboliczne ujęcie zjawisk zachodzących tak naprawdę w sferze ducha, a raczej psychiki.

Czy metaforyczną wykładnię dałoby się zastosować także wobec tych 3 miliardów dolarów, które Jeff Bezos, twórca imperium Amazon i najbogatszy człowiek na świecie, zainwestował właśnie w Altos Labs – startup mający jeden fundamentalny cel: nieśmiertelność? Czy pieniądze pochodzące z biznesu, w którym warunki zatrudnienia są – delikatnie mówiąc – kontrowersyjne, przemienią się ostatecznie w życiodajny eliksir, przedmiot odwiecznych ludzkich pragnień?

Nie znamy na to pytanie odpowiedzi. W każdym razie nie jest wcale powiedziane, że uda się śmierć w najbliższym czasie wyeliminować, ba, nie jest nawet powiedziane, że się ją kiedykolwiek uda wyeliminować. Wbrew dominującej w późnym kapitalizmie narracji, że wszystko jest możliwe, natura, by tak rzec, ma swoje nietrywialne limity. I pewnych jej inherentnych ograniczeń nie przekroczy nawet Jeff Bezos.

Jeśli jednak jakimś cudem mu się ta fantazja ziści, zasadna stanie się wątpliwość, kto w pierwszej kolejności otrzymać powinien szansę na wiecznotrwałość. Już dzisiaj tak znienawidzona przez Bezosa starość („to choroba" – ogłosił przy okazji powołania Altos Labs) u bogatych i biednych przebiega cokolwiek inaczej. Bogaci mają przecież do dyspozycji niezliczoną ilość środków odraczających, uśmierzających oraz – *last but not least* – maskujących bolesne konsekwencje przemijania.

Tyle że z milionami na koncie czy bez – ono ostatecznie i tak nikogo nie wyklucza. Nawet najbardziej gładkie oblicze, starannie pozbawione wszelkich znamion upływu czasu, skrywa organizm zasadniczo nieodporny na mechanizmy entropii. Co więc, jeśli za jakiś czas i tutaj powstanie radykalna dystynkcja pomiędzy ścisłą finansową elitą a resztą? Czy współcześni „bogowie" zamieszkujący niedostępne i starannie strzeżone pałace staną się kiedyś bogami w stu procentach? Wymkną się – dzięki skutecznemu wykorzystaniu złota – tej jedynej instancji, wobec której wszyscy, bez względu na status społeczny i stan posiadania, wciąż jeszcze jesteśmy absolutnie równi?

Powtórzę – to kwestia techniczna. Teoretycznie nie jest wykluczone, że zatrudnionym w Altos Labs naukowcom, albo raczej kolejnym pokoleniom, które przyjdą po nich, wreszcie uda się wyeliminować śmierć. Wówczas z pewnością ta postać świata, którą znamy, ulegnie jakiejś kardynalnej przemianie, to bowiem, co widzimy dookoła, jest takie a nie inne dlatego, że ludzie rodzą się, dorastają i umierają. Najbardziej utalentowani pisarze *science fiction* nie są dziś w stanie wyobrazić sobie, co się w takim przypadku dokładnie wydarzy.

Niemniej, znacznie bardziej niż skrajnie odległy horyzont takiej egzystencjalnej i kulturowej rewolucji zajmuje mnie myśl o tym, jak Jeff Bezos przyjmie wiadomość, że to się mimo wszystko nie powiodło. Że nawet tak gigantyczne pieniądze, za które można kupić, co się tylko chce, a nawet polecieć w kosmos, nie zagwarantują niekończącej się ciągłości istnienia. Czy twórca Amazona zechce wówczas popatrzeć na swoje pragnienie jako na głęboką metaforę? A może przypadkiem trafi na pisma Wei Boyanga i zrozumie, że proces wytwarzania drogocennego kruszcu dla takich celów wymaga zupełnie innej metodologii? I czy ta konstatacja przyjdzie doń w czasie na tyle odpowiednim, żeby jeszcze zdążył zmienić warunki pracy w niezliczonej ilości magazynów, w których wytapia się dzisiaj złoto z niedoli zwykłych śmiertelników? ©

PODZIĘKOWANIA

Składamy podziękowania Pani

*lek. med. Jadwidze Bosak*

z Oddziału Onkologii z Pododdziałem Diagnostyki Nowotworów Klatki Piersiowej Krakowskiego Szpitala Specjalistycznego im. Jana Pawła II za serdeczną troskę, którą okazała

śp. Barbarze Tischner.

Mąż i Synowie z rodzinami

Składamy serdeczne podziękowania Pani Ordynator

*dr n. med. Iwonie Filipczak-Bryniarskiej*

oraz

całemu personelowi Oddziału Medycyny Paliatywnej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie za wszechstronną i prawdziwie czułą opiekę nad

śp. Barbarą Tischner.

Mąż i Synowie z rodzinami

# ŁADNIE NIE JEST

**DOROTA MASŁOWSKA, PISARKA:**

Ludzie wychowani przez tych, którzy przeżyli tu wojnę, a potem komunizm, mają w sobie złogi cierpienia. Stają się cięższi: mniej radośni, mniej beztroscy, mniej skłonni do szczęścia. Bardziej ostrożni, nieufni, zrezygnowani.

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Miałaś swój dziewczyński pokój?**

**DOROTA MASŁOWSKA:** Długo miałam pokój z bratem, taki metr na metr, w którym stała meblościanka i łóżko piętrowe. Kiedy dzisiaj jadę do mamy i widzę rozmiar tego pokoju pamiętając, że myśmy tam we dwójkę się cisnęli, to przed oczyma wyświetla mi się piekło. Dzieci wpadające na siebie, przepychające, bijące się. Bezustannie się ktoś o kogoś ociera, bezustannie walczy o swoje terytorium, którego nie ma. Z drugiej strony – bliskość, dosłowność, bezustanność drugiej osoby. To doświadczenie wielu moich rówieśników.

**Teraz rodzice staną na głowie, by dzieci miały własny pokój.**

Tamte małe mieszkania, egzystencja na wąskich i opresyjnych przestrzeniach, generowały bezustanną fizyczną interakcję. I przemoc, bo ludzie irytują się, depcząc sobie po piętach. Idea własnego pokoju jest bardzo słuszna.

**W pokoju wisiały plakaty?**

Tak, bo mama kupowała mi czasem „Popcorn" i „Dziewczynę" – czyli to musiały być wczesne lata 90. Na pewno miałam plakat wokalistki metalowej Doro, chyba też Take That. Przykleiłam je do beżowej tapety w kwiatki klejem z mąki. To był klej wieczny. Do tego pościel z kory i makrama zrobiona na ZPT.

**A ta meblościanka? „Mebel segmentowy" zaprojektowany przez Bogusławę i Czesława Kowalskich na początku lat 60., a królujący w małych mieszkaniach w latach 70., które są tłem Twojej nowej sztuki „Bowie w Warszawie".**

Genialny mebel, który kompaktował wszystkie ludzkie potrzeby: biurka, szafki, biblioteczki, garderoby, a czasem nawet i łóżka. I dawał pozór ich realizacji. Dziś trudne do pomyślenia, biorąc pod uwagę, jak obrośliśmy w rzeczy, chociaż ponoć idea mikromieszkań powraca do tamtych patentów.

Często wspominam ówczesny wygląd rodzinnego domu. Wszystko było poczciwe, w pewien sposób bezbronne i rozczulające w swojej przypadkowości i beznadziei estetycznej. Życie tak bardzo kręciło się wokół przetrwania, że nieszczególnie komukolwiek przeszkadzała brzydota. Była ona też w jakiś sposób nadana. Po prostu się żyło, trwało. Myślę teraz o tym z poczuciem niesamowitości.

**Bo?**

Trudno uwierzyć, że ludzie tak niewiele dla siebie chcieli!

**Tak sądzisz?**

Albo raczej: tak niewiele mogli z tym zrobić. Z dzieciństwa zachowałam wyraźne wspomnienie: patrzę, jak za moim oknem jest brzydko – powyginane zardzewiałe drabinki, huśtawka, którą ktoś spiął kłódką, bo irytująco jęczała. Raczej plac tortur niż plac zabaw. Szary piach, ogródki działkowe ze szklarniami. I myślę sobie: „To nigdy się nie skończy, tutaj będzie tak szpetnie do końca". Pamiętam tę melancholię, beznadzieję, nieodwracalność.

**Skąd w dziecku takie poczucie?**

Pewnie drogą osmozy przejęte od dorosłych. W naszym bloku nie było pięknych mieszkań – to były generyczne M3 ludzi z awansu. Te same szafki, te same linolea, te same wykładziny, te same reprodukcje Wyspiańskiego, te same żółte kinkiety. Poaranżowane z niczego, z tego, co wystane w sklepach, załatwione, wykombinowane. Ludzie mieli... nie – dostali pierwsze w swoim życiu mieszkanie, pierwszą własną przestrzeń do zagospodarowania. Wszystko skromne, liche, bez rodzinnych pamiątek, bibliotek i nachtkastlików.

**W „Bowiem..." pokazujesz jeszcze inny dom – dom z tradycją.**

Raczej jej fantomem. Dom warszawski pełen resentymentu i wspomnień o dawnej świetności. I nawet jeśli jest tam bardzo nędznie i skromnie, to i tak w głowach domowników tli się wspomnienie świetności, która pełni różne funkcje. Raz jest przepięknym marzeniem, raz obsesją, kiedy indziej praktyczną strategią zachowania osobistej godności w świecie, w którym trzeba walczyć o najbardziej podstawowe rzeczy – mięso i watę. ↦

**DOROTA MASŁOWSKA** (ur. 1983) jest pisarką i autorką sztuk teatralnych. Zadebiutowała w 2002 r. powieścią „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną", wydany dwa lata później „Paw królowej" przyniósł jej Nagrodę Nike. Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się właśnie jej sztuka „Bowie w Warszawie". Felietonistka „Tygodnika Powszechnego".

WERONIKA ŁAWNICZAK / PAPAYA FILMS // DZIĘKI UPRZEJMOŚCI WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

↦ **Ta cezura obowiązywała przez cały PRL – i później też: mówiło się „jak przed wojną”.**

To nie jest dziwne, że przedwojenny świat stał się po 1945 r. dla ludzi krainą marzeń i mitów o sobie. Przerwane życia, kariery, nauka, miłość, przyjaźń mogły się ciągnąć dalej gdzieś w głowach, gdy wszystko trzeba było budować od nowa z ruin. Matka mojej głównej bohaterki ciągle wraca do swojego poprzedniego wcielenia, w ślepym widzie próbuje je mimo wszystko realizować.

**Próbuje do tego użyć swojej córki.**

By odkuć się za swoje niespełnienia, odzyskać splendor i status. Rzeczy, które miały się wydarzyć, ale się nie wydarzyły, mają olbrzymi wpływ na nasze życie. Czasem większy niż te, które się zdarzają. Pielęgnowane w głowie idylle wygrywają z rzeczywistością. Wloką się za nami, zakażając wszystko jakimś „nie tak”, „nie dość”, „nie to, co być powinno”. Łatwo tym zarazić dzieci, próbować nimi nieświadomie zrealizować swoje nieudacze.

**David Bowie przez moment przebywał w Warszawie lat 70. W gierkowskim świecie pojawił się przybysz z wolnej części kosmosu. Zastanawia, co myślał patrząc na zszarzałą stolicę Polski.**

To jest właśnie eksperyment myślowy, który podjęłam pisząc dramat. Potrzebowałam pożyczyć jakieś oczy, które pozwolą mi na to spojrzeć szerzej, wydobyć piękno, egzotykę z tego, co jest dla osoby wychowanej tutaj tylko szare albo przezroczyste, oczywiste. Chciałam to zobaczyć z daleka, z kosmosu właśnie. Dziwny klimat, przydymione kolory, nierealne fryzury, krzywo namalowane brwi. Bowie to swobodny konsument sztuki, rzeczy, ludzi, ciał. A tutaj – brak swobody, tym większy, że uwewnętrzniony: opresja, duchota, potrzask. Bowie był mi potrzebny jako spojrzenie.

Pomijając już dziecięcą frajdę, jaką mi sprawiło ożywienie go jako postaci w sztuce, to był swojego rodzaju wyzwalaczem. Umożliwił mi umieszczenie nas w kontekście kosmicznym, uniwersalnym. Pokazanie Warszawy jako pewnego wszędzie, a lat 70. jako pewnego zawsze, w którym nadal tkwimy.

**Czyli?**

Znajduję ukojenie w tym, że las to miejsce z sensem tak głębokim, że aż niewidzialnym, niedostrzegalnym. **Las sobie po prostu jest, niczego nie potrzebuje,** trwając, podlegając cyklom, niczemu nie służąc.

Czyli że moda, technologia, gadżety, ustrój zmieniają się szybciej niż mentalność. Przewodzona przez język, przez ciała, przekazy i przekonania ma wielką trwałość, stawia opór zmianie, ciągnie się i ciągnie przez czas. To serie przekazywanych kolejnym pokoleniom dziwnych zapisów, często nigdy nieweryfikowanych. Są w nich zaszyfrowane podstawy bycia człowiekiem: relacja kobieta–mężczyzna, dorosły–dziecko, normalny–inny, dobry–zły, sprytny–frajer. Dlatego w roku 2022 może nagle przemówić przez nas wąsaty sarmata albo zgarbiony, pobity chłop pańszczyźniany.

**A dekoracje? Mówiłaś, że jako dziewczynka patrzyłaś przez okno i widziałaś brzydotę nieśmiertelną. Przecież teraz jest ładnie.**

Na pewno kolorowo, ale ładnie? Akurat krajobraz jest sprawą, która wspaniale przewodzi ten temat nakładania się na siebie warstw czasu, tak że ta najnowsza jest na wierzchu, ale stare pod nią doskonale się trzymają i konserwują. W polskim krajobrazie widać gwałtowność przemian, ale i ich powierzchniowość, chaotyczność. Anarchię, brak planu, szerszego wspólnotowego myślenia. Szklane wieżowce stoją obok czworaków i dworków, wszystkie tak samo oblepione reklamami. Nie powiedziałabym, że jest ładnie. Polska estetyka jest zdecydowanie bizarna, osobna.

**Za to jesteśmy bogatsi.**

Też nie jestem pewna, czy można zrobić takie uogólnienie. Ale na pewno życie Polaków, i biednych, i zasobnych, kręci się wokół bogacenia się. Posiadania, nabywania, budowania z nabytych rzeczy konstrukcji, kompozycji, statusów. Również chwalenia się nimi, imponowania nimi, sycenia się poprzez eksponowanie ich w mediach społecznościowych. Pojawiła się nowa frakcja idoli: influencerów, instagramerów, znanych z tego, że konsumują. Pokazują swoje mieszkania, samochody, ubrania, wyznaczając mody, kierunki konsumpcji. Zaszczepiają w sercach pożądania i marzenia.

**Kiedy było biedniej, ludzie byli razem?**

Fantazja o tym, że kiedyś było lepiej, że ludzie byli serdeczniejsi i pożyczali sobie szklankę cukru, jest żywo obecna i jest reakcją na przyspieszony rozpad więzi. Ten ostatni ma masę przyczyn: masowe emigracje, degradacja wspólnot rodzinnych i sąsiedzkich, transfery z mieszkań do mieszkań, w których stają jednorazowe meble z Ikei – przy wyprowadzce można wystawić je bez żalu na śmietnik. Czy wreszcie media społecznościowe, w których niekontrolowana ekspresja złych emocji pogłębiła konflikty, uprzedzenia, nienawiści, izolacje w bańkach. Rozpadły się dawne struktury wspólnoty i nie ma wielkiej nadziei na nowe. Choć z kolei wszystkie spontanicznie skrzykujące się protesty, marsze, akcje na pewno biorą się z potrzeby wspólnoty i generują intensywne, wspólnotowe emocje.

**Dla pisarza ludzka wspólnota – odczuwanie jej poprzez język – to artystyczne paliwo. Pisarze-emigranci tęsknili za tą wspólnotą.**

Poczucie szczególnej głębi życia w naszym odcięciu też może być bardzo złudne. Wyobrażam sobie, że pisarze, którzy z Polski emigrowali, byli jednocześnie bardzo szczęśliwi i bardzo nieszczęśliwi. Z jednej strony udało im się wyrwać z opresyjnego i udupiającego systemu, z drugiej strony tracili swój habitat – rzeczywistość, którą rozumieli dogłębnie w jej całości, ciągłości. Dla pisarza funkcjonowanie w obcym języku zawsze wiąże się z drastycznym spłyceniem egzystencji – jego interakcja ze światem, jego ekspresja przestaje być tak żywa. Można się perfekcyjnie nauczyć nowego języka, ale ten, który jest intuicyjny, cielesny – to prawie zawsze ojczysty.

Mogę sobie wyobrazić, że pojawia się też problem ego – u pisarzy rozbudzone, a tu nagle konieczność startu od zera. Nic dziwnego, że potem tęskni się za głębią, sentymentalizuje ją, bo jakaś na pewno powstaje, gdy żyje się w izolacji, w za-

mkniętym kręgu towarzyskim, w piciu, kotłującym się nieszczęściu, w nocnych Polaków rozmowach. Takie rejestry współistnienia są już niemożliwe do odzyskania za granicą.

**Ciężki los Polaka?**

Myślę, że takie mogły być czynniki, które ubarwiały te wspomnienia. Ale co ja wiem... może rzeczywiście to jest jakaś szczególna głębia egzystencji, która się tu rozgrywała. Skoro jesteśmy już w tak daleko idących spekulacjach o polskiej głębi, to ludzie, którzy przeżyli tu wojnę, a potem komunizm, ludzie wychowani przez tych, co je przeżyli, mają w sobie złogi cierpienia, czy to własnego, czy odziedziczonego. Traumy zmieniają percepcję.

**Na ostrzejszą?**

Na pewno mniej naiwną. Ludzie stają się cięższi: mniej radośni, mniej beztroscy, mniej skłonni do szczęścia. Bardziej ostrożni, nieufni. Z tego wynikają domina nieszczęść, od pewnego momentu trudno już namierzyć, z czego wynikających. Nierozpoznane depresje, przemoce psychiczne i fizyczne, lęki o przyszłość czy zwyczajnie nieufność, nieserdeczność, zamknięcie, zimno, emocjonalne skąpstwo. Rezygnacja.

**Mówisz o swojej babci wspominającej okupację, naloty, ucieczki, więzienia?**

Też. Ale też o pokoleniu moich rodziców. Jest tam dużo osób, które przedwcześnie się poddały, przestały o siebie walczyć, popadły w takie „to już nie dla mnie". Mam nadzieję, że moja babcia nie będzie tematem, do którego będę wracać w całej mojej twórczości. I jednocześnie myślę, że moje życie bez tego spotkania z nią nie jest trójwymiarowe.

**Przykład?**

Te opowieści, które w sobie noszę, nie są szczególnie ciekawe, jakieś niezwykłe. Wojenne standardy. Z drugiej strony ciągłe ich opowiadanie dziecku miało jakąś pierwotną funkcję – czuję, że wzięłam udział w rytuale, który rozciągnął moją egzystencję, rozszerzył ją, umieścił na osi czasu. W tajemniczy sposób przez to, że żyłam z jej opowieściami, byłam z nią na wojnie. Tej wojnie.

Nawet jeśli one były zdeformowane przez pamięć, przez upływ czasu, a te najbardziej brutalne uległy erozji, cenzurom, to i tak nadal jestem do nich emocjonalnie podłączona. To daje poczucie, że nie jesteśmy tylko tu i teraz, że ludzka egzystencja ma niesamowitą rozłożystość i ciągłość, nasze ciało jest tylko pozornie nasze, bo jest też elementem w pochodzie ciał, które maszerują przez czas.

> Ja jestem jeszcze z zapotrzebowania na dobrze uczące się dziewczynki – ciche, karne, czujące właściwe uczucia. **Ale chłopcy też mieli ciężko, bo mężczyzn obowiązywał** zakaz uczuć, tłumienie ich w sobie.

**Ciekawe, jaki sznur ciał stoi za Reginą, bohaterką Twojej sztuki, lesbijką, której przychodzi żyć za Gierka i nawet nie wie, że jest osobą homoseksualną.**

Na pewno ciało jej matki, która w akcie nadświadomości mówi w pewnym momencie, że wojna zmieniła ją z dziewczynki w zombie, co krew tylko zna i ocet. Zombie, czyli błędne, samobieżne ciało bez ducha.

**Kiedy Ty się dowiedziałaś o istnieniu osób homoseksualnych?**

Dla mnie samej wymowne jest to, że jako dziecko nie wierzyłam w ich istnienie, tak samo jak nie wierzyłam w istnienie Żydów. Serio, myślałam, że to takie mity. Ciekawe, jak o nich wokół mówiono – albo nie mówiono – że nabrałam takiego przekonania. Warto sobie uświadomić, w jaki sposób kondycja osób LGBT ewoluowała w przeciągu ostatnich dwudziestu lat, to epokowa zmiana, ogromna praca i odwaga wielu osób w walce o swoją normalność. Także praca wykonana w języku – żeby zrobić im w nim miejsce, by nie musiały już siebie przemilczać albo się tłumaczyć.

*À propos* funkcjonowania w jakimś „zawsze", to przejmuje mnie podejmowana cyklicznie przez rząd próba upchnięcia osób nienormatywnych z powrotem w szafach. To jest przecież już niemożliwe, sama ta próba jest rażąco absurdalna... One się już tam nie zmieszczą.

**Do szafy próbuje się wepchnąć każdego człowieka żyjącego inaczej.**

W tym osoby, które nie mogą czy nie chcą założyć rodziny, produkować nowych Polaków. Wstrząsające są te prymitywne inżynierie społeczne i obyczajowe. Okropną rolę odgrywa w nich też Kościół, ciągnący to w wymiary religijne, eschatologiczne. Ale też rozbudzający w ludziach poczucie zagrożenia, pielęgnujący zamknięte konserwatywne postawy względem odmieńców, idee „leczenia" ich.

**W rodzinie, w towarzystwie zawsze była osoba odmienna.**

Osoba pałętająca się po obrzeżach schematu prawidłowej rodziny z dwójką dzieci: chłopczyk i dziewczynka. Kobiety, które, jak to się wymownie nazywało: „nie ułożyły sobie życia", nie stworzyły rodziny w powszechnie obowiązującym modelu. I mężczyzna, „któremu żadna się nie spodobała". Stare panny i starzy kawalerowie. Ich status sprowadzający się do przybocznych i dochodzących również wynikał z zupełnie odmiennej niż współczesna ekonomii życia codziennego. Ścisłych gospodarczych zależności, współpracy: kobieta pierze, organizuje jedzenie, mężczyzna zarabia pieniądze, a potem czyta gazetę. Osobom „niezrzeszonym" trudno było się uniezależnić, musiały orbitować przy rodzinie, jakimś gospodarstwie domowym.

**Skazane na półżycie?**

Piastowanie dzieci innych ludzi, popłakiwanie po kątach, obmowę. Otaczał je – to pamiętam jeszcze ze swojego dzieciństwa – nimb pewnego politowania i niespełnienia: „nie udało mu się", „nie trafiła na odpowiedniego mężczyznę".

Taka osoba budziła też śmiech, bo w domyśle nie uprawia seksu – na pewno przez to jest nerwowa i nadmierna emocjonalnie, popada w śmieszność, samotnicze zwyczaje i obsesje. Nigdy się nie dowiemy, ilu ludzi homoseksualnych czy niebinarnych trafiało na margines pt. „Nie może sobie ułożyć życia", a ilu, wbrew własnej prawdzie, wpasowywało się w obowiązujący schemat, zakładało jakąś rodzinę.

**Stąd tyle nieszczęśliwych istnień?**

Nieszczęście jest niebezpieczną kondycją. Osoba nieszczęśliwa śmierdzi krwią ↦

↦ i nieświadomie budzi agresję innych, prowokuje do przemocy. To, co jest w Polsce teraz –nabuzowanie gniewem, przemocą, polaryzacja i eskalujący konflikt, którym życie społeczne jest tak mocno podszyte – wynika z newralgicznego, przełomowego momentu. Te różne próby wzięcia pod but kobiet i osób nieheteroseksualnych wywołały wielki gniew, wielkie „dość" – ludzie masowo mówią i dają ekspresję rzeczom latami zamiatanym pod dywan i chowanym w szafach, trzymanym tam pod ciśnieniem.

To zbiorowe zdzieranie masek, nagłe uwolnienie emocji, bólu, sekretów, z jednej strony powoduje eksplozję, z drugiej jest wyzwoleńcze i ozdrowieńcze, z trzeciej – okropnie bolesne. Równolegle doszło do uwolnienia dyskusji o chorobach psychicznych – o cierpieniu.

**W Twoim domu też nie mówiło się o emocjach?**

To było ogólne zjawisko. Cierpienie i zaburzenia psychiczne były skrzętnie unikane jako temat, były piętnujące. Na pewno dokładał się tu też Kościół, żywo obecny w kształtowaniu mentalności, przedstawiający zestaw uczuć, które powinno się mieć – np. miłość do rodziców, wraz z pulą tych zakazanych – np. niechęć do nich. Plus zobowiązania w ramach płci: kobieta kocha dziecko, bo tak ma. Prawdziwy mężczyzna nigdy nie płacze. Listy emocji dopuszczalnych i takich, które nie miały nigdy prawa się pojawić.

**Dopuszczalne to jeszcze jakie?**

Prawidłowa jest radość w dzień urodzin, a smutek już nie bardzo. Szczęście z urodzenia dziecka – rozpacz i przerażenie może czuć chyba tylko jakiś potwór. Chłopcy czują odwagę i ekscytację wyzwaniem, dziewczynki – skromność, cichość serca, pragnienie opieki. Ja jestem jeszcze wzięta z zapotrzebowania na grzeczne, dobrze uczące się dziewczynki – ciche, karne, czujące właściwe uczucia.

Ale chłopcy też mieli ciężko, bo mężczyzn obowiązywał całkowity zakaz uczuć, nakaz tłumienia ich w sobie. Na przykład: mój tata wszystkie bolesne emocje przerabiał na wściekłość. Czy można się temu jakoś szczególnie dziwić? To chałupnicze metody radzenia sobie z bólem życia, nikt z naszych rodziców nie chodził na terapię. Ale może moje pokolenie – które próbuje się ze swoimi uczuciami konfrontować w asyście psychoterapeutów – właśnie wyraziście widzi zegarową bombę cierpienia, która tykała w naszych rodzicach.

**Zbiorowe zdzieranie masek,** nagłe uwolnienie emocji, bólu, sekretów, z jednej strony powoduje eksplozję, z drugiej jest wyzwoleńcze i ozdrowieńcze, z trzeciej – okropnie bolesne.

**No to jakie jest pokolenie naszych córek urodzonych w latach 2000?**

Trafiły do świata zupełnie zmienionego, niepodobnego do naszego. Świata 24h podłączonego za pomocą wszelkich możliwych urządzeń do internetu, właściwie z nim tożsamego: rozszczelnionego, nieogarnialnego przestrzennie i społecznie. Te dzieciaki mają teraz w pozytywnym sensie dostęp do wszystkiego i żyją bez granic. Ale to ma też mroczną stronę, bo zło, z którym się spotykają, też nie ma granic. Nie rozgrywa się w obejmowalnej myślą jednostce przestrzennej, jaką jest osiedle, szkoła, miasto, czy czasowej: godzina lub tydzień. Jeżeli przydarza się im zło, to ono im się przydarza w nieograniczony niczym sposób. Jeśli ktoś ich nagra, kiedy dłubią w nosie – a celowo podaję tu taki głupi przykład – to nie będzie się z tego śmiała cała klasa przez tydzień, tylko cały świat, wszędzie i na zawsze. Mówię o ich poczuciu bezpieczeństwa, o możliwości ochronienia ich przed złem – i że to nie jest już tak proste, jak nasze „nie wracaj do domu po ciemku".

Poza tym wraz z tym bezprecedensowym otwarciem się świata – idzie jego przyspieszone zamknięcie. Kończy się powietrze, woda, topnieją lodowce, wybuchają epidemie. Oni widzą, jak dorośli tracą grunt pod nogami, załamują się. Rozmawianie z mamą o uczuciach nie wystarcza, kiedy te uczucia są tak trudne.

**Przecież sama mama tych uczuć nie rozumie.**

Trudno pogodzić się z tym, że świat się tak szybko zmienia, że nie możesz być dla swojego dziecka autorytetem albo choćby doradcą. I bywa, że nie możesz być wsparciem. Bolesna jest myśl, że być może dziecko ma do dyspozycji tylko siebie: własną wyporność na cierpienie, inteligencję, otwartość, wytrzymałość.

**Co daje wytchnienie?**

Lubię tworzyć. Praca wykonywana nad rozumieniem – nie zawsze przecież kończąca się zrozumieniem świata – daje mi poczucie uczestnictwa. Poza tym to chyba na różne sposoby przeżywana przyroda. Mam tam wentyl bezpieczeństwa. Kontemplując las, góry czy morze, odzyskuję wolę do życia.

**Dlaczego właśnie tam?**

Bo tam nie obowiązują destrukcyjne tempa, pazerna intensywność rzeczywistości miejskiej. Znajduję ukojenie w tym, że las to miejsce bez sensu. A raczej z sensem tak głębokim i twardym, że aż niewidzialnym, niedostrzegalnym. Las sobie po prostu jest, niczego nie potrzebuje, trwając, podlegając cyklom, niczemu nie służąc, na nic nie pracując, istniejąc w sprzężeniu i jedności z pogodą, z kosmosem. To jest coś, co ja tam ćpam, to jest coś, czemu się oddaję i co mnie przenika, co karmi.

**Co jeszcze karmi?**

W ostatnim czasie chyba dużo czerpię z ludzi, z kontemplowania ich obecności, złożoności, tajemnicy. Może przymusowe pandemiczne odosobnienia stworzyły we mnie taki głód, pragnienie bycia z innymi. Kiedyś miałam rzeczowe taksujące i powierzchowne spojrzenie „lubię – nie lubię", a teraz na pewno patrzę głębiej, kontempluję ludzkie piękno, to świadome i to nieświadome. Cenię taką formę współbycia, jakim jest pogłębiona rozmowa. Próba pokazania się drugiemu prawdziwą, docenienie tego, że ktoś próbuje być prawdziwy względem mnie. Zapamiętanie się w kimś, przyglądanie się komuś, pozwolenie sobie na czułe spojrzenie i idącą za tym bezbronność.

**To czułe spojrzenie przyszło z czasem?**

Było w bonusie do pewnej puli cierpienia, które odrobiłam. Teraz czuję, że ludzie to nie są ubrania, maski i wizerunki, tylko różne ciężary, cierpienia, niemożności, których własny zestaw każdy dźwiga. Zrozumienie tego przyniosło mi cząstkę ulgi.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

ED PERLSTEIN / GETTY IMAGES

*Neil Young i Joni Mitchell podczas koncertu z zespołem The Band. San Francisco, listopad 1976 r.*

# Komu grają, temu grają

JAN BŁASZCZAK

**Walcząc z dezinformacją na temat pandemii, Neil Young postanowił zbojkotować największą platformę streamingową – Spotify. Pomimo ostrzeżeń nie usunięto kontrowersyjnych treści, choć do Younga dołączyły kolejne gwiazdy.**

Cyfrowy gigant Spotify przeżywa wizerunkowy kryzys. Można napisać: „kolejny", ponieważ największa platforma streamingowa jest regularnie atakowana przez środowiska artystyczne. Jednak tym razem korporacja jest krytykowana nie tylko przez muzyków.

Jest to o tyle symptomatyczne, że Spotify – dotąd kojarzony przede wszystkim jako serwis muzyczny – z roku na rok coraz wyraźniej dystansuje się od tej branży. Wystarczy przeczytać ostatnie oświadczenia szwedzkiej firmy, by zauważyć, że pozycjonuje się ona teraz jako platforma „zarządzająca treściami audio". Pozyskiwanymi od twórców i udostępnianymi odbiorcom. W tym języku nie ma już miejsca na „muzyków", „artystów" czy „fanów". I nie jest to jedynie wynikiem sztywnej korpomowy. Obok dostępu do około 70 mln piosenek platforma oferuje dziś swoim użytkownikom ponad 3 mln podkastów. Cyfrowy moloch nie tylko podpisał kontrakty z twórcami najpopularniejszych programów, ale zainwestował także w aplikację Anchor umożliwiającą ich tworzenie.

O korekcie kursu obranego przez szwedzkiego giganta zrobiło się głośno, kiedy firma podpisała umowę z Joem Roganem. Kontrakt na wyłączność z twórcą bodaj najpopularniejszego podkastu na świecie miał opiewać na kwotę około 100 mln dolarów. Specjaliści branży cyfrowej tłumaczyli ten ruch, zwracając uwagę na jego ekonomiczny aspekt. Spotify, jako właściciel jednego z najpopularniejszych programów umożliwiających produkcję podkastów, nie musi negocjować czy dzielić zysków z pośrednikami, w przeciwieństwie do nagrań muzycznych, do których prawa majątkowe posiadają zwykle wytwórnie. Także model sprzedaży reklam w przypadku publicystyki okazuje się bardziej korzystny. Subskrybenci Spotify słuchają muzyki niezakłóconej reklamami. W przypadku podkastów jest inaczej.

Amerykański portal „The Verge", który przygląda się trendom w świecie nowych technologii, zwrócił uwagę na jeszcze jeden ważny i niepokojący aspekt dotyczący rynkowej przewagi podkastów. Dane dotyczące tego, jakich programów słuchamy, są znacznie cenniejsze dla reklamodawców niż informacje o naszych muzycznych preferencjach. Po raz kolejny dowiadujemy się, że najcenniejszym kapitałem w cyfrowym świecie jest wiedza o nas, konsumentach. ↦

### Głośne rozstania i ciche powroty

↦ Nawet jeśli wszystkie piosenki świata nie byłyby w stanie wygenerować takich zysków, jak wejście w dynamicznie rozwijający się rynek podkastów, to Spotify przekonuje się dziś, że tamten etap miał swoje dobre strony. Choć muzycy regularnie udzielali wywiadów, w których pomstowali na niesprawiedliwy podział zysków ze streamingu, firma mogła ich ignorować. Nawet kiedy Thom Yorke – lider Radiohead, to jest zespołu kojarzonego raczej z dźwiękowym liryzmem i intelektualnymi ambicjami – nazywał działalność streamingowej platformy „desperackim pierdem dogorywającego truchła", jej dyrektor generalny Daniel Ek mógł tylko wzruszyć ramionami. Wiedział, że jak długo konflikt z artystami będzie dotykał finansów, słuchacze nie opowiedzą się jednoznacznie po stronie twórców, obawiając się podwyżki abonamentu. Niezależnie od początkowego poziomu frustracji muzycy prędzej czy później kończyli więc bojkotować giganta. Ten ruch nigdy im się nie opłacał.

Od lat pisze o tym Damon Krukowski, wydawca, niegdyś muzyk kultowej grupy Galaxie 500, a obecnie jeden z najważniejszych publicystów opisujących cyfrowy rynek muzyczny. – Spotify podąża ścieżką technologicznych gigantów pokroju Amazona czy Google'a, nieustająco powiększających swoje rynkowe udziały – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem". – W rezultacie oni stali się tak wielcy, że dziś mogą wywierać presję bliską monopoliście. W Stanach Zjednoczonych Spotify ma jedną trzecią udziałów w streamingu, a ten stanowi 83 proc. przychodów generowanych przez cały rynek muzyczny. Oni rządzą tym sektorem – następny duży gracz, czyli Apple, jest od nich o ponad połowę mniejszy. Nie dziwię się więc muzykom, że nie bojkotują Spotify. W końcu jako artysta najbardziej na świecie pragniesz, aby twoja twórczość trafiała do ludzi.

Jak do tej pory, głośne rozstania ze Spotify kończyły się więc zwykle cichymi powrotami. Nawet artyści, którzy zarobili już dość pieniędzy, nie chcieli, aby przylgnęła do nich łatka skąpców, którzy ze względów finansowych odcięli dostęp do swojej muzyki setkom milionów użytkowników. Artyści narzekali więc, ale trwali w tym niewygodnym impasie. Aż do dnia, w którym Joe Rogan zaprosił do swojego programu dwóch koronasceptyków. Choć spotkało się to z szybką i ostrą reakcją środowisk medycznych, wizerunkowe piekło, przez które przechodzi teraz Spotify, rozpętali muzycy. Jako pierwszy za spust pociągnął Neil Young. I nikogo nie dziwi, że właśnie on.

### Żniwa Neila Younga

Weteran fonograficznych batalii i branżowych sporów. Postrach platform streamingowych i zły sen wytwórni płytowych. Genialny rockman szedł na wojnę za każdym razem, kiedy na rynek trafiał nowy nośnik. W rezultacie fantastyczny album Neila Younga „On The Beach" z 1974 r. ukazał się na płycie CD dopiero na początku XXI wieku. Nieposiadający gramofonu fani jeszcze dłużej musieli czekać na koncertowe „Times Fade Away", które ostatecznie trafiło na inne nośniki dopiero w 2017 r. Jeszcze gorzej Young zniósł pojawienie się formatu mp3. Kanadyjczyk był z niego do tego stopnia niezadowolony, że zainicjował powstanie przenośnego odtwarzacza Pono, który miał prezentować muzykę w formacie cyfrowym o wyższej jakości dźwięku.

Nie powinno dziwić, że i platformy streamingowe nie przypadły artyście do gustu. Young już wcześniej wycofywał się ze Spotify, narzekając na słabą jakość dźwięku oferowanej tam muzyki. Na pewien czas rozstał się także z konkurencyjnym Tidalem – tylko dlatego, że platforma, oferując dostęp do jego albumów w wysokiej jakości, nazywała je „taśmami matkami". Kanadyjczyk uznał to za nadużycie, więc trzasnął drzwiami.

W powyższych sytuacjach działania Younga spotykały się z ambiwalentnymi reakcjami. Wielu weteranom folk-rockowej sceny jawił się jako konserwatysta, który nie chce uznać technologicznej rewolucji. Dziś jest inaczej. Bojkot Younga odbierany jest w wielu środowiskach jako bohaterski, ponieważ muzyk zagrał na wyjątkowo czułej strunie.

W Stanach, kraju, gdzie wolność słowa jest świętością, od miesięcy trwa poważna dyskusja na temat problemów z szerzącą się dezinformacją na temat pandemii. Ubrany w nieodzowny kapelusz, niezależny do szpiku kości Young z miejsca zdobył więc sobie przychylność nie tylko muzycznej branży, ale także mediów głównego nurtu. Tym bardziej że jego adwersarz od lat jest na cenzurowanym w wielu redakcjach. Wyluzowany, maczystowski, niezamykający drzwi dla gwiazd prawej strony, a co gorsza, niezwykle popularny Rogan nie od dziś jest solą w oku wielu liberalnych i lewicowych mediów.

Young trafił więc podwójnie. Na niewiele zdały się tłumaczenia podkastera, zwracającego uwagę na specyfikę pandemii COVID-19, kiedy teorie uznawane za bluźniercze potrafią po kilku miesiącach wejść do głównego nurtu medycyny. Kryzysu nie zażegnało też Spotify, przekazując informacje na temat polityki firmy dotyczącej publikowanych przez nią treści. Wśród nich znalazła się obietnica, że platforma zacznie specjalnie oznaczać materiały sprzeczne z naukowym konsensusem i odsyłać użytkowników do źródeł oferujących sprawdzone informacje na temat koronawirusa. Wśród medialnych reakcji na to ogłoszenie nie brakowało głosów, że chwaląca się setkami milionów użytkowników platforma już wiele lat temu powinna wprowadzić transparentną politykę w tym zakresie.

W mediach głównego nurtu temu oświadczeniu poświęcono jednak niewiele uwagi. Suchy PR-owy komunikat przykryły doniesienia o kolejnych rozstaniach ze Spotify. Z usług największej platformy streamingowej zrezygnowali: wybitna kanadyjska artystka Joni Mitchell, folk-rockowa supergrupa Crosby, Stills and Nash oraz gitarzysta Nils Lofgren. (Young, jak i Mitchell mieli dodatkowe powody, by tak zareagować. Oboje w dzieciństwie zachorowali na polio – w ostatniej wielkiej fali tej choroby, przed wprowadzeniem szczepionek). Technologiczny gigant może się pocieszać, że są to w większości współpracownicy lub przyjaciele Younga, niemniej nie wydaje się to uspokajać inwestorów. Portal „Insider" donosił 30 stycznia, że w wyniku tych obaw wartość rynkowa Spotify spadła aż o 12 proc. W ten sposób platforma straciła prawdopodobnie nawet 2 mld dolarów.

### Wsparcie i wyparcie

Jeśli muzycy mieliby podejmować decyzje o dalszej współpracy ze Spotify jedynie na podstawie emocji, niepokój inwestorów byłby niewątpliwie uzasadniony. – Z punktu widzenia muzyka Daniel Ek popełnia gafę za gafą – twierdzi Krukowski. – Nie ma pojęcia, jak rozmawiać z artystami. Nie potrafi nawet udawać.

Szerokim echem odbiła się jego wypowiedź sprzed dwóch lat, w której pouczał on muzyków, że nie mogą nagrywać albumów raz na trzy, cztery lata i myśleć, że to wystarczy. Niezależnie od tego, czy od

strony biznesowej miał rację, jest to dość niestosowny komunikat w ustach kogoś, kto żyje z pracy muzyków. Warto zwrócić uwagę, że wypowiadał te słowa w okresie lockdownu, kiedy wielu artystów ledwo wiązało koniec z końcem. Jeśli im się to jednak udawało, to większa w tym zasługa znacznie mniejszego Bandcamp – platformy umożliwiającej streaming i sprzedaż muzyki, która informowała swoich odbiorców o specjalnych dniach, podczas których cały zysk ze sprzedaży nagrań za ich pośrednictwem trafiał na konta muzyków i wytwórni. Inicjatywa ta spotkała się z dużym odzewem użytkowników, którzy w ten sposób wspierali swoich idoli w najtrudniejszym czasie.

– Platformy streamingowe zmieniły się naprawdę nieznacznie przez ostatnią dekadę, bardzo zmienił się natomiast stosunek do tych korporacji – tłumaczy Krukowski. – Mam wrażenie, że wpłynęła na to również oddolna działalność ruchów i organizacji zawiązywanych przez muzyków. Kampanie takie jak Justice at Spotify w USA czy Broken Record w Wielkiej Brytanii pomogły zrozumieć ludziom spoza naszego środowiska, że w obecnej formule streaming nie jest korzystny dla muzyków.

Jeśli jednak te wszystkie działania: wywiady, apele, artykuły i demonstracje urządzane przed biurami Spotify na całym świecie nie dotarły do przeciętnego użytkownika platformy, jest on właśnie edukowany przez kanadyjskich weteranów folk-rocka. Przynajmniej w bardzo ogólnym zakresie.

– Być może jestem niepoprawnym optymistą, ale mam wrażenie, że ten bojkot ma inną wagę – przyznaje Krukowski. – Tym, co go odróżnia, jest sposób, w jaki trafił do głównego nurtu. Na jego temat dyskutują ludzie zupełnie niezwiązani z muzycznym środowiskiem. Oczywiście wynika to stąd, że dotykamy tu większego problemu – dezinformacji w sieci. Bo przecież nie jest tak, że ludzie nagle zaczęli się przejmować naszymi stawkami.

> Dane dotyczące tego, jakich programów słuchamy, są znacznie cenniejsze dla reklamodawców niż informacje o naszych muzycznych preferencjach.
> **Najcenniejszym kapitałem w cyfrowym świecie jest wiedza o konsumentach.**

### Spotify na wojnie

Jeśli afera wokół podkastu Joego Rogana przyniosła Spotify coś dobrego, to odciągnęła uwagę od innego potencjalnego kryzysu wizerunkowego. W listopadzie 2021 r. Ek poinformował za pośrednictwem konta na Twitterze, że założona przez niego Prima Materia zainwestowała 100 mln euro w technologiczną firmę Helsing. Specjalizuje się ona w wykorzystaniu sztucznej inteligencji w sektorze zbrojeniowym. Brytyjsko-niemiecka firma deklaruje, że przewaga na polu bitwy uzyskana dzięki szybszemu przetwarzaniu sygnałów i innych informacji będzie wykorzystywana jedynie w celu „obrony liberalnych demokracji". Dlatego, jak donosił „Financial Times", Helsing planuje sprzedawać swoje technologie wyłącznie armii francuskiej, niemieckiej i brytyjskiej.

Choć skala reakcji na to ogłoszenie była nieporównywalnie mniejsza niż odzew na bojkot Spotify przez Neila Younga, decyzja o finansowaniu Helsing spotkała się z ostrą krytyką niektórych środowisk. W jej wyniku z bazy Spotify znikną cały katalog zasłużonej monachijskiej wytwórni Ilian Tape specjalizującej się w muzyce elektronicznej. Wraz z nią użytkownicy stracili dostęp do albumów słusznie wielbionego przez krytykę producenta – Skee Maska. Informując fanów o tej decyzji, artysta napisał: „Jeśli rzeczywiście nie macie pieniędzy, aby słuchać mojej muzyki w inny sposób, nie krępujcie się i po prostu pobierzcie ją nielegalnie z sieci. Nie oddawajcie jednak ostatniego pensa wielkiemu biznesowi, dla którego rozwój przemysłu zbrojeniowego jest niewątpliwie ważniejszy niż rozwój branży muzycznej".

Ale doświadczenie kilkunastu lat streamingu każe przypuszczać, że nawet dwa niezależne od siebie bojkoty nie doprowadzą do załamania tego sektora przemysłu muzycznego. W obecnej sytuacji rynkowej nie byłoby to zresztą dobre rozwiązanie dla artystów.

– Uważam, że rynek streamingu powinien doczekać się regulacji na takiej zasadzie, na jakiej obowiązują one chociażby nadawców radiowych – tłumaczy Krukowski. – Platformy streamingowe wykręciły się od wszelkich istniejących unormowań, tłumacząc, że nie powinny mieć one zastosowania w przypadku nowego medium. Nic prostszego, stwórzmy nowe regulacje! Sam nie mam nic przeciwko temu, aby streaming był jednym ze sposobów dzielenia się muzyką. Jednak ten system musi być uczciwy, by nieść wkład w rozwój sztuki i gospodarki.

Być może paniczne reakcje inwestorów na odejścia Younga czy Mitchell dadzą muzykom argumenty, by zaprosić reprezentantów Spotify do podjęcia wyczekiwanych negocjacji. A co do samego bojkotu, stawiałbym jednak na to, że Neil Young i tym razem powróci na łono Spotify. Nie dlatego, że się ugnie. Dlatego, by móc w przyszłości znów trzasnąć drzwiami.

© JAN BŁASZCZAK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

**OGÓLNOKLUBOWE,** środa, 9 lutego
Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim – redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego",
cykl: Piszą w „Tygodniku" / online /

**OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek, 14 lutego
„Samo sumienie nie wystarczy",
dyskusja nad książką ks. Andrzeja Szostka
„Uczestniczyć w losie Drugiego" / online /

REZERWUJ CZAS!

**OGÓLNOKLUBOWE,** wtorek, 15 lutego
Wspólna rozmowa zainteresowanych członków Klubów na temat „Klerykalizm: symptomy, recepty na wyzdrowienie", cykl: Przestrzeń Spotkania / online /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

J. ZAREMBA / F. ĆWIK / J. MAJEWSKI / C. CASLAVINIERI / MATERIAŁY PRASOWE

*Piotr Bukowski, Mikołaj Trzaska, Hubert Zemler i Andrzej Stasiuk*

# Wir

KAJETAN PROCHYRA

**Serce bije na trzy. Bum-bum-trzy. Bum-bum-trzy. Jeśli bije idealnie równo, to znak, że coś jest nie tak – że ciału nie starcza czasu, by odpowiedzieć. Puls, rytm to nie matematyka.**

W muzyce Zachodu, w tzw. muzyce poważnej rytm został pozbawiony funkcji wywoływania napięcia – mówi perkusista Hubert Zemler, który z gitarzystą Piotrem Bukowskim tworzy duet Opla. Trans powraca dopiero w połowie XX wieku, gdy kompozytorzy, głównie amerykańscy, np. Terry Riley czy Steve Reich, zaczynają się interesować brzmieniami Afryki, Indii czy balijską muzyką gamelanową.

– A i u nas to znikło: dlaczego oberki są na trzy, a disco polo na cztery? Bo żywych muzyków zastąpiły maszyny – tłumaczy Zemler. – Cepem pracowało się w trzy osoby: ta-ta-ta, ta-ta-ta. Gdy ktoś złamał rytm, to dostawał cepem w łeb. Tak samo kowale pracowali we trójkę. Ten trójdzielny rytm jest w nas wpisany: masz dwie nogi, więc to „trzy" tworzy pierwszą synkopę, która sprawia, że tańczysz: każde wybicie się poza marsz jest tańcem. Dla mnie jako perkusisty uzyskanie tego napięcia dzięki małym zmianom, odnalezienie transu, to fascynująca przestrzeń.

Duet Opla pracuje nad przywróceniem ludowej surowości i transu nie poprzez rekonstrukcję, a przełożenie jej na język współczesny: na perkusję i gitarę elektryczną. Tak powstała pierwsza płyta Zemlera i Bukowskiego „Obertasy". Pod koniec ubiegłego roku ukazała się druga: „Opla Stasiuk Trzaska". To właśnie pisarz Andrzej Stasiuk pokazał kilka lat temu Piotrowi Bukowskiemu nagrania terenowe nieocenionego dokumentalisty polskiej muzyki wiejskiej, malarza Andrzeja Bieńkowskiego. Premiera „Obertasów" też odbyła się u Stasiuka, w Wołowcu, na polu, w Noc Kupały.

– Po prostu zbiliśmy scenę z desek leżących koło drewutni. Przyszli ludzie, dużo ludzi. Pomyśleliśmy wtedy, by za rok spotkać się o tej samej porze i wspólnie z Andrzejem nagrać kolejną płytę.

### Eter

– Czujesz, że tam kiedyś byli ludzie. Za Wołowcem jest miejscowość, która istnieje już tylko z nazwy: Nieznajowa. Została tam taka chatka, z której czasem korzystają turyści – opisuje Zemler. – Przed wojną to była wieś na dwa tysiące ludzi, z dwiema cerkwiami i elektrownią wodną. Przychodzisz, nie ma po tym śladu. Gdzieś tam wystają jeszcze krzyże prawosławne, które kiedyś stały przed chatami.

I dodaje: – Podczas akcji „Wisła" tamtejszą łemkowską i bojkowską społeczność porozwożono po całej Polsce i nie tylko. Teraz, kiedy chodzi się po tych górach, w błocie, bo wszędzie są jakieś małe strumyczki, kiedy patrzy się na mgły unoszące się spod lasów, można mieć wrażenie, że tam natura pokonała człowieka.

Zemler, Bukowski, Stasiuk oraz współpracujący z nim od lat saksofonista i improwizator Mikołaj Trzaska na trzy dni zamknęli się w szałasie-pracowni Stasiuka. Towarzyszyła im też ekipa filmowa, która przygotowała impresję z tego spotkania zatytułowaną „Eter", dostępną na YouTubie.

– Łemkowie, którzy tam wciąż jeszcze mieszkają w okolicy, mają taki zwyczaj imprezowy, że hmm... piją eter. Mówi się na to „kropka". Nie zamierzam tego próbować, ale trzeba to wypić szybko: od razu połknąć i beknąć. Jak nie bekniesz, to się zatrujesz. I potem się chodzi po ścianach: po kilku godzinach od spożycia kropki człowiek budzi się na polu albo na drzewie.

### Ssak z muzyką

– Słowa, które towarzyszą tej płycie, są znaczące. Wszystkie utwory poza jednym noszą tytuł „OST", czyli Opla, Stasiuk, Trzaska, ale też roślina, no i Wschód – tłumaczy Zemler. Utwór drugi, „Wir", to trwający ledwie 50 sekund fragment spaceru po łące, na który z instrumentami wybrali się Trzaska i Zemler. – Prawie cały czas lało, siedzieliśmy w kaloszach, śmierdzieliśmy dymem od ogniska, tylko na kawie, herbacie i jakimś opieczonym chlebku. Graliśmy cały czas.

Za sprawą Stasiuka w muzyce Opli zagościł też głos.

– Stasiuk ma ewidentny kompleks niebycia muzykiem rockowym. Lubi postawić nogę na odsłuchu, podoba mu się mikrofon i to, że może mówić bezczelne teksty do publiczności. Lubi tę nonszalancję rock'n'rolla. Beznadziejnie śpiewa, fałszuje, ale ma piękny radiowy głos i znakomitą, niebywałą rytmikę – wylicza wieloletni przyjaciel pisarza Mikołaj Trzaska. – Jego frazy w książkach wynikają z tego, jak mówi: kiedy czytam książki Andrzeja, słyszę w głowie jego głos, jego frazę. Uwielbiam z nim występować. Słynny zoolog Konrad Lorenz pisał, że człowiek jest jedynym ssakiem, który w wieku dorosłym nie potrafi się bawić: psy się potrafią bawić, miziać, kłaść na grzbiecie, podskakiwać z radości, a człowiek nie. Muzyka robi z człowieka dziecko, czyni go w jakiś sposób świętym, otwartym, żywym. I Stasiuk jest na to niezwykle wrażliwy. Gdy słyszy muzykę, to oko mu się zaświeca, jest w siódmym niebie: zaczyna śpiewać, przestaje się kontrolować – to jest cudowne. Myślę, że to mamy podobne, tylko że on działa rzeczywiście zupełnie nieodpowiedzialnie.

– Andrzej wpadł na pomysł, że może podpalimy mu łąkę. My zrobiliśmy z Piotrkiem wielkie oczy, a filmowcy tylko: „yhm, tylko będziemy musieli wziąć inne filtry do obiektywów, bo inaczej się to dobrze nie nagra". Na szczęście schowaliśmy kanistry z benzyną i nie doszło do tego – wspomina Zemler – ale był wir.

### W niebieskich cajgach

W gęstwinie dźwięku gitary, saksofonów, klarnetów i pulsu perkusji na płycie „Opla Stasiuk Trzaska" wybrzmiewają opowieści o dziadku pisarza, sołtysie Stanisławie.

„Kiedy mój dziadek wchodził na podwórze, uciekali zwierzęta i ludzie. Był raptusem. Był bardzo gwałtowny. Nie było zmiłuj. Lał swoich czterech synów tak, aż mięso odchodziło od kości. (...) Nie znosił sprzeciwu. Tylko mnie brał na kolano, jako swojego wnuczka, i godzinami kołysał i się wdzięczył. I jego twarz się odmieniała. Miał twarz bardzo polską, podobną do... bardzo podobny do papieża był, tak. Tak wyglądał: mniej więcej jak Polak ogólny, czyli nasz papież – mówi na płycie Stasiuk. – Kiedy zaczynał się maj i wszystkie majowe nabożeństwa, jak kraj długi i szeroki, jeszcze widać na wsiach pod kapliczkami klęczą stare kobiety z wnuczkami, z małymi dziewczynkami, które przyuczają do tego kultu, ale to u niego w domu się odbywały: był ołtarz, była Matka Boska niebiesko-biała i kolorowe kwiaty z krepiny i przychodziło 20-30 kobiet, zamiast pod kapliczkę na rozstajach, przychodziły do dziadkowego domu i on był przewodnikiem modłów. I ten piekielnik, który nie znosił sprzeciwów, którego naturą była przemoc, raptem zaczyna: *Kyrie eleison Christe eleison*, w tych swoich niebieskich cajgach, na kolanach i te przepiękne wszystkie imiona Matki Boskiej Loretańskiej wymieniał, te wieże z kości, te domy złote, te cuda, o których nie mógł mieć pojęcia, bo jak on mógł mieć pojęcie o kości słoniowej? O złocie może? I się cudownie przepoczwarzał. Leciał do nieba. Ta jego sucha, polska, zacięta twarz doznawała czegoś takiego, czego ja bym chciał doznawać, że odpływał, fruwał, te baby ledwo za nim nadążały" – muzyka zaczyna unosić słowa Stasiuka.

### Królowa

W drugim mówionym utworze Andrzej Stasiuk sam prowadzi modlitwę do Maryi: „Królowo nocy, królowo dnia, królowo duszy, królowo ciał".

Trzyma książeczkę do modlitwy i wymienia, jak w transie, imiona Matki Boskiej. Za chwilę znów wraca do dzieciństwa.

„Miałem sześć lat albo pięć i rodzice prowadzili mnie do kościoła na placu Szembeka w Warszawie. I było tam przedstawienie Matki Boskiej w pozie bizantyjskiej, czyli z rozchylonymi kolanami, w błękitnej sukni, spływającej aż do stóp. Jako pięcioletni chłopiec wyobrażałem sobie, co ma pod suknią. (...) Teraz wyobrażam sobie, że wszyscy mężczyźni tego świata, wszyscy papieże, wszyscy księża, wszyscy biskupi, cały ten męski staff, cała ta załoga, nie wyobraża sobie niczego innego, kiedy przed nią klęka: w ukorzeniu, w poddaniu, w uwielbieniu" – mówi, pisze, śpiewa Stasiuk.

– Nie podoba mi się ta myśl o rozbieraniu wzrokiem Maryi z figury, czy jakiejkolwiek innej kobiety, i nie bardzo podoba mi się nieprawdziwe dyskutowanie relacji bioder i pełnego ciała z możliwością rodzenia, ale z kolei intuicja, że jest coś obsesyjnego w relacji księży i zakonników do wyidealizowanej Maryi, jest już chyba trafna – komentuje teolożka Zuzanna Radzik. – Z pewnością trafia do mnie odzyskiwanie kobiecości Maryi, wydobycie jej z tej dziewczynkowatej postaci, urealnienie. Rozważania o prawdziwym ciele, przywracanie cielesności i realności dobrze służy postaci Marii z Nazaretu: ogrywa jej odrealnienie i może nawet ogrywa ten potencjalnie lepki męski wzrok, który się w nią wbija. Ogrywa też użytek robiony z tej postaci w tylu innych celach – dodaje.

– On rzeczywiście chce zrobić swój własny, schizmatycki Kościół Maryi, gdzie sobie sam, na taki polski obraz będzie tę Maryję czcił – komentuje Trzaska. – Strasznie fajne to było i takie bez oceny: zbudowane tylko na napięciu, energii, zmysłach, na pamięci emocji z tamtych czasów: co to komu robiło.

Saksofonista wspomina: – Hubert i Piotrek wymyślili, co i jak, że muzyka będzie oparta na tych obertasach, no i Andrzej. Ja przyjechałem jako taki pozorant: po prostu usiadłem, zacząłem grać bez głowy, bez myśli. Przyjechałem na to nagranie w jakimś takim złym stanie. To jest niesamowite, że taki kryzys można zarejestrować i przemienić na akt twórczy... Przepraszam, co za duże słowa! W moim wydaniu – przemienić na dmuchanie w rurę... Patrzę teraz z podziwem, jak chłopaki wybrali spośród tego barachła, które grałem, jakieś fragmenty melodii, strzępy i coś fajnego się z tym dzieje, coś się znajduje fenomenalnego.

– Andrzej jest zafascynowany wiejskimi modlitewnikami: zbiera je, nawet sobie kupił taką Maryjkę i postawił w tej chacie, gdzie pisze. I to nie jest broń Boże prześmiewcze – mówi Hubert Zemler. – Wszystko to jest trochę pogańskie, to jakiś rodzaj mistycyzmu ponad jakąkolwiek religią: muzyka i tekst spotkały się tu w jednym wspólnym miejscu. ©

# W szarej strefie

ANITA PIOTROWSKA

**Każde fałszywe oskarżenie o gwałt może szkodzić sprawie MeToo, ale i każdy film próbujący pokazać problem w nieco innym świetle może zostać uznany za niezgodny z ideami tego potrzebnego ruchu. Yvan Attal ryzykował więc sporo.**

Z pobieżnych streszczeń można by wnioskować, że film Yvana Attala jest efektem backlashu – konserwatywnej reakcji na MeToo, odbywającej się również na gruncie kina. Że „Oskarżony" w najlepszym razie problematyzuje, a nawet relatywizuje gwałt. W takich przypadkach istotne jest zarówno to, kto w filmie przemawia zza kamery, jak i to, kto go ogląda. Czyli perspektywa płci, światopoglądu, życiowych doświadczeń.

Tu akurat trudno zarzucić reżyserowi męskocentryczny punkt widzenia – scenariusz pisał wraz z Yaël Langmann na podstawie powieści Karine Tuil z 2019 r., nagrodzonej francuskojęzycznym Goncourtem. Do współpracy zaprosił także doświadczoną montażystkę Albertine Lasterę. Co do pozostałych okoliczności, udała się rzecz wyjątkowa i dziś szczególnie trudna: film nie zajmuje twardego stanowiska, a jednocześnie nie stosuje prostych uników. Za to w roli tytułowej obsadził reżyser własnego syna, Bena Attala, zaś rolę jego matki powierzył matce aktora i zarazem swojej życiowej partnerce, Charlotte Gainsbourg. I ma to swoje konsekwencje.

Historia komplikuje się już w punkcie wyjścia. Telewizyjny dziennikarz i celebryta (Pierre Arditi) w momencie, kiedy ma otrzymać order Legii Honorowej, dowiaduje się, że jego syn został zatrzymany pod zarzutem gwałtu. Alexandre, obiecujący student Uniwersytetu Stanforda, miał dokonać tego czynu na siedemnastoletniej Mili (Suzanne Jouannet), która jest córką nowego partnera jego matki. I na dodatek religijną żydówką. Chłopak próbuje dowieść swej niewinności, dziewczyna przeżywa traumę, a jedni i drudzy rodzice, co naturalne, stają murem za swoimi dziećmi. Nawet matka domniemanego sprawcy, znana – jak na ironię – feministyczna eseistka, postanawia bronić syna za wszelką cenę. Chłopakowi grozi piętnaście lat więzienia.

Namnożenie tych problemów z czasem znajduje zasadność. Uruchamiają one bowiem istotne konteksty społeczne (rodzina chłopaka to wpływowa paryska burżuazja) czy kulturowe. Wiemy na przykład, że oskarżony prowadził się nader swobodnie, jego ojciec ma reputację kobieciarza i zachowuje się jak typowy „tłumaczysta", a matce zarzuca się rozbicie innego małżeństwa; tymczasem Mila pochodzi ze środowiska, gdzie panuje kult dziewictwa i rodziny. Niemal każda scena i każdy detal dokładają znaczących informacji oraz przesuwają punkt widzenia to w jedną, to w drugą stronę. Skoro Alexandre ma ciągoty intelektualne i ładnie gra na pianinie, zapewne nie byłby w stanie dopuścić się gwałtu; skoro bywa arogancki, wysyła pieprzne esemesy i czyta do poduszki transgresyjnego Bataille'a, musi mieć skłonność do zachowań przemocowych – mniej więcej w ten deseń. Tylko co tak naprawdę zdarzyło się w altance śmietnikowej podczas młodzieżowej imprezy?

Film podzielono na rozdziały i drugi z nich nosi tytuł „Ona". Poznajemy więc sprawę bardziej od strony Mili – nastolatki pod presją judaistycznej tradycji. Zanim wraz z matką zgłoszą gwałt na policję, zapytają o radę rabina. A może dziewczyna zmyśliła wszystko, chcąc odzyskać ojca, któremu nowy związek w sytuacji, gdy „twój syn zgwałcił moją córkę", właśnie zaczyna się sypać? Albo zemściła się za doznane upokorzenie?

Attal pokazuje, z jaką łatwością chwytamy się kolejnych podsuwanych nam na tacy argumentów, żeby zobaczyć na ekranie swoją wizję świata. I dotyczy to zarówno położenia Mili, jak i Alexandre'a. Scenariusz zbudowany został na kształt kameralnej sądowej batalii „słowo przeciwko słowu", a trzecia część „Oskarżonego" już dosłownie przenosi nas na salę rozpraw.

Fascynujący jest sam ekranowy proces tworzenia rozmaitych, często sprzecznych portretów psychologicznych obojga bohaterów. W sądzie konstruują go wedle swoich reguł świadkowie i eksperci (oskarżyciel, obrońca, psycholog). W filmie Attal coś nam podpowiada, podrzuca kolejne tropy i zarazem zachęca do kontrolowania własnej percepcji. Chodzi o to, żebyśmy nie wyrokowali zbyt pochopnie, pod wpływem własnych wyobrażeń i osobistych sympatii. Bo są momenty, gdy pozycja Alexandre'a czy Mili zmienia się nagle o 180 stopni. Sprzyjają temu wyrafinowane strategie oskarżenia czy obrony, w której druga strona zostaje zapędzona pytaniami w kozi róg i nieświadomie zaczyna grać przeciwko sobie.

Grzebanie w życiu prywatnym celem znalezienia haków, szukanie towarzysko-

RADIO KRAKÓW
**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".** Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM
Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
**www.radiokrakow.pl**

JÉRÔME PRÉBOIS / GALAPAGOS FILMS

*Charlotte Gainsbourg i Pierre Arditi w filmie „Oskarżony”*

-politycznych powiązań między rodziną „strony” a świadkami, miażdżąca retoryka – to wszystko w „Oskarżonym” wyznacza charakterystyczne dla dramatu sądowego napięcia i punkty zwrotne. Widać też, że język bywa czasem złym doradcą. Kiedy na przykład ojciec przed sądem bierze w obronę syna, używając „dziaderskiej” argumentacji i frazeologii, brzmi wówczas niczym typowy adwokat diabła i oddaje w gruncie rzeczy niedźwiedzią przysługę. Dlatego nie chodzi o to, by widz stał się samozwańczym sędzią, a raczej by dostrzegł mechanizmy manipulowania i gospodarowania prawdą.

Lecz tak jak każde fałszywe oskarżenie o gwałt może szkodzić sprawie MeToo, tak każdy film, który próbuje pokazać problem w nieco innym świetle, może zostać uznany za niezgodny z ideami tego potrzebnego ruchu. Attal ryzykował więc sporo, chociażby obsadzając swoją rodzinę po jednej ze stron konfliktu, co automatycznie określa albo przynamniej sugeruje, jakie przyjął stanowisko. Możliwe, że urodzony w Tel Awiwie francuski reżyser załatwia również tym filmem swoje porachunki z żydowską tradycją, choćby polemizując z okrucieństwem ukazanego na ekranie „salomonowego prawa”. Jednemu trudno zaprzeczyć – znany wcześniej jako aktor, a potem twórca komedii, nakręcił ten dojrzały, wieloznaczny obraz z pełną świadomością wagi (i w tym przypadku całej złożoności) tematu. Niuansując kwestie wrażliwe i drażliwe, usiłował mimo wszystko „nie zdradzić sprawy”.

Spowodował jednak, że przez dwie godziny i kwadrans widz grzęźnie w szarej strefie. Między tak zwanym gwałtem okazjonalnym a nieudaną randką, między „prawdą sądową” a prawdą obiektywną, między projekcją winy a identyfikacją z ofiarą. I musi sam się z tego wyciągnąć za włosy. Ponoć inspiracją dla francuskiego filmu było „Dwunastu gniewnych ludzi” (1957) Sidneya Lumeta, wyczuwa się też duszny zapach irańskich filmów Asghara Farhadiego. Bierze z tego Attal raczej intelektualną szermierkę niż emocjonalną temperaturę, lecz przecież – i o tym też jest film – bardzo trudno oddzielić sądy od emocji. A najgorsze, że przynosi to fatalne następstwa dla wszystkich postaci dramatu. ©

**OSKARŻONY** *(Les Choses humaines) – reż. Yvan Attal. Prod. Francja 2021. Dystryb. Galapagos Films. W kinach.*

WARTO ZOBACZYĆ

## 1. Sędziowie pod presją

*Dokumentalny, reż. Kacper Lisowski, Polska 2021, MOJEeKINO*

**To rzadki w dzisiejszym polskim kinie przypadek, kiedy kamera trzyma puls aktualnych wydarzeń społeczno-politycznych. I powstaje z tego coś więcej niż publicystyka. Rejestrując batalię o niezawisłe sądy, twórcy dokumentu skupiają się na jej głównych bohaterach, jak Igor Tuleya czy Waldemar Żurek. Film powstał z niezależnych środków.**

## 2. Noc Królów

*Dramat, reż. Philippe Lacôte, Francja/Kanada/Senegal/Wybrzeże Kości Słoniowej 2020, VoD*

**Kino afrykańskie w fascynującej odsłonie. Z zatłoczonego więzienia w Abidżanie, w którym reguły ustanawiają sami więźniowie i toczy się właśnie kolejna walka o władzę, przenosimy się w świat mitycznych opowieści i lokalnych wierzeń. Polityczny kontekst miesza się z realizmem magicznym, a zapętlona narracja wypełnia się surrealistyczną wyobraźnią.**

## 3. Spirits in the Forest

*Dokumentalny, reż. Anton Corbijn, Pasqual Gutierrez, John Merizalde, USA 2019, iTunes Store, Player*

**Słynna trasa koncertowa Depeche Mode z lat 2017-2018 przyniosła 130 występów na całym świecie. W filmie fenomen zespołu, liczącego już ponad 40 lat, pokazany został z perspektywy sześciu jego fanów z bardzo różnych miejsc naszego globu. Jak wyglądało dorastanie zagorzałych „depeszowców”? W jaki sposób ta muzyka i jej przekaz wpłynęły na ich życie?**

## 4. Jeźdźcy sprawiedliwości

*Komediodramat, reż. Anders Thomas Jensen, Dania/Szwecja 2020, VoD*

**Reżyser „Jabłek Adama” z pomocą m.in. Madsa Mikkelsena w błyskotliwy sposób opowiada, jak gniew, cierpienie czy spiskowa wizja rzeczywistości mogą zniekształcać jej widzenie. Weteran wojenny z Afganistanu po śmierci żony w zamachu musi zmierzyć się nie tylko z samotnym ojcostwem, ale także z mrokami własnej duszy. Na szczęście nie jest w tym sam.**

JAN

# Klata:
## *Krzyżowy ogień pytań*

Ostatnio na planecie Ziemia pojawił się ogromny problem: czy aktorzy mogą grać kogoś, kim nie są? Wielka Helen Mirren została przywołana do porządku przez koleżankę z castingu, że ośmieliła się zagrać Goldę Meir pomimo braku odpowiedniego pochodzenia. Mirren jest angielską damą pochodzącą z rosyjskiej arystokracji. Zaprosiła właściwego pochodzenia koleżankę do przedyskutowania sprawy przy herbacie, zauważając jednocześnie, że warto może poczekać na premierę filmu. Kto powinien zagrać kogo? Oto jest pytanie, coraz mniej merytoryczne, a coraz bardziej ideologiczne. Aktorzy niesłyszący oburzają się, że słyszący aktorzy grają postacie, które nie słyszą, aktorzy-geje starają się zabronić niegejom grania ról homoseksualistów – wkrótce nie będzie już filmów fabularnych, tylko dokumentalne.

Teresa Budzisz-Krzyżanowska swego czasu u Wajdy zagrała Hamletę. Trudno mi powiedzieć, czy była bulwersacja na widowni, byłem naonczas małym chłopcem, ale teraz zapewne Hamleta u Wajdy musiałby zagrać Duńczyk. Czy Ian McKellen w roli Gandalfa to nie skandal? Jak powinien był wyglądać casting do roli Chewbakki? Czy George Lucas powinien był się udać na planetę Kashyyyk i tam poszukać aktora o odpowiednim pochodzeniu? Casting na R2D2 też nie był właściwy, nieprawdaż? Czy Aleksandra Śląska miała moralne prawo grać Włoszkę w „Królowej Bonie"? A Grigorij Saakaszwili z „Czterech pancernych i psa"? Czy Włodzimierz Press urodził się w Kwiriketi?

Wszystkie filmy biograficzne powinny być albo autobiograficzne, albo zakazane. Jeśli chodzi o teatr, właściwie we wszystkich tekstach klasycznych mamy do czynienia z wołającym o pomstę do nieba kulturowym przywłaszczeniem. To się musi skończyć! Edypa ma grać Grek, najlepiej starożytny, Makbeta Szkot, a Tamerlana – Tamerlan (i to wielki). Tyle rzeczy w kulturze trzeba postawić z głowy na nogi, tyle było nadużyć... A co z Dominiką Bednarczyk w roli Konrada? Chyba kurator Nowak ma rację, że to się po prostu nie godzi. ©

# Lektor:
## *W innym świecie*

▪ *Urszula Honek*
**BIAŁE NOCE**
*Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022, ss. 158*

Wchodzimy w ten świat od pierwszych stron jakby z zaskoczenia, nie wiedząc, kto opowiada, i kim byli Pilot i Andrzej, których opowiadający wspomina – wiemy tylko, że obaj już nie żyją. Potem opowiadać będą inni, także i ów Andrzej, na niektórych patrzeć będziemy oczami zewnętrznego narratora, aż się zorientujemy, że ten wielogłos tworzy jedną historię. Na okładce autorstwa Alicji Białej barwne nici oplątują bezlistną koronę drzewa – i otrzymaliśmy właśnie taki splot, trzynaście opowiadań to właściwie powieść, tyle że ułożona z epizodów poza porządkiem chronologicznym, za to spojona miejscem, w którym się rozgrywa, postaciami, które kolejno wychodzą na scenę, i mrocznym, dławiącym klimatem. Jesteśmy jakby poza czasem, w przestrzeni, w której umarli mają jednakie prawa z żywymi, a równocześnie w realnym, z wielką wrażliwością opisanym pejzażu beskidzkiej wsi. Można go poczuć, dotknąć, jakby kto chciał – także i odnaleźć, szukając choćby, gdzie jest szwedzka mogiła, gdzie cmentarna górka w Rożnowicach, gdzie mógł stać dom, z którego Eleonora patrzyła w stronę Binarowej, i o jakim miasteczku nad Ropą mowa.

To jest czuła książka o zawiedzionych uczuciach, o życiowych klęskach i w końcu o śmierci. Ostatnia, trzynasta jej część – „Pogrzeb" wydaje mi się nie tylko finałem, ale i zarazem fundamentem całości. Bo pożegnanie Eleonory, dziewczyny, która wraz z siostrzyczką Helenką zginęła w absurdalnym pożarze wznieconym przez piorun, odbywa się przed większością opisanych wcześniej wydarzeń i gromadzi także tych, o których wiemy już, że także umarli – w niejasnym wypadku, śmiercią samobójczą, od choroby. Pusta trumna – bo ciała Helenki nie odnaleziono – już jakby na nich czekała.

„Białe noce" to prozatorski debiut – i piękny jest to debiut – Urszuli Honek, która wcześniej wydała trzy tomy poetyckie. Leży przede mną trzeci z nich, opublikowane w ubiegłym roku „Zimowanie", na którego okładce znalazł się z kolei obraz Karola Palczaka „Śliwy", nastrojem i tajemnicą bliski pisaniu autorki. A wiersze z „Zimowania" sporo łączy z prozą „Białych nocy". Także dlatego, że niektóre postacie pojawiają się w obu książkach. „Eleonorze najpierw zapaliły się włosy", Helence „śni się malinowy ogród i buczenie owadów", a pies Pimpek – nie zapominajmy i o nim, w „Dzwoneczku" towarzyszy małej Dorotce, która będzie musiała zmierzyć się ze śmiercią babci – „niedługo umrze, / pysk mu już posiwiał". ©℗

PAWEŁ

# Bravo:
## *Skuleni w ciszy*

Pięćset czerwonych róż – czy tyle wystarczy na przeprosiny, kiedy ktoś cię niechcący uśmierci? Naczelny paryskiego „Le Monde" błagał w ten sposób w 1988 r. o wybaczenie Monicę Vitti, ponieważ jego jakże solidna gazeta podała wiadomość, jakoby aktorka zmarła w wyniku przedawkowania barbituranów. Cóż za tandetne skojarzenie z Marilyn Monroe, którą Vitti, owszem, raz zagrała w sztuce Arthura Millera „Po upadku" (u nas na deskach Dramatycznego tę rolę wzięła Elżbieta Czyżewska i jest to skądinąd paralela warta zadumy). Ale aktorka „tak naprawdę" była osobą pogodną, temperamentną i z dystansem, a Włosi ją znają raczej z ról w lekkich produkcjach, o tytułach takich jak „Pas cnoty" czy „Dziewczyna z pistoletem".

Francuski redaktor nie był tak całkiem w błędzie, bo już 30 lat temu Vitti praktycznie znikała z tego świata za coraz grubszą szybą choroby zżerającej mózg. Tydzień temu śmierć ciała dopełniła procesu, a ja z tej okazji dowiedziałem się od znacznie młodszej osoby, zanurzonej po szyję w tzw. kulturze wysokiej i bywałej w świecie, która jednak nie znała tego nazwiska, że teraz nikt „Przygody" czy „Zaćmienia" nie ogląda „z własnej woli". Hmm, nie pamiętam, co mnie skłoniło, by pierwszy raz pójść na film Antonioniego, ale na pewno był tam lekki przymus albo przynajmniej czyjś nacisk. Malutki tylko procent genów odróżnia nas od szympansa i żeby to się uwydatniło, trzeba nieco przymusu. Nie chcieli tego przyjąć do wiadomości np. zbuntowani studenci w maju 1968 r., gdy doprowadzili do przerwania festiwalu w Cannes, kiedy Vitti akurat była przewodniczącą jury. Zadymą kierował François Truffaut, może się potem tego wstydził.

Jeśli kryterium tego, co piękne, dobre i ważne miałaby być jedynie własna wola potencjalnego odbiorcy, to szybko zapadłaby w naszej przestrzeni cisza. Cisza będąca negatywnością, pusta, a nie aktywne milczenie, którego mistrzynią była i na zawsze zostanie Monica Vitti. Kiedy siadałem do nowego przekładu list dialogowych „Nocy" i „Przygody", spodziewałem się dość lekkiej pracy, bo zaiste w filmach tych gadania jest niewiele. Czekał mnie jednak zawód. Robota była frustrująca: po pierwsze to upokorzenie, kiedy rzemieślnik słowa zderza się z dziełem, które uwypukla żałosną nieskuteczność słów w wyrażaniu czegokolwiek, co ma życiowe znaczenie. Słowa w większości sytuacji międzyludzkich, jakie tworzy Vitti w filmach Antonioniego, to tylko przypadkowe, chrzęszczące pod butami śmiecie. Z drugiej strony w jej milczeniu kłębi się nieustannie tak wiele, nieraz sprzecznych, rzeczy naraz, że brzmienie nielicznych zdań, które przechodzą jej przez gardło, musiało w przekładzie otrzymać dopracowany, muzyczny, ponadznaczeniowy sens, żeby domknąć pięć poprzednich minut, kiedy pozornie „nic się nie działo".

W tej ciszy dzieje się mnóstwo, to nie jest medytacyjne wyzerowanie świadomości na orientalną modłę, tylko drżące skulenie się przed egzystencjalnym zimnem. Monica Vitti była zmarzluchem i w domu zwali ją „siedem kiecek" (posłuchajcie tej cudnej frazy: *sette sottane*), bo musiała być zawsze porządnie opatulona. Jeśli ona beznadziejnie marzła na Sycylii, gdzie spędziła dzieciństwo, to co dopiero ja, biedny, udręczony mokrym mazowieckim śniegiem zawiewanym pod kołnierz w tej trwającej już o dwa miesiące za długo zimie. Stoimy po pas w takim bajorze szarości, że nawet moje koty, zwykle aktywne od świtu, wstają żebrać o śniadanie po dziewiątej.

Wyciszam receptory: zarówno te odpowiedzialne za przekaz ciepła drugiego ciała, jak i te przyjmujące smaki lub zapachy zdolne przyspieszyć na chwilę puls mocą iluzji potężnej jak sok z prawdziwych malin w gorącej herbacie. Nie chcę się dalej oszukiwać. Późna zima smakuje korzeniem i kaszą, kwaśną kapustą i zwiędłą cebulą na słoninie. Cóż z tego, że dodasz pasternaku albo rzepy, żeby ziemniak pieczony lub roztarty na purée mniej smakował piwnicą? Ile razy to zadziała? Możesz dosypać dużo rozmarynu i wkręcić podwójną porcję masła, ale arsenał sztuczek i tak się potem wyczerpie. Cóż z tego, że książki o zdrowotności kiszonek zajmują długą półkę w kuchni, skoro te słoje to tak naprawdę warzywne mauzoleum: mumie zeszłorocznych ogórków litościwie podtrzymane przez ferment? Ile razy goździki, kardamon, cynamon i miód przekonają cię, że grzane wino to jest równie miła rzecz jak świeże, trawiaste sauvignon popijane w upale na tarasie?

Czekanie na to, aż minie piąta pandemiczna fala, zbiega się w tym roku z oczekiwaniem pierwszych symptomów światła, zieleni i jako takiej żywotności. Na razie z tego zimna i melancholii, jak mówiła bohaterka „Czerwonej pustyni", bolą mnie nawet włosy. ©℗

SERGHEI PLATONOV / ADOBE STOCK

*Do marnych – ale czy stać nas w lutym na lepsze? – sposobów na oszukanie zimy nieźle nadaje się cykoria, czyli endywia belgijska. Zawsze można ją po prostu upiec w połówkach, jest wtedy piękna i ma miłą goryczkę. Mając więcej czasu, możemy zrobić taki dość wyrafinowany dodatek do mięsa: topimy na patelni z grubym dnem trzy łyżki masła, dodajemy dwie łyżki cukru, który lekko rumienimy, następnie dwie pestki kardamonu, i podgrzewamy kilka minut. Zdejmujemy z ognia, dolewamy sok z jednej pomarańczy, dobrze mieszamy, stawiamy z powrotem na mały ogień i dodajemy pokrojone w kosteczkę dużą cebulę i dwie renety, a potem sześć sporych cykorii pokrojonych w paseczki (bez głąba). Solimy, dusimy, co jakiś czas mieszając, ze dwadzieścia minut, ewentualnie dodając trochę wody, jeśli przywiera.*

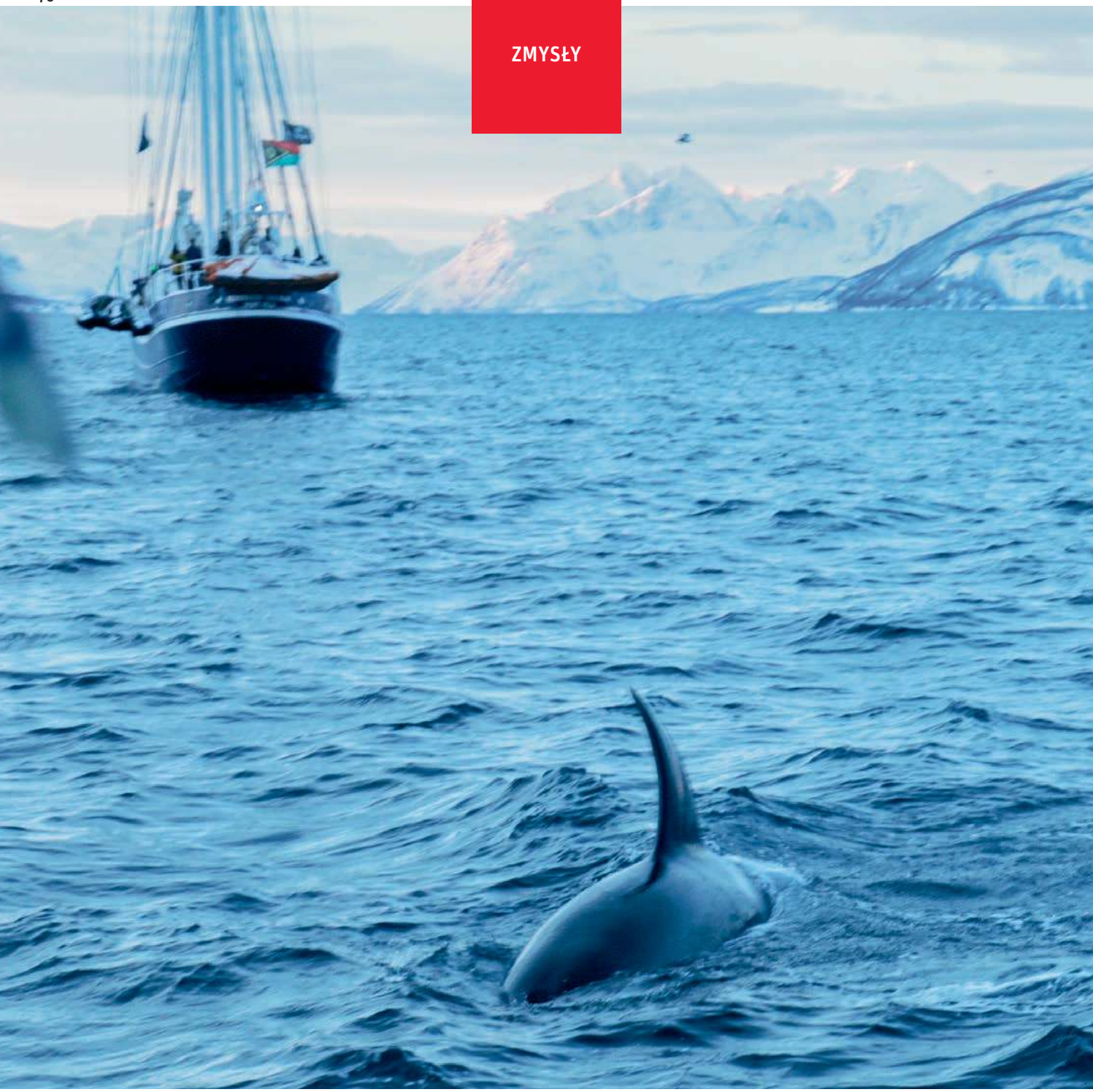

# BRZMIENIE CISZY

Woda w fiordzie ma temperaturę około 4 stopni i moc, której nie potrafię się oprzeć. Wystarczy odpłynąć wpław kilka metrów od kei, żeby wsiąknąć w oleistą ciemność.

TEKST I ZDJĘCIA MICHAŁ OLSZEWSKI Z NORWEGII

*Norwegia, styczeń 2022 r.*

Na przełomie stycznia i lutego noc polarna w przyklejonym do 70 równoleżnika Tromsø cofa się z oporami. Zdarzyła się tu niedawno wielka chwila – podobno ktoś bardzo zdeterminowany widział przez moment rąbek słońca. Przez kilka godzin w ciągu doby, mniej więcej pomiędzy dziesiątą a czternastą, ciemność ustępuje, co oznacza, że światło prószy jak w styczniowej Polsce tuż po zmierzchu – sine, jednolite, ciągle o tym samym natężeniu. Miasto spokojnie dryfuje przez zimę.

W szare poranki cukiernie pachną bułeczkami cynamonowymi i kawą, mówi się, że ta mieszanka pomaga skutecznie odpędzić jakieś tutejsze demony. Mimo mroku świat funkcjonuje normalnie, choć na zwolnionych obrotach: na budowie lotniska słychać dialogi w języku polskim, kierowca autobusu po piętnastym dzwonku odbiera i również w języku polskim prosi rozmówcę, żeby zadzwonił po robocie, sprzedawcy otwierają i zamykają sklepy, jak gdyby nigdy nic. Kutry spokojnie wracają do portu, samoloty planowo startują ↦

Mieszkańcy poprosili o wyłączenie ich obszaru spod władania urzędowego zegara, argumentując, że nie ma on dla lokalnej wspólnoty znaczenia. Skoro o drugiej nad ranem dzieci grają w piłkę, **w najlepsze odchodzi koszenie trawników i malowanie domów.**

↦ i lądują, komunikacja kursuje bez opóźnień, na poboczach wielkie pryzmy śniegu.

Po godzinie dwudziestej ulice pustoszeją, a jedynym obleganym punktem pozostaje kino na świeżym powietrzu, gdzie tłumy dzieci i dorosłych oglądają z przejęciem film, na przykład „Epokę lodowcową 3". W hotelowym pokoju z widokiem na śnieżycę i programy telewizyjne łudząco podobne w stylistyce do polskiej produkcji sprzed trzydziestu lat odbywam zaskakująco spokojną rozmowę telefoniczną z gatunku najistotniejszych. Głos z daleka informuje, że to jednak nowotwór. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem tak wspaniałą zimę. Zanurzone w śniegu i lodzie miasto dryfuje przez ciemność w stronę dalekiej wiosny.

Najbliższe dni w aplikacji pogodowej Windy rysują się w bardzo niedobrych kolorach: na morzu kolor karminowy przechodzi w fiolet, co oznacza, że będzie tam wiało z prędkością 50 węzłów, a fiordy zmienią się w gigantyczne dysze, w których żaden kapitan o zdrowych zmysłach pływać nie będzie. Trzeba raczej nastawić się na oczekiwanie niż żeglarską przygodę.

### Król Niedźwiedzi Polarnych

Jak zwodniczy jest spokój Tromsø i jakie źródła biją pod jego powierzchnią, pokazuje Muzeum Polarne. Nie znajdziemy w nim słowa o zorzy polarnej, romantyce dalekiej Północy, błękitnym śniegu czy wpływie nieskończonej ciemności na co bardziej wrażliwe umysły. Jest to instytucja szczera i do bólu pragmatyczna, choć niepozbawiona emocji. Drewniane domiszcze z 1830 r. wygląda jak skrzyżowanie budynku mieszkalnego ze spichlerzem, szopą do składowania foczych skór i warsztatem naprawy kutrów, przedstawiając w prostych obrazach niekłamaną historię podboju dalekiej północy. Turystę wita przegląd szczęk na zwierza najróżniejszego kalibru. Wypchany lis polarny został na zawsze w tej najmniejszej. Na ścianie zrekonstruowanej chaty traperskiej wiszą gęsi tundrowe, pardwy i zasuszony na wiór kawał renifera.

Dalej wielkookie foki, do których skrada się z hakapikiem, czyli skrzyżowaniem młotka z czekanem, myśliwy. Owo zmyślne narzędzie (młotek zabijał, ale nie niszczył skóry, czekan ułatwiał transport ciała) pomogło upolować miliony tych ssaków. Na kolorowym zdjęciu z lat 70. widać mężczyznę przedzierającego się przez oślizgłą, wypełnioną po sufit świeżo zdartymi skórami fok ładownię. Dumne miano Isbjørnkongen, czyli Króla Niedźwiedzi Polarnych, nosi, jak się dowiadujemy, Henry Rudi, który w latach 1908-1948 ukatrupił, za pomocą flinty lub najróżniejszych pułapek, 713 tych niedźwiedzi.

Arktyka z Muzeum Polarnego jest wiernym odbiciem zainteresowań kolejnych pokoleń: od początku XVIII wieku na Północy trwa wielkie zabijanie morsów, wielorybów, fok, niedźwiedzi polarnych, reniferów, lisów, ale i pomniejszego stworzenia, prowadzone nie tylko przez Norwegów. Tłuszcz używany jest w łojówkach, skóry świetnie nadają się na buty, rękawice, kożuchy. Wszystko, co żywe, nadaje się do ukatrupienia. Podczas odwrotu spod bieguna północnego na Ziemię Franciszka Józefa Fridtjof Nansen (którego relikwie, w postaci resztki amunicji i zrekonstruowanego kajaka, można w Tromsø obejrzeć) strzela do petreli, mew różowych, nurzyków, choć z tych ostatnich mięsa tyle co nic. Każdy kawałek skóry jest na wagę złota, każda kropla krwi upolowanego zwierzęcia zwiększa szanse na przetrwanie w ekstremalnych warunkach.

### Wyzwanie

Zanim dotarłem do Tromsø, przeczytałem „Moby Dicka" Hermana Melville'a, którego akcja w większości dzieje się na wodach południowych, ale stanowi również jeden z kluczy do dalekiej Północy. Kiedyś nie miałem serca do tej lektury – odkładałem ją kilka razy na bok, przekonany, że mam do czynienia z opasłym i nie do strawienia starociem, równie atrakcyjnym jak truchło wieloryba wyrzucone na brzeg.

Nic bardziej mylnego: „Moby Dick" (1851) jest totalną literaturą o miłości do morza, grozie, szaleństwie, żeglowaniu w niewiadomą oraz, co brzmi dzisiaj obrazoburczo, czystego szczęścia, jakie płynie z zabijania i rabunkowej eksploatacji przyrody. Totalną również ze względu na ciężar błędu, jaki popełnia narrator, w połowie XIX wieku głęboko przekonany, że rezerwuar, w którym przychodzą na świat wieloryby, nie ma dna. Jest też wielką (choć łobuzerską) medytacją na temat śmierci i radości.

„Tak, śmierć tkwi w tym wielorybniczym rzemiośle – bezmowne, szybkie, chaotyczne załadowanie człowieka do Wieczności. Ale co potem? Coś mi się widzi, żeśmy się grubo pomylili w tych sprawach Życia i Śmierci. Coś mi się widzi, że to, co tu, na ziemi, nazwano moim cieniem, jest moją właściwą treścią. Tak mi się wydaje, że gdy oglądamy rzeczy duchowe, zbyt się upodabniamy do ostryg, które przypatrując się w słońcu poprzez wodę, sądzą, że ta zwarta toń jest najprzejrzystszym powietrzem. Zdaje mi się, że moje ciało to jedynie osad lepszej części mojej istoty. Toteż niech ciało moje zabiera, kto chce, niech je zabiera, powtarzam; ono mną nie jest. I dlatego niech żyje Nantucket! A strzaskanie łodzi i strzaskanie ciała niech przyjdzie, kiedy wola; albowiem duszy mojej nawet sam Jowisz roztrzaskać nie jest w stanie" – deklaruje w ekstazie Izmael chwilę przed rozpoczęciem pogoni za białym wielorybem. I nie jest to deklaracja na wyrost.

„Moby Dick" nie spłowiał i nadal wzywa do przygody, choć niekoniecznie na jednym ze statków wielorybniczych, które całkiem niedawno stały przy nabrzeżu w Tromsø i dopiero w ostatnich latach zostały zastąpione przez wycieczkowce.

### Głosy znikąd

W trakcie lektury „Moby Dicka", co teraz wydaje mi logicznym jej uzupełnieniem i przygotowaniem do kolejnych przygód, popłynąłem w rejs żaglowcem „Borchardt" po zimowym Bałtyku. Mieliśmy śmignąć ze Szczecina na Bornholm, ale wyspa zniknęła w oku złej pogody, więc nawet jej nie zobaczyłem. Rzyganie *necesse est*. Kręciliśmy się bez wyraźnego celu w chłodzie i kolejnych zadymkach śnieżnych, obserwując, czy z ciemności nie wypłynie wprost na nas jednostka, której nie ma – w świetnym skądinąd – systemie identyfikacji AIS. Nie wypłynęła.

Nigdy nie doświadczyłem samotności w takim stężeniu, jak podczas jednej z wacht świtowych: przestało wiać, staliśmy w dryfie, przy wyłączonych silnikach, we mgle tak gęstej, że nie widzieliśmy świateł mijającego nas w pobliżu wielkiego promu. Radio w sterówce trzeszczało co jakiś czas, po czym wypluwało z siebie wiązkę komunikatów. Trzaski, szumy, zimno, znowu cisza, dryf, zimno, wiatr zdechł. Głosy znikąd pojawiały się na chwilę i przepadały. „Sophia vessel" wywoływała Darłowo, „Rubyn" mijał nas po prawej, w co trudno było uwierzyć. Potem siedziałem nad mapą, nanosząc w świetle czołówki współrzędne. W uszach do dzisiaj mam te komunikaty i nawoływania bez odpowiedzi, mknące przez morską ciszę. Pozostawiły we mnie ślad głębszy, niż sądziłem, i chęć na kolejną przygodę, która nie kazała na siebie długo czekać.

– Skoro tak, pojedziesz do Tromsø, na zorze i wieloryby – oznajmiła M., która specjalizuje się w ciepłych morzach. Nie zamierzałem protestować. Sięgnąłem w najbardziej zakurzony kąt biblioteki, po oczekującą od dziesięciu lat na swój czas białą książkę z trójmasztowcem na okładce, zabraną kiedyś z półek dla książek odrzuconych w siedzibie „Tygodnika". „Fram w Arktyce" Fridtjofa Nansena to drobiazgowa relacja z trzyletniego eksperymentu, którego symboliczny początek miał miejsce 24 czerwca 1893 r. w Christianii, gdzie żaglowiec podniósł kotwicę: żeby uniknąć błędów popełnianych przez wcześniejsze ekspedycje i stracić jak najmniej sił w podróży na północ, Nansen z załogą dotarł do Wysp Nowosyberyjskich, następnie celowo wszedł w lodowy dryf i dał się ponieść prądowi, który, tak zakładał polarnik, miał zaprowadzić go w pobliże bieguna.

Zamiast walczyć z lodem, statek stał się jego częścią. Pozornie nieruchomy, „Fram" posuwał się w miarę bezboleśnie naprzód. Ta ekspedycja, choć do 90 stopnia szerokości północnej nie dotarła, była z wielu powodów wydarzeniem niezwykłym. Precyzja i konsekwencja Norwegów, którym planowanie rejsu zajęło łącznie dziewięć lat, sprawiły, że cała załoga wróciła do portu macierzystego w niezłym zdrowiu, a sam statek, zaprojektowany tak, by napierający lód nie miażdżył go, lecz wypychał jak korek do góry, świetnie zniósł ekstremalne warunki. Dryfowali, przynajmniej na początku, w znakomitych humorach: jedli lepiej niż na lądzie (codziennie świeży chleb, ozory chicagowskie, konfitura z pomarańczy), przygrywał melodykon, w święta narodowe urządzali na lodzie parady ze sztandarami i muzyką.

Nawet szaleńczy rajd Nansena, który w towarzystwie Fredrika Johansena zszedł ze statku, żeby psim zaprzęgiem dotrzeć na biegun, wydaje się dobrze przemyślany: wycofali się w ostatnim możliwym momencie, świętując osiągnięcie 86 stopnia i 10 minut ucztą złożoną z masła, czekolady, sucharów i konfitur z borówek. Dotarli do Ziemi Franciszka Józefa, gdzie przezimowali w samodzielnie zbudowanej ze skór i kamieni chacie. W tym samym czasie „Fram" dryfował aż nad Svalbard, gdzie uwolnił się z lodów. Duma Norwegów, dla których statek do dzisiaj jest ważną składową tożsamości narodowej, wygląda na uzasadnioną: dzięki dobrej logistyce i szczęściu, korzystając z siły oceanu, bez strat własnych (jeśli nie liczyć zabijanych psów zaprzęgowych) dopłynęli i doszli w miejsca wcześniej nieznane.

### Bez skrótów

Najbardziej intrygująca w Tromsø jest struktura czasu, który zdaje się nieruchomy, jakby zamarzł na dobre. Interesuje ona nie tylko przyjezdnych: w deszczową niedzielę kapitan zabiera nas na wyspę Sommarøy. Jej mieszkańcy zasłynęli w 2019 r. oficjalną petycją do norweskiego parlamentu w sprawie czasu właśnie. Poprosili o wyłączenie obszaru spod władania urzędowego zegara, więcej, jakiegokolwiek zegara, argumentując, że nie ma on dla lokalnej wspólnoty znaczenia. Na przykład w czasie dnia polarnego, tłumaczył w BBC Kjell Ove Hveding, jeden z mieszkańców, o drugiej nad ranem dzieci grają w piłkę, w najlepsze odchodzi koszenie trawników i malowanie domów, a młodzież chodzi się kąpać.

Nie znalazłem informacji, czy parlament w jakikolwiek sposób odniósł się do projektu, dostrzegając jego rewolucyjny potencjał. To bardzo możliwe, bo przecież zmęczeni pośpiechem i zgiełkiem Norwegowie wymyślili sakte-TV, czyli cieszącą się olbrzymią popularnością niespieszną telewizję, relacjonującą bez skrótów i w czasie rzeczywistym istotne dla Norwegów wydarzenia. Wśród najbardziej entuzjastycznie przyjętych produkcji znalazły się między innymi „Hurtigruten minutt for minutt" – trwający 134 godziny rejs promowy z Bergen do Kirkenes, „Nasjonal vedkveld" – dwunastogodzinna transmisja sprzed kominka z rozpalonym ogniem, „Reinflytting minutt for minutt" – trwający 10 dób film z wędrówki reniferów w okolicach Tromsø czy trzymiesięczny „Piip-Show" z karmnika zbudowanego jak kawiarnia. ↦

### Sam

Po czterech dniach oczekiwania piekielny wiatr wreszcie cichnie. Mosty zostają otwarte, mieszkańcy fotografują strzaskaną na drzazgi konstrukcję do suszenia dorszy, postawioną przy wjeździe do miasta. Okienko pogodowe, w które raźno wskakuje nasz „Azimuth", zgrabny jak szczupak, 17-metrowy kecz, otwiera się późnym wieczorem. Wypływamy po północy i na północ, w stronę położonej jakieś 60 mil od Tromsø zatoki Skjervøy, mijając kolejne światła zatopione w coraz głębszych i głębszych ciemnościach.

U podnóża anonimowych gór, na brzegach nieznanych mi wysp, żyją na stałe jacyś ludzie, co trudno sobie wyobrazić. Czym innym rekreacyjny wypad w mrok, a czym innym uparte odśnieżanie wąskiej nitki drogi, doglądanie hodowli łososia czy praca w położonej na końcu świata świniarni. Nawigacja pokazuje nazwy, o których nie wiem nic: Russelv, Akkarvik, Karlsøy, Loftet, Solbakke. O żaglach nie ma mowy – szoty pozamarzały na kość. Zachmurzenie nie ustępuje, widoczność chwilami jest bliska zera, więc zorze znowu nie będą jadły mi z ręki. Gdzieś po prawej, podpowiada kapitan, wyrastają wspaniałe Alpy Lyngeńskie, i wypada mu wierzyć.

O trzeciej nad ranem zostaję przy sterze sam (żadna sztuka, skoro i tak prowadzi automat, jedyne, co mam do roboty, to wypatrywanie nieoczekiwanych jednostek na kursie), silnik pracuje miarowo, noc nie zamierza odejść, krajobraz, czy raczej jego możliwość, przesuwa się w zwolnionym tempie. Przez chwilę widzę obraz jak z najtajniejszych snów: za zboczem schodzącej wprost do morza stromizny pojawia się mleczna poświata niewiadomego pochodzenia, nie są to zorza ani księżyc, na mapie nie znajduję też miasta ani fabryki. Krawędź góry rysuje się ostro i jak nie z tego świata. Jest obojętna, przedwieczna, okrutna. Nie zaprasza ani nie odtrąca. Po prostu jest, niezależnie od tego, jakimi przymiotnikami ją ozdobię. Mimo że prawie wszystko wiadomo, zimno i ciemność rozpalają wyobraźnię tak samo jak w czasach Nansena albo pierwszych polarników.

Kiedy mrok zaczyna rzednąć, wpływamy w potężną zatokę, otoczoną najeżonymi szczytami. Z północnego zachodu, tam gdzie otwiera się widok na Morze Norweskie, napływają fale oceaniczne – długie, konsekwentne i bardzo rzygliwe. Przejaśnia się powoli, o dziewiątej nad górami pojawia się półkolista plama słońca. Wyżej nie wzejdzie, ale to wystarczy, by cokolwiek zobaczyć. Silnik pyka. Temperatura spada. Czekamy.

### Inne zmysły

W końcu są. Najpierw pojawiają się dwie płetwy. Przecinają fale, zmierzając w naszym kierunku, po czym niespodziewanie dołączają do nich kolejne, mniejsze. W pewnym momencie suną rzędem, w nierównych odstępach, jedne sterczące prosto, inne nieco położone, jak morski gang. Sapią, sapią głośno! W zatoce poluje o poranku pięć stad, każde liczy co najmniej sześć płetw.

Melville służy rozczarowująco krótką, pomieszczoną na połówce kartki informacją: „Choć o tej rybie, której dźwięczne, donośne oddychanie czy raczej dmuchanie dało mieszkańcom lądu temat do przysłowia, dobrze wiadomo, że jest mieszkanką głębiny, jednak nie zalicza się jej na ogół do wielorybów. Ale większość przyrodników uznała ją za wieloryba, zważywszy, że ma wszelkie główne cechy właściwe Lewiatanowi. Jest umiarkowanego rozmiaru in octavo, wahającego się od piętnastu do dwudziestu pięciu stóp długości, a także odpowiedniej objętości w talii. Pływa w stadach; nigdy się na nią regularnie nie poluje, choć zawiera znaczne ilości oleju dość dobrego do oświetlenia. Niektórzy rybacy uważają, iż jej ukazanie się zwiastuje, że w pobliżu przebywa wielki kaszalot".

Autor „Moby Dicka" nie wspomina, w jaki sposób polują orki specjalizujące się, jak te ze Skjervøy, w konsumpcji śledzi. Być może nie wie, z jak skomplikowanym stworzeniem ma do czynienia. Orki norweskie polują inaczej niż ich kuzynki z południowej półkuli, które potrafią wyskoczyć na brzeg, żeby porwać uchatkę, albo przechylić krę tak, by wylegujące się na niej pingwiny spłynęły prosto w paszcze towarzyszek. To, co wygląda na Skjervøy jak podwodna banda rzezimieszków, jest w istocie świetnie zorganizowaną strukturą, z liderką (najstarsza samica), własnym dialektem, ścisłą strukturą klanową i opanowanym do perfekcji polowaniem karuzelowym. Orki po znalezieniu ławicy śledzi wypuszczają bańki powietrza i wydają dźwięki o wysokiej częstotliwości (żeby przestraszyć), wykonują okrążenia po okręgach w różnych płaszczyznach, zbijając ryby w ciasną kulę. Potem głuszą ofiary mocnymi uderzeniami ogonów i przystępują do uczty.

W pobliżu orek pojawiają się dwa humbaki. Znowu z pomocą przychodzi Melville i znowu jest to pomoc rozczarowująca, jak gdyby nie interesowało go nic poza kaszalotami, bo przecież encyklopedycznego skrótu nie tłumaczy brak wiedzy: „Tego wieloryba często widuje się u północnych wybrzeży Ameryki. Nierzadko go tam chwytano i holowano do portu. Ma na sobie ogromny tobół, niby wędrowny przekupień; można go nazwać wielorybem słoniowatym albo za-

mczystym. W każdym razie popularne jego przezwisko nie wyróżnia go w sposób wystarczający, jako że kaszalot ma również garb, choć nieco mniejszy. Olej jego jest niezbyt wartościowy. Humbak ma fiszbiny. Jest najfiglarniejszym lekkoduchem ze wszystkich wielorybów i zazwyczaj wzbija więcej wesołej piany i białych bryzgów wodnych niż którykolwiek z nich".

I tyle? Humbak przecież jest zmyślny, potrafi się wdzięczyć i obserwować świat w pozycji pionowej. Humbak śpiewa piękne, zawodzące pieśni, które według dr Katarzyny Tołkacz z Polskiej Akademii Nauk niosą się na odległość nawet 15 tysięcy kilometrów. „Są to niekiedy skomplikowane sekwencje jęków, wycia, zawodzenia oraz innych dźwięków o skomplikowanej strukturze, które mogą trwać od kilku minut do nawet kilkudziesięciu godzin. Młode humbaki natomiast »szepczą« do swoich matek. Badacze udowodnili, że zarówno poszczególne osobniki, jak i populacje mają pieśni charakterystyczne dla danego regionu, ale także... że podczas migracji i spotkań z innymi »nacjami« humbaków wieloryby uczą się i modyfikują swoje piosenki" – pisze biolożka.

Trwa ten pokaz niewiele jak na standardy sakte-TV, bo nieco ponad godzinę. Humbaki zapadają się pod wodę, orki znikają. Przelatuje jeszcze orzeł przedni i tyle. Pozostaje pierwotny, bezwzględny krajobraz: sine światło, stalowe morze, grzbiety gór i zapowiedź słońca na wschodzie. A przede wszystkim poczucie, że widziałem w zatoce Skjervøy jeden z najpiękniejszych spektakli w życiu. Niczego nie upolowałem, niczego, prócz kilku średnio udanych zdjęć, ze sobą nie zabiorę. Mimo to wystarczy aż w nadmiarze.

Czas wracać, zanim okno pogodowe znowu zatrzaśnie się na głucho.

### W zanurzeniu

Swoją relację z wyprawy na biegun północy Fridtjof Nansen kończy niespodziewanie. Po opisach zastrzelonych niedźwiedzi, morsów i placków z foczej krwi, po tabelkach drobiazgowych danych o grubości stałego lodu, temperaturze wody i głębokości morza, przychodzą dwa kluczowe zdania: „Lód i księżycowe światło polarnych nocy zdaje się dalekim, z innego świata snem, który uleciał. Ale czymże byłoby życie bez snów?".

Woda w fiordzie ma temperaturę około 4 stopni i moc, której nie potrafię się oprzeć. Wystarczy odpłynąć wpław kilka metrów od kei, żeby wsiąknąć w oleistą ciemność. Chwilami sypie śniegiem w oczy, znowu coraz mocniej wieje, z oglądania zorzy ostateczne nici, ale nie ma to znaczenia. „Życie krótkie, śmierć wesoła" – podpowiada Izmael. Płynę w polarnej ciszy. Niewidoczny dla innych oglądam hotelowe okna, rozświetlone restauracje i łódki kołyszące się na wodzie, leniwy ruch aut na moście.

Polubiłem zimno, nie wadzi mi. Dzięki lodowatej wodzie przestałem tęsknić za tym, co ma dopiero wyłonić się z mroku, za życiem prawdziwym, które podobno rozwija się wyłącznie w cieple. Jest tu, w środku prawdziwej zimy, aż nadto wiele do obejrzenia. Z Tromsø bliżej w jeszcze głębsze ciemność i chłód, do Vardø, Kirkenes, Hammerfest, na Svalbard i tajemniczą wyspę Jan Mayen.

„Fram" po norwesku znaczy „naprzód".

© MICHAŁ OLSZEWSKI

*Autor jest pisarzem, redaktorem naczelnym krakowskiego wydania „Gazety Wyborczej".*

Korzystałem z: Herman Melville „Moby Dick", przeł. Bronisław Zieliński, PIW, Warszawa 2018. Fridtjof Nansen „Fram w Arktyce", przeł. Joanna Leszczyńska, Wydawnictwo SEL, Kraków 2011

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Kompletna dezorientacja*

Trzeba by dziś pogwarzyć o wielkich projektach i dezorientacji. Wielkie projekty i dezorientacja idą w Polsce w parze jak, nie przymierzając, przedszkolaczki na plac zabaw. Wszystkim, którym ta parabola wyda się niezrozumiała, będziemy teraz tłumaczyć jej olśniewającą prostotę. Wytłumaczymy także – najprościej jak umiemy – co to są wielkie projekty i co to jest dezorientacja.

Oto weźmy z ostatnich wielkich polskich projektów dwa. Pierw niech będzie to tzw. Polski Ład. Zaiste, na temat tego wielkiego projektu przeczytaliśmy niesłychaną ilość tekstów zupełnie dla nas niezrozumiałych. Oczywiście, nasze przygotowanie do lektury utworów o podatkach jest marne, ale – uwaga – czytaliśmy je właśnie dlatego, że nic z nich, w ząb, nie rozumieliśmy. Literalnie nic. Poniekąd, jako podatnik, choć wedle tutejszej propagandy i nieczłowiek, i nie-Polak, ale jednak płatnik, powinniśmy jednak móc co nieco rozumieć, cokolwiek, i ktoś – bo tak to się odbywa na świecie – o to rozumienie powinien zadbać. Najlepiej, by był to jakiś funkcjonariusz państwa polskiego. Ale – popatrzmy – nikt taki do tłumaczenia na piśmie nie został wydelegowany. Bo chyba w gabinetach dzisiejszej władzy nie ma już po prostu ludzi o jakichkolwiek kompetencjach, prócz redagowania tweetów. No więc – to wyznanie intymne – ów brak rozumienia ustawy wprowadził nasz umysł i olimpijskie ciało w rodzaj bzika. Będziemy teraz nieco eksperymentować językowo: w nieporozumienie rozumu z portfelem i w oszołomienie arytmetyczne. Nic tego stanu nie przerywało, bo przerwać nie mogło.

Wypowiedzi premiera, na co dzień osobliwie modulującego, nadającego na wiercących częstotliwościach, używającego osobliwego wokabularza i języka ciała, nie pomagały nam zrozumieć, cóż ten człowiek chce o ustawie powiedzieć. Czy mianowicie, że będziemy płacić podatki, czy mianowicie, że nie będziemy ich płacić, zrobią to bowiem za nas jacyś bonzowie, którzy mają za dużo forsy. Po miesiącu słuchania i patrzenia na miotającego się autora wielkiego polskiego projektu zrozumieliśmy, cóż premier Polski chce nam, podatnikom, o ustawie zwanej Polskim Ładem powiedzieć. Odpowiedź ta brzmi: nic. Każdy przyzna, że nasza spostrzegawczość jest dalece większa niż rzesz ekonomistów, analityków tutejszego i obcego chowu, którzy w kompletnej dezorientacji snuli rozmaite rozważania w radiu, prasie i telewizji. Propaganda partyjno-rządowa takich jak my, zdezorientowanych, kwalifikowała do emigracji do Izraela. Co było dalej? Ano Gospodarz, laureat niejednej nagrody i geniusz z Mazowsza, wstał dnia onego z łoża, poszedł do jakiejś agencji czy redakcji i powiedział na głos, że też jest zdezorientowany, że to wszystko jest niefajne. I co? I nic. Jakoś do Izraela nie musi jechać, może siedzieć w domu i oglądać rodeo w tiwi.

Idźmyż dalej i weźmy teraz kolejny przykład wielkiego polskiego projektu z przyssaną do niego kompletną dezorientacją. To konflikt polsko-czeski w sprawie kopalni w Turowie. Co słyszeliśmy na ten temat przez ostatnie – powiedzmy – pół roku? Że nie oddamy ani guzika. Jakiego guzika? Żadnego. Kto chce guzik oddać? Kto nałożył kary za nieoddawanie guzików? Zdrajcy. Niech jadą do Izraela albo do Niemiec.

Popatrzmy – nieoddawanie guzików jest odwieczną, osobną, wielką kategorią wielkich polskich projektów, więc nie byliśmy zdezorientowani. Ale, trudno to ukryć, czekaliśmy, aż dezorientacja odbierze nam rozum i przytomność, czekaliśmy na ten transowy stan, na owego bziczka, na komunikat, któryśmy sobie już dawno na brudno zanotowali. I co? W salwach propagandy, w rozdzierających odredakcyjnych tekstach firm mediowych, w wypowiedziach partyjno-rządowych słyszymy, że znów wygraliśmy. Że hurra. Że Pepik pognębion, że Polska wygrała i jest wielka od morza do morza. Co wygrała? Ano tyle, że za nieoddawanie guzika zapłacimy dziesiątki milionów euro. Warto? Oczywiście, że warto. Na naszych oczach dzieją się rzeczy, o których będą się uczyć pokolenia. Jeżeli będą się, oczywiście, uczyć. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

# Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 480 zł | 590 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 270 zł | 330 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 155 zł | 190 zł |
| Pokolenia* | 415 zł | |
| Karta Dużej Rodziny** | 415 zł | |
| Roczna + 4 wydania specjalne | 565 zł | 680 zł |
| Pokolenia* + 4 wydania specjalne | 500 zł | |
| Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne | 500 zł | |
| 4 wydania specjalne na 2022 r. | 85 zł | |

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**Prenumeratę (krajową i zagraniczną) można zamówić przez:**

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

**Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

**W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

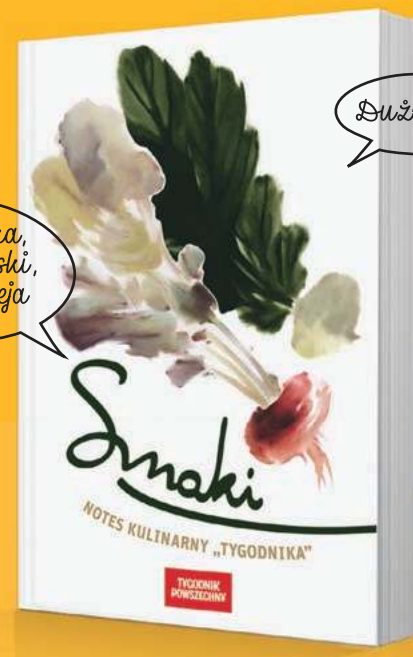


Dużo stron!

Ochędowska, Kuźmiński, Bravo, Ukleja

**Do KAŻDEGO zamówienia autorski, wyjątkowy notes kulinarny W PREZENCIE!**

Przepisy, rozmowy, eseje

12 sezonów

Autorskie ilustracje

**Notes kulinarny „Smaki” wyślemy do Ciebie na nasz koszt!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

# Suwerenni dzięki Wam!

Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

*Ks. Adam Boniecki*

**1%**

**Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.**

**WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM**
**nr KRS 0000125605**

**Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:**
**Santander Bank Polska S.A.**

**31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

**Więcej informacji:**
**powszech.net/dar**

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA